



MARIAN KALETA
EMIGRANCKA
SPÓŁKA
„SZMUGIEL”

**WSPOMNIENIA DOSTAWCY
SPRZĘTU POLIGRAFICZNEGO
PRZEMYCANEGO DO POLSKI
DLA OPOZYCJI
ANTYKOMUNISTYCZNEJ
W LATACH 1978—1989**



**EMIGRANCKA SPÓŁKA
„SZMUGIEL”**

CENTRALNY
PROJEKT
BADAWCZY

IPN

POLSKA
EMIGRACJA POLITYCZNA
1939-1990

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

MARIAN KALETA

EMIGRANCKA SPÓŁKA
„SZMUGIEL”

**WSPOMNIENIA DOSTAWCY SPRZĘTU POLIGRAFICZNEGO
PRZEMYCANEGO DO POLSKI DLA OPOZYCJI
ANTYKOMUNISTYCZNEJ W LATACH 1978–1989**

Opracowanie i redakcja
Władysław Tyrzański



WARSZAWA 2015

Projekt okładki
Sylvia Szafrńska

Na okładce

Mercedes, którym w latach 1982–1985 przeszmyglowano do Polski około 150 maszyn drukarskich dla podziemia (fot. ze zbiorów Mariana Kalety, FCDCN)

Wszystkie zdjęcia we wkładce pochodzą ze zbiorów Mariana Kalety, przekazanych Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie

Redakcja
Teresa Karpińska

Korekta
Magdalena Baj
Irena Siwińska

Redakcja techniczna
Wojciech Czaplicki

Indeks
Łukasz Rybak

Skład i łamanie
Marcin Koc

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2015

ISBN 978-83-8376-898-4

Zapraszamy
ipn.gov.pl
ksiegarniaipn.pl

mojej żonie Ani
i mojej córce Agatce

*Ta książka jest hołdem
dla cichych bohaterów walki z komuną w czasach PRL,
których spotkałem na swojej drodze życia, a których
nie zdołałem wymienić w mojej opowieści.*

Spis treści

<i>Patryk Pleskot</i> Wprowadzenie	9
I. Skąd się wziąłem? (1945–1969)	13
II. Nowe życie (1969–1970)	31
III. Grudzień '70	41
IV. Polsko-szwedzka karuzela szmuglerska (1970–1981)	45
V. Zawód: przemytnik urządzeń do wzniesienia niepokojów społecznych w PRL (1981–1983)	93
VI. Firma MSM Transporter AB – wielki szmugiel maszyn drukarskich tirami (1983–1986)	143
VII. Wielka wpadka i po niej (1986–1987)	165
VIII. Spalony dla „Solidarności” (1987–1988)	175
IX. Wracam do cywila. Rozrachunki z przeszłością (1989)	183
X. Zatracone ideały solidarnościowej rewolucji	201
Wykaz skrótów	217
Indeks osób	219

Wprowadzenie

Kontakty krajowej opozycji z instytucjami i strukturami działającymi na Zachodzie w latach osiemdziesiątych (zwłaszcza po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego) nadal pozostają w dużej mierze niezbadane przez historyków. Wynika to nie tylko z braku różnorodnych źródeł (zniszczenia części dokumentów MSW, ich jednostronności, braku dostępu do materiałów wytworzonych przez państwa zachodnie), ale także z nieformalnego przeważnie charakteru tych kontaktów, który w pewien sposób wymuszał „zacieranie śladów” i niepozostawianie rozbudowanej dokumentacji.

Nie ulega wątpliwości, że pomoc materialna i finansowa dla opozycyjnego podziemia, kierowana przez rozsiane po całym świecie środowiska polonijne i prosolidarnościowe, odegrała bardzo ważną rolę w aktywizacji działań grup niezależnych w PRL po 1981 roku, zwłaszcza w ramach tzw. drugiego obiegu wydawniczego. Bez szmuglowanych z Zachodu powielaczy i innego sprzętu drukarskiego niespotykany w krajach bloku wschodniego rozwój samizdatu w Polsce byłby wolniejszy i bardziej utrudniony.

Te dwa czynniki – waga tematu i szczupłość „klasycznych” dokumentów historycznych – powodują, że do rangi pierwszorzędnych źródeł urastają wspomnienia świadków epoki, pozwalające wnikać w sfery działań i uwarunkowania, których często nie sposób odtworzyć inaczej. Takich świadectw epoki jest coraz więcej – warto chociażby wymienić dyskusję emigracyjnych działaczy solidarnościowych z okazji otwarcia w maju 2012 roku w Warszawie wystawy „Wasza Solidarność – nasza wolność. Reakcje emigracji polskiej i świata na wprowadzenie stanu wojennego”,

przygotowanej przez lubelski oddział IPN*. Nadal jednak istnieje zapotrzebowanie na relacje tego typu.

Dlatego też Instytut Pamięci Narodowej zdecydował się na publikację wspomnień Mariana Kalety, działacza polonijnego i solidarnościowego ze Szwecji, jednego z organizatorów akcji nielegalnego przetrzutu do Polski sprzętu poligraficznego i drukarskiego w latach osiemdziesiątych. Autor to postać o wyrazistych poglądach, dlatego jego słowa mogą niekiedy wzbudzać kontrowersje czy nawet niezgodę – takie jest jednak prawo świadka epoki, który przekazuje czytelnikowi własną, subiektywną wersję wydarzeń. Warto się z nią zapoznać, choćby czasem wywoływała odruch sprzeciwu.

Jak każde wspomnienia i te mają pewne słabości charakterystyczne dla tego typu źródeł. Po pierwsze, takie świadectwa powstają *ex post*, z perspektywy lat i nabytych doświadczeń (uprzedzeń, przekonań, interpretacji) autora, co niekiedy zmusza do zastanowienia się, na ile odtwarza on przeszłą rzeczywistość, a na ile prezentuje swój obecny stosunek do niej. Po drugie, wspomnienia są zawsze formą kreacji literackiej, w której to autor decyduje, co i w jaki sposób poda, opíše i zinterpretuje.

Jednak relacja Mariana Kalety nie opiera się jedynie na pamięci autora, lecz także na dokumentach gromadzonych przez niego od 1978 do 1988 roku. Jak wspomina, do zbierania takiej dokumentacji namówił go Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury”. Swoje archiwum Marian Kaleta przekazał w marcu 2004 roku Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego (akc. CDCN 1520). Zbiór ten składa się z 17 teczek, w których znajdują się przede wszystkim dokumenty osobiste autora tych wspomnień, jego korespondencja, wykazy wysyłanego sprzętu i zamówienia, rachunki i odprawy celne, kopie rozliczeń. Można tam również znaleźć dokumentację transportów humanitarnych przywożonych do Polski przez Svena Järna, materiały dotyczące wypadki Lennarta Järna (m.in. wycinki z prasy szwedzkiej), o której opowiada Marian Kaleta. W skład tej kolekcji wchodzi ponadto wydawnictwa drugoobiegowe, emigracyjne i zagraniczne, kasety magnetofonowe czy też instrukcje obsługi sprzętu poligraficznego.

* Zob. informacje na temat wystawy oraz elektroniczną wersję paneli wystawowych: <http://ipn.gov.pl/bep/wystawy/wasza-solidarnosc-nasza-wolnosc.-reakcje-emigracji-polskiej-i-swiata-na-wprowa> (dostęp: 10 IX 2015 r.).

Choć archiwum jest nadal w trakcie opracowywania, istnieje możliwość uzyskania do niego dostępu przez osoby zainteresowane tym aspektem działalności opozycji demokratycznej w Polsce. Na marginesie warto dodać, że zagadnieniu przemykania do kraju z Zachodu nielegalnych wówczas wydawnictw oraz sprzętu poligraficznego i drukarskiego został poświęcony m.in. dokumentalny film „Szmuglerzy”, wyprodukowany przez Telewizję „Polska” w 2008 roku.

Wydaje się, że nie wszystkie oceny historyczne Mariana Kalety dają się obronić z perspektywy czasu, jak chociażby teza o mniej lub bardziej świadomym współdziałaniu wschodnich i zachodnich służb specjalnych w zwalczaniu solidarnościowej opozycji na Zachodzie lub też o braku infiltracji przez Służbę Bezpieczeństwa kanałów przerzutowych sprzętu drukarskiego do Polski. Z tego też względu nie można traktować tego źródła odrębnie: należy je czytać w zestawieniu z istniejącą dokumentacją, a także relacjami innych świadków epoki.

Mimo kontrowersyjnych ocen i opinii Mariana Kalety jego wspomnienia na pewno zasługują na zaistnienie w obiegu naukowym, choćby po to, by zainicjować dyskusję nad nimi, potwierdzić je lub skrytykować, a także skłonić innych świadków epoki do opisanie własnej wersji wydarzeń.

Skąd się wziąłem? (1945–1969)

Przyszedłem na ten świat na krakowskim Zwierzyńcu 9 grudnia 1945 roku. Mój dom rodzinny znajdował się przy ul. Stachowicza 14 w Krakowie, tuż przy placu Na Stawach.

Odkąd pamiętam, zawsze nie bardzo podobała mi się socjalistyczna Polska. Wpływ na to mieli moi rodzice i dziadkowie. Ojciec mi zawsze tłumaczył, że Polska powojenna to nie jest ta Polska, o którą walczyli on i cała nasza rodzina.

Mój dziadek – legionista Piłsudskiego

Mój dziadek ze strony matki, Wincenty Kuźnik, był legionistą Piłsudskiego. Matka wysyłała mnie do niego na wakacje, do miejscowości Wola Filipowska kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa, w obecnej gminie Krzeszowice. Dziadek był przedwojennym kolejjarzem, naczelnikiem stacji. Pamiętam, że miał taką maszynkę do stemplowania biletów i ja się nią cały czas bawiłem. Na niby sprzedawałem bilety.

Dziadek mi tłumaczył, że Polska to jest wielka rzecz, choć niekoniecznie od morza do morza; że był taki wielki polski patriota, który nazywał się Józef Piłsudski, a jego testament obowiązuje i dzisiaj. Tak mówił dziadek, ale to się absolutnie nie zgadzało z tym, co widziałem na co dzień.

Mój dziadek oprócz córki Marii – mojej matki – miał trzech synów. Pierwszy, Franciszek, był przed wojną porucznikiem kawalerii. Zginął we wrześniu 1939 roku, kiedy pod gen. Tadeuszem Kutrzebą przebiegał się przez Puszcę Kampinoską. Drugi brat mojej matki, nie pamiętam już jego imienia, został

oficerem w Ludowym Wojsku Polskim, nie wiem dokładnie – majorem czy podpułkownikiem, gdzieś na Śląsku. Trzeci jej brat, Józef – mój chrzestny ojciec, pracował w zbrojowni w Krakowie, przy ul. Rakowickiej, gdzie była naprawiana albo produkowana broń. Tam na Rakowickiej był też jakiś zakład medycyny sądowej, gdzie złożone były materiały, które Niemcy zebrali w Katyniu i przywieźli do Polski. Ten Katyń będzie mnie w życiu prześladował.

Moja matka i jej austriackie pochodzenie

Dziadek Wincenty przed pierwszą wojną światową służył w wojsku austriackim. Stacjonował w Wiedniu. Tam poznał swoją przyszłą żonę, a później przeszedł z armii austriackiej do legionów Piłsudskiego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości moja austriacka babcia przyjechała z nim do Woli Filipowskiej koło Krakowa, gdzie dziadek, pracujący na kolei, miał też mały folwark. Tę swoją babkę znam tylko z opowiadań wujka Józka, nie zapamiętałem nawet jej imienia, a tym bardziej jej nazwiska panińskiego.

Moja matka w 1986 roku odświeżyła dawne austriackie powiązania rodzinne. Odnalazła w Austrii jakichś dalszych krewnych, którzy pomogli jej wyemigrować z Polski. Pracowała w dziale technicznym Opery Wiedeńskiej, gdzie robiła i prasowała te wszystkie operowe krynoliny. Nie ma porównania, ale przypomniało mi się, że podczas wojny matka, żeby jej Niemcy nie wywieźli na przymusowe roboty, pracowała w Krakowie w wielkiej niemieckiej pralni, w której prała i naprawiała mundury żołnierzy niemieckich powracających z frontu.

Mój ojciec – element politycznie niepewny

Mój ojciec, Teofil Kaleta, był prostym człowiekiem. W czasie okupacji został wywieziony na roboty do Niemiec. Kombinował coś przeciw Niemcom razem ze swoim bratem, który należał do Armii Krajowej, wpadł jednak w ulicznej łapance. Pracował w niemieckiej fabryce amunicji. Kiedy w 1944 roku były alianckie bombardowania Niemiec, został ranny. Miał poparzone całe nogi, ale zawsze mówił, że Niemcy zachowywali się wobec niego bardzo przyzwoicie. Zresztą, co mnie bardzo dziwiło, ojciec w ogóle na Niemców

nie narzekał. Mówił, że dobrze płacili, że robotnicy wywiezieni do Niemiec z łapanki dostawali momentami lepsze jedzenie niż sami Niemcy. Ponieważ był ranny, wrócił do Polski jeszcze podczas wojny.

Po wojnie ojciec postanowił otworzyć w Cichym Kąciku w Krakowie, przy pętli tramwajowej linii 18, mały kiosk spożywczy. Zarobił na to, handlując amerykańskimi papierosami. Jakoś załatwił sobie miejsce pod ten kiosk. Któregoś dnia komuniści mu ten grunt zabrali. Ojciec mówił, że była jakaś wielka wsypa. Fundament pod ten kiosk przetrwał do dzisiaj.

Ojciec stał się wtedy bezrobotnym, wpisanym na listę *niebłagonadiożnych*, czyli niepewnych. Przez jakiegoś kolegę załatwił sobie pracę konwojenta jajek eksportowanych za granicę, które produkowała Polska. Jeździł samochodem z tymi jajkami z Krakowa do Szczecina. Wtedy, pamiętam, jadłem od rana do wieczora same jajka na twardo i na miękko.

Październik '56 w Krakowie

Jako dziecko zawsze byłem niesforny, ale jeżeli chodzi o wyniki w nauce, zajmowałem zawsze wysokie miejsce. W 1956 roku, jak miałem jedenaście lat, jakoś po wakacjach, w nagrodę za dobre stopnie wysłano grupę wyróżniających się uczniów z naszej szkoły do Porąbki koło Żywca, gdzie była zbudowana zapora wodna. Wyjazd ten wspominam raczej nieszczególnie. Byłem z daleka od domu, po raz pierwszy sam. Odczuwałem to wszystko jako indoktrynację. Któregoś dnia przyszedł do nas wychowawca i powiedział, że w związku z wydarzeniami w kraju nasz pobyt zostaje skrócony i jedziemy do domu.

Była jesień 1956 roku. Ojciec całymi godzinami siedział z uchem przy radiu. Słuchał Wolnej Europy. W październiku razem z naszym sąsiadem poszedł oddać krew dla Węgrów rannych w powstaniu antysowieckim w Budapeszcie. Tak robiło bardzo dużo ludzi. Jak się chodziło „na miasto” – tak się mówiło wtedy w Krakowie, mając na myśli Rynek Główny – to studenci przypinali przechodniom szpilką do kłapy takie miniaturowe narodowe flagi węgierskie. Zbierali też pieniądze na pomoc dla Węgrów walczących z Sowietami. Zbierano dla nich również lekarstwa i ubrania, wszystko, co się dało wysłać.

Pamiętam, że gdzieś tak w połowie listopada na pierwszych stronach gazet królował Władysław Gomułka wracający na czele polskiej delegacji pociągiem z Moskwy. Wszędzie na stacjach witano go chlebem i solą. Ale u mnie w domu wielkiego entuzjazmu nie było. Jak już wspomniałem, mój dziadek był legionistą, który okresie międzywojennym zaangażował się w politykę po uszy. Teraz moja matka, a jego córka, nie chciała mieć z polityką nic wspólnego. Jak ojciec zaczynał mówić o polityce, matka uciszała go, żeby był w domu święty spokój.

Odmieniła mnie „Przygoda”

Po Październiku '56 przyszła tak zwana Gomułkowska odwilż, trwająca chyba z rok. W lutym 1957 roku zaczął się ukazywać tygodnik dla młodzieży „Przygoda”, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Ta gazeta kosztowała dwa złote i trzeba było mieć dobre znajomości w kiosku, żeby ją dostać. Miała duży format, większy od „Echa Krakowa”, liczyła dwanaście stron i była wydawana na bardzo podłym papierze.

„Przygoda” przewróciła do góry nogami moją rzeczywistość. Czytałem ją tydzień w tydzień i nie mogłem się doczekać następnego numeru. Tak było przez dwa lata. Na zawsze zniknęła z kiosków z końcem 1958 roku.

Drukowali tam różne polskie komiksy wzorowane na amerykańskich, na przykład o Myszcze Miki. Polskie komiksy, które tam się cyklicznie pojawiały, to *Walenty Pompka na wojnie* Ryszarda Kiersnowskiego i Mariana Walentynowicza czy *Skarb Inków* Tadeusza Ulatowskiego. Ale również w tej gazecie po raz pierwszy przeczytałem coś, co siedzi we mnie do dziś – wspomnienia Michała Issajewicza, pseudonim „Miś”. To był kierowca auta, które zajechało drogę, zatrzymując samochód Franza Kutschery podczas zamachu na niego w lutym 1944 roku w Warszawie. Issajewicz opowiadał, jak w czasie wojny żołnierze AK jeździli do lasu na tajne ćwiczenia ze strzelania, jak go później Niemcy złapali i nie rozpoznali, a on jakoś przeżył to wszystko.

W „Przygodzie” zamieszczano też całe opisy odbicia więźniów w akcji pod Arsenalem w 1943 roku. Wtedy mi się po prostu oczy otworzyły, że byli ludzie, którzy tak walczyli o Polskę. Ja im tego zazdrościłem. Miałem wtedy jakieś 11 lat.

A wiele, wiele lat potem było mi dane spotkać „Kamę”, czyli Marię Stypułkowską, która dała w dniu zamachu sygnał zaczajonym chłopakom z AK, że Kutschera wyjeżdża już z domu. Ona żyje do tej pory w Warszawie – to przecież matka Mirka Chojeckiego, założyciela podziemnej Niezależnej Oficyny Wydawniczej, z którym tyle potem razem zrobiliśmy.

Nie było mnie pod nowohuckim krzyżem

Pamiętam jak dziś, kiedy na wiosnę 1960 roku prasa, a przede wszystkim „Echo Krakowa”, rozpisywała się o chuliganach zgromadzonych pod krzyżem w Nowej Hucie. W tym miejscu miał stanąć pierwszy kościół w Hucie, ale komunistyczna władza cofnęła pozwolenie na budowę kościoła i kazała krzyż usunąć. Wtedy ludzie zaczęli krzyża bronić. Wiem, że tam milicja tłukła tych ludzi, bo to jednak się roznosiło. W szkole też się o tym trochę mówiło.

Mnie pod tym krzyżem nie było, niestety, bo matka mnie bardzo pilnowała, żebym się przypadkiem gdzieś tam nie zaplątał.

Do Technikum Chemicznego – wytwarzać materiały wybuchowe

Kiedy skończyłem szkołę podstawową, w 1959 roku sam sobie załatwiłem przyjęcie do krakowskiego V Liceum im. Augusta Witkowskiego z językiem francuskim. Matka moja jednak uważała, że język francuski to bzdura, więc przeniosła mnie do III Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Kochanowskiego. Tam któregoś dnia miałem pecha i nieszczęśliwie wystrzeliłem z korkowca. Były takie korkowce jednostrzałowe i dwustrzałowe, ja miałem jednostrzałowy. Nosilem ten korkowiec za pazuchą, bo chciałem być uzbrojony. Kiedyś w klasie nieostrożnie nacisnąłem cyngiel i jak huknęło, to mnie wyrzucili ze szkoły z jeszcze większym hukiem, już z pierwszej klasy.

Wtedy matka przez swoją znajomą, która była garderobianą w filharmonii, załatwiła, że przyjęli mnie do Technikum Chemicznego przy ul. Krupniczej, zaraz przy al. Mickiewicza. Chętnie się na to zgodziłem. Przyszło mi do głowy, że każdy przyzwoity człowiek powinien wiedzieć, jak niszczyć komunistów. A żeby to robić, trzeba było się nauczyć wytwarzać materiały wybuchowe. Gdzie zaś się tego nauczyć, jak nie w Technikum Chemicznym?

W technikum znalazłem wielu wspaniałych przyjaciół. Jednym z nich był Władysław Dratnal, który żyje teraz w Kanadzie. Zgadzał się ze mną, że musimy się nauczyć posługiwać bronią, żeby któregoś dnia zniszczyć „czerwonego”. Dlatego zapisaliśmy się nawet do reżimowej organizacji Liga Przyjaciół Żołnierza.

Pistolet TT za dwa tysiące

Ale działałem też na własną rękę. Gdzieś tam, przez jakieś znajomości, zakupiłem pistolet TT za dwa tysiące złotych. Nie wyglądał zachwycająco. Przez Władka Dratnala poznałem człowieka o pseudonimie „Śledź”, który był w czasie wojny w Narodowych Siłach Zbrojnych. „Śledź” popatrzył na ten pistolet i mówi: jest gównno warty, przy strzelaniu się rozleci.

Mieliśmy paczkę 10–12 chłopaków. Nie wymienię żadnych nazwisk z wyjątkiem Władka Dratnala i Krzysztofa Jabłońskiego. W Krakowie ciągle mieszka trzech albo czterech. Jeden z tych ludzi na murze biegnącym wzdłuż nasypu kolejowego za lodowiskiem klubu hokejowego Cracovia na Grzegórkach namalował kobylistymi literami, wysokimi na metr: „Katyń pomścimy”.

Zbójcka Polska Ludowa

O postępowaniu komunistów dowiadaliśmy się wtedy z Radia Wolna Europa. Słuchając audycji RWE, kombinowaliśmy, co można zrobić, a czego nie. Był to okres Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który miał za sobą doświadczenia 1956 roku na Węgrzech i zdawał sobie sprawę, że łatwo jest poderwać naród do walki z bronią w rękę, ale co dalej? Na razie z Władkiem Dratnałem chodziliśmy do Technikum Chemicznego, przygotowując się do rozprawy z „czerwonym”.

Krzysztof Jabłoński, jeden z chłopaków z naszej paczki, mieszkający w nowych blokach za halą targową przy ul. Grzegórzeckiej, miał ojca, którego zabiło UB, bo był w podziemiu. Ten chłopak był dla mnie żywym dowodem na to, jak zbójcko funkcjonuje Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Pierwszy wyrok – dwa lata w zawieszeniu

Z pistoletem wpadłem, bo – jak się potem domyśliłem – jeden z moich kolegów był kapusiem. Bardzo mi z tego powodu przykro. Za donoszenie dostawał pieniądze. Nie podam jego nazwiska, bo nie wiem na sto procent, czy tak było, a mógłbym obrzydzić mu życie. Tego nie chcę robić.

Gdzieś w trzeciej klasie technikum bezpieczeństwa przyjechała do mojego domu na rewizję, aby szukać pistoletu. Nic nie znaleźli, gdyż pistolet miałem zakopany w piwnicy. Ale pomyślałem, że za godzinę albo za dwie i tak znajdą. No i pokazałem im, gdzie jest. Pistolet zabrali, a potem zrobili próbę balistyczną, na skutek której się rozleciał. To nam uratowało życie. Stanęliśmy przed sądem. Było nas z dziesięciu, wszyscy z Technikum Chemicznego, między innymi wspomniani już Krzysztof Jabłoński i Włodek Dratnal. Zostaliśmy oskarżeni o współudział w nielegalnym posiadaniu broni.

Bronił nas jeden z lepszych adwokatów krakowskich. Nazywany był Doziu. Matka wyp ruła flaki, żeby zdobyć dla niego pieniądze. To on wywalczył, że dostaliśmy tylko dwa lata w zawieszeniu na dwa lata.

Drugi wyrok – znów dwa lata w zawieszeniu

Rok później wymyśliliśmy z kolegami, że aby walczyć o prawdziwą Polskę, trzeba mieć pieniądze. Na pieniądze od emigracji nie było co liczyć, Stronnictwo Narodowe nie miało już nikogo w Polsce. Kiedy zaczęły się nasze praktyki zawodowe w technikum, jedna z dziewcząt – Hanka – powiedziała nam, że tam, gdzie ona ma praktykę, są tygłe platynowe – takie kubeczki używane do analiz chemicznych. Kolega podpuścił ją, mówiąc, że gdyby je zabrała, to mielibyśmy dużo forsy. Należało znaleźć kupca. Trafiło na mnie.

Była taka kawiarnia Zakopianka, blisko krakowskiego Dworca Głównego, gdzie pracował Toni. On się zajmował właśnie takimi rzeczami: kupić, sprzedać, pohandlować. Przyszedłem do niego i mówię: „Toni, są dwa tygłe platynowe do sprzedania, czysta platyna”. „No to przynieś”, powiedział Toni. Zaniołem.

Następnego dnia puk, puk do drzwi. – „Pan Marian?” – „Tak, to ja”. Przyszła milicja i pyta, gdzie są tygłe platynowe. Powiedziałem, że pewna dama poprosiła, żeby jej pomóc te tygłe sprzedać, to dałem je do sprzeda-

nia Toniemu. Wytoczyli mi sprawę z małego kodeksu karnego o kradzież mienia państwowego. Niech ktoś uwierzy albo nie – groził za to wyrok do kary śmierci włącznie.

Zapudłowali mnie i tę Hanę, która te tygle wyniosła. Całe szczęście, na Boga Ojca, że Toni ich nigdzie jeszcze nie sprzedał. Siedziałem w areszcie przy ul. Montelupich. Na przesłuchaniach powtarzałem: dama chciała sprzedać, to jej pomogłem, nie wiedziałem, że kradzione. Zwolnili mnie z aresztu po trzech tygodniach.

Wkrótce stanąłem przed sądem i dostałem dwa lata w zawieszeniu. Matka znowu zapłaciła słono za adwokata. Miałem już dwa wyroki: za posiadanie pistoletu dwa lata w zawieszeniu i znowu dwa lata w zawieszeniu – za współudział w kradzieży. Wyroki nałożyły się na siebie. Od pierwszego z nich Doziu złożył apelację i ten wyrok był jeszcze nieprawomocny, kiedy zasądzi mi drugi. Dlatego nie poszedłem siedzieć. Od drugiego wyroku się już nie odwoływałem.

Po tym wszystkim całe nasze towarzystwo się rozleciało, a mnie wyrzucili z technikum.

Opowiadałem kolegom ze szkoły o Polsce przedwojennej

Matka pojechała do Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Powiedzieli jej, że jedynym miejscem, w którym mogę skończyć szkołę, są Tarnowskie Zakłady Azotowe. Oni mieli taką szkołę przyzakładową. Przeprowadziłem się więc do Tarnowa, gdzie mieszkałem i uczyłem się przez rok. Matka płaciła za moją prywatną kwaterę. W Tarnowie skończyłem czwartą klasę technikum.

Już wtedy wyraźnie widziałem różnicę między Polską dzisiejszą i wczorajszą. Zacząłem szerzyć swoje poglądy. W klasie mnie wszyscy lubili. Jeżeli była tylko jakaś wolna chwila, opowiadałem o Polsce przedwojennej. No i pewnego dnia mój wychowawca, przewspaniały człowiek, jeden z największych patriotów, których tam spotkałem, mówi do mnie: „Miałem szesnaście lat, gdy te »Azoty« budował przed wojną profesor i późniejszy prezydent Polski Ignacy Mościcki. Stoję za tobą na sto procent, ale przestań szerzyć propagandę, że wszystkiemu, co jest w Polsce źle, winni są komuniści. Jak nie skończysz z tym, to będę cię musiał ze szkoły wyrzucić”.

Wziąłem to sobie do serca i jakoś dotrwałem do końca czwartej klasy, choć na koniec tej klasy dostałem poprawkę z matematyki. Zawsze miałem problemy z matematyką, mimo to potem dobrze umiałem liczyć pieniądze.

Czwartą klasę technikum zaliczyłem więc w Tarnowie, a do piątej wróciłem do Krakowa, znów na Krupniczą. Jakimś cudem udało mi się przekonać dyrektora – nazywał się Kałuża, bardzo przyzwoity człowiek – że rodzice nie mają pieniędzy na opłacanie mi stancji w Tarnowie. Prosiłem, żeby mnie przyjął z powrotem. No i on to zrobił, chociaż jak mu powiedziałem, że mam poprawkę z matematyki, to naprawdę zwątpił. Dzięki niemu maturę zdałem w Technikum Chemicznym na Krupniczej w Krakowie w czerwcu 1965 roku.

„Nosilem teczkę” za Andrzejem Zielińskim ze Skaldów

Lata sześćdziesiąte to w Polsce okres tzw. mocnego uderzenia. Pierwsi byli Czerwono-Czarni i Niebiesko-Czarni. Poznałem ich bardzo dobrze. W Krakowie narodzili się wtedy Skaldowie.

Mieszkałem przy ul. Stachowicza 14, a pod numerem 12 mieszkali Andrzej i Jacek Zielińscy. Do nich dołączył Feluś Naglicki z pobliskiej ul. Lelewela i tak w lecie 1965 roku powstał Skaldowie. Było dwóch braci Zielińskich, kolejnych dwóch braci – Zygmunt i Janusz Kaczmarczyk – oraz Kuba, a właściwie Jerzy Fasiński.

Ten okres był dla mnie dość szczęśliwy. Mogę powiedzieć, że „nosilem teczkę” za Andrzejem Zielińskim. Przez prawie dwa lata załatwiałem wszelkie sprawy organizacyjne zespołu, jeździłem ze Skaldami po całej Polsce. Mam jeszcze zdjęcia z nimi z tych lat. Zaprzyjaźniłem się też z innymi big-bitowcami, jak się o nich wówczas mówiło – z Blackoutami, z Mirą Kubasińską, z Danielem Danem (Tadeuszem Woźniakiem), solistą w warszawskim zespole Dzikusy. Był to również okres mojej zażyłej przyjaźni ze Zbigniewem Paletą, grającym na skrzypcach w krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

Byłem ze Skaldami do początku 1967 roku, kiedy się rozleciał ich zespół w pierwszym składzie, którego byłem współautorem. Drugi skład zespołu wyglądał już inaczej, na perkusji grał Jan Budziaszek, który – tak jak ja – chodził do Technikum Chemicznego, a który zastąpił Fasińskiego. Uważa-

łem, że Andrzej z Jackiem prowadzą nieodpowiednią politykę – dzisiaj by się powiedziało – marketingową.

Mózgiem tego zespołu był na początku ich ojciec, Franciszek Zieliński, który przed wojną uczył się muzyki w konserwatorium we Lwowie, ale studiował też prawo na Uniwersytecie Lwowskim i został magistrem prawa oraz magistrem ekonomii. W 1945 roku znalazł się w Krakowie, gdzie jeszcze przed zakończeniem wojny prowadził estradowy zespół wojskowy, potem grał w krakowskiej filharmonii, współtworzył orkiestrę i chór Polskiego Radia w Krakowie oraz krakowski teatr muzyczny. Na początku lat sześćdziesiątych został kierownikiem artystycznym wojskowego zespołu estradowego „Desant”. Był tak związany z wojskiem, że do niedawna myślałem, że w 1945 roku był szefem zespołu muzycznego w armii Zygmunta Berlinga.

Byłem trochę zaskoczony tym swoim odkryciem, bo tak opowiadali mi o ojcu sami bracia Zielińscy. A on powtarzał swoim synom, że wykształcenie przede wszystkim. Miał do nich pretensje o to, że za dużo czasu poświęcają muzyce bigbitowej, a za mało nauce w wyższej szkole muzycznej. Kaczmarscy natomiast uważali, że jeśli jest szansa zostać znanym w Polsce i zarabiać pieniądze, to należy z niej skorzystać. Andrzej z Jackiem, pod wpływem ojca, myśleli trochę inaczej. Ja też wygarnąłem Andrzejowi, że jak jest okazja zarabiania pieniędzy, to należy je zarabiać, a nie zastanawiać się, czy to wypada.

Hołd dla generała Bora-Komorowskiego

Ciągle szukałem okazji, żeby zrobić coś przeciw PRL-owi. Na przykład w 1966 roku uczciliśmy z chłopakami pamięć gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego po jego śmierci. Generał zmarł 24 sierpnia w Londynie. Wiadomość o jego zgonie podała Wolna Europa z datą jego pogrzebu. Wzywali Polaków na całym świecie, żeby w dniu pogrzebu minutą ciszy o godzinie 12 w południe uczcić pamięć generała. Tak też z kolegami zrobiliśmy. W kawiarni Noworolski w Rynku Głównym, od strony Bazyliki Najświętszej Marii Panny, równo w południe staliśmy wszyscy przy stolikach na baczność. Było nas może ze trzydziestu chłopaków. Inni ludzie też powstawali, bo nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. Staliśmy w ciszy minutę, tak jak zostało umówione.

Dwa dni później otrzymałem wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie na placu Wolności. Wezwali mnie i całą resztę po kolei. Pytali, co to oznaczało, że myśmy w kawiarni stali na baczność. Tłumaczyłem się, że nie wiem – inni wstali, to ja też wstałem. Wtedy, pamiętam, jak ten ubek, oficer, powiedział do mnie: „Panie Kaleta, niech pan, za przeproszeniem, w dupy z nami nie gra, bo my dobrze wiemy, dlaczego żeście wstali”.

Morowe chłopaki z ulicy Sarego

Po maturze w 1965 roku pracowałem niecały rok w Instytucie Technologii Nafty w Krakowie przy ul. Łukasiewicza na starej Olszy. Robiłem tam jakieś analizy chemiczne. Potem zatrudniłem się w Krakowskich Zakładach Przemysłu Spirytusowego przy ul. Fabrycznej na Dąbiu. To był już rok 1967.

Zawsze imponowały mi wielkie amerykańskie motocykle. Takich nie spotykało się w tych latach w Polsce, ale były pozostałości sprzed wojny – BMW górnozaworowe i dolnozaworowe. Kraków przodował pod tym względem. Zupełnie przypadkowo się dowiedziałem, że na ul. Sarego jest do sprzedania znakomity przedwojenny motor wyścigowy Sarolea – 500 centymetrów sześciennych w jednym garnku, jak się wtedy mówiło. Wyciągał 180 km na godzinę.

Poszedłem tam i poznałem całą paczkę chłopaków, którzy zajmowali się remontowaniem starych motocykli: Ryśka Borysa, Andrzeja Świętka, Łukasza Czorta, Edka Pędyka, Andrzeja Makomaskiego. Byli niesamowicie zdolni. Potrafili nieomal spod ziemi wydobyć jakąś starą część do motoru z trzydziestego któregoś roku. Łukasz Czort, do którego należał motocykl Sarolea, skonstruował pierwszą w Polsce motorynkę. Wziął silnik od DKW, dorobił ramę i całą resztę. Powinien za to dostać Nobla. Nikogo to jednak nie zainteresowało. Ja już pracowałem, dostawałem wypłatę, a oni byli na studiach i nie mieli grosza przy duszy.

Otworzyć fabrykę motorów w Ameryce!

Zacząłem się zastanawiać, jak zwać z Polski. Poznałem niejakiego Henia, studenta Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie. Teraz to Uniwersytet Rolniczy. On powiedział mi, że ucieka z Polski, bo tu nie ma dla niego przyszłości.

Powiedział też, jak to zrobi – przejdzie przez zieloną granicę z Jugosławii do Włoch, do Triestu. Pomyślałem wtedy, że powinienem zrobić to samo.

Któregoś dnia zwierzyłem się chłopakom z Sarego: w przyszłym roku wyjeżdżam z Polski. Zapytali, jak i gdzie. Wtedy powtórzyłem im to, co opowiadał mi Heniu, że można pojechać do Jugosławii, a stamtąd przejść przez zieloną granicę do Włoch i stać się wolnym człowiekiem. Prosta trasa: Kraków, Budapeszt, Rijeka, później Opatija, potem przez las i już są Włochy.

To się im strasznie spodobało. A ja to wszystko dokładnie obmyśliłem. Ugadaliśmy się, że w 1968 roku sprzedajemy cały ten bajzel, te wszystkie motory, jedziemy turystycznie do Jugosławii i stamtąd wiejemy na Zachód. Po co? Po to, żeby w Ameryce otworzyć fabrykę motocykli.

Przyszedł marzec '68

W marcu 1968 roku Wolna Europa nadawała dzień po dniu relacje z wydarzeń w Warszawie. Zapamiętałem wtedy nazwiska Jacka Kuronia, Adama Michnika, Józefa Dajczgewanda, Seweryna Blumsztajna – jak ich nazywano – marcowych „komandosów”. W Krakowie też zaczęły się studenckie demonstracje. Studenci protestowali przeciwko zdjęciu przez cenzurę *Dziadów* Adama Mickiewicza wystawionych w Teatrze Narodowym w Warszawie. Brałem w tym udział. Nie chcę się chwalić, że w pierwszym szeregu.

Pamiętam wielką marcową demonstrację na Rynku Głównym, nie pomnę dzisiaj już którego dnia. Nikt się z nikim nie umawiał, ale o godzinie 8 wieczorem Rynek był pełen ludzi. Ktoś się wdrapał na pomnik Mickiewicza i zawiesił biało-czerwoną flagę. Ktoś zaczął śpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła*. W tym momencie naprawdę się wzruszyłem. Pojawiły się natychmiast milicyjne szczekaczki na samochodach, zaczęto nawoływać, żeby się rozejść.

Potem, 13 marca 1968 roku w południe odbyła się studencka demonstracja pod Uniwersytetem Jagiellońskim. Widziałem przed Collegium Novum przy ul. Gołębiej samochody milicyjne, na których wieźli takie jakby rury do wystrzeliwania gazu łzawiącego. Jechali Plantami. Strzelali gazem łzawiącym do demonstrantów, których było parę tysięcy. Milicja weszła do Collegium

Novum, jak później mówiono, pobito rektora UJ Mieczysława Klimaszewskiego, mimo że był wtedy posłem na Sejm PRL.

Widziałem na własne oczy, jak z Collegium Novum milicjanci wyciągali dziewczyny za włosy. Wpychali je do suk milicyjnych. Oni atakowali, a tłum się cofał. Kto się potknął, to zostawał. Uciekaliśmy w kierunku ul. Franciszkańskiej, gdzie były remontowane tory tramwajowe. To odcięło ludzi od Rynku i jakoś się wszyscy rozeszli.

Marcowe ulotki – „Prasa kłamie!”

W kilka osób, paczką 5–6 chłopaków, poszliśmy w tym dniu do domu Krzysztofa Jabłońskiego, który mieszkał na Grzegórkach. Nazbieraliśmy po drodze wiele ulotek drukowanych przez „czerwonego”, zatytułowanych *Prawda o wydarzeniach na Uniwersytecie Warszawskim*. Na tych ulotkach pisaliśmy takim grubym pisakiem, który do tego celu specjalnie wykonaliśmy: „Prasa kłamie”. Zrobiliśmy 400–500 takich ulotek. Sporo tego było. Wyszliśmy z nimi z powrotem na miasto, żeby je rozdawać ludziom. Jeden z nas wszedł do tramwaju, otworzył okno i wyrzucił przez to okno ulotki na ulicę.

Potem poszliśmy pod dom akademicki „Żaczek” przy al. 3 Maja przy Błoniach, gdzie zabarykadowali się studenci. Milicja jeździła tam i z powrotem. Fotografowali ludzi, robili tysiące zdjęć. Wiem, bo mi później pokazali moje zdjęcie sprzed pobliskiego hotelu Cracovia. Studenci chodzili po ulicach i rozdawali ulotki. To były takie małe zdjęcia ze sfotografowanym tekstem. Wchodzili z nimi do kawiarni i wkładali je pod szybę na stolikach. Bezpieka miała jednak swoich ludzi. Jeden z nich doniósł, że to my te ulotki robiliśmy.

Marcowe zabawy – kto się przedostanie do Rynku?

Kraków był wtedy przez kilka dni jakby obłożonym miastem. Odwołało wszystkie imprezy rozrywkowe. Z ul. Franciszkańskiej błyskawicznie zniknęły wielkie sterty kostki brukowej do naprawy torów tramwajowych. Milicja zablokowała wejście do Rynku Głównego. Robiliśmy zakłady, komu się uda tam przedostać. Kończyło się to kiepsko – osobnika, który

próbował dotrzeć do Rynku, zatrzymywała milicja. Tak było ze mną dwa lub trzy razy. Złapanych zawozili na pl. Wolności, na krakowską komendę bezpieki.

Już po marcu cała nasza paczka chodziła do restauracji w hotelu Grand przy Sławkowskiej na piwo. A po tym piwie, jednym czy kilku, śpiewaliśmy *Pierwszą Brygadę* i inne pieśni legionowe. Któregoś dnia nas zgarnęli, mnie i Władka Dratnała, przed Grandem, a po paru dniach znowu nas wylegitymowali i zabrali nam dowody osobiste. Kazali się zgłosić na bezpiekę. Tam na pl. Wolności był kapitan Józef Kuliś. On nas wałkował – wypytywał przede wszystkim o to, kto nas napuszcza, żeby zakłócać porządek.

Z Rynku na komisariat przy Szerokiej

Któregoś kwietniowego dnia 1968 roku siedziałem w Rynku z kolegami. Nagle zajechały milicyjne suki i zgarnęli nas wszystkich. Zabrali nam dowody osobiste i kazali się zgłosić na komisariat przy ul. Szerokiej na krakowskim Kazimierzu. Tam się zaczęło wałkowanie, co robimy, czym się zajmujemy, i tak dalej. Zwracałem uwagę, że mnie bezpodstawnie aresztowali, a oni na to, żebym głupio nie gadał.

Pokazali nam zdjęcia z rozruchów marcowych pod hotelem Cracovia. To były zdjęcia z dość dużej odległości. Twierdzili, że tam jestem. To był ich dowód na mój udział w nielegalnym zgromadzeniu. Nie chciałem z nimi dyskutować. O ulotkach, które wtedy robiliśmy, doniósł bezpiece człowiek Kulisia. No i parę dni potem dostałem wezwanie do wojska, tj. do Rejonowej Komendy Uzupełnień.

Wzięli mnie w kamasze

Dwa dni po tym zatrzymaniu musiałem się stawić w RKU. Przyszedłem tam z ręką w gipsie. Zapłaciłem lekarzowi i włożył mi lewą rękę w gips. Uda wałem, że jest złamana, ale po badaniu na komisji napisali, że tylko mocno potłuczona. Powiedzieli, że oni w wojsku ze wszystkiego mnie wyleczą, więc żebym nie zwracał dupy i zameldował się w jednostce Obrony Terytorialnej Kraju w Skawinie pod Krakowem.

Dotychczas byłem zwolniony ze służby wojskowej ze względu na stan zdrowia. Miałem słaby wzrok, a do tego byłem od urodzenia małe chucheko – w wieku 23 lat ważyłem ledwie 50 kilo. Na komisji od razu zmienili mi kategorię wojskową na B, co oznaczało, że z ograniczeniami mogę służyć w wojsku.

W połowie 1968 roku wylądowałem w pułku OTK im. Bartosza Głowackiego w Skawinie. Miałem szczęście, bo w tym pułku nie było właściwie człowieka, który by umiał pisać – tam trafiali ludzie niemający nawet skończonej podstawówki, gdzieś z Podhala, niektórzy już siedzieli za bójkę czy coś innego. A ja miałem maturę, więc zostałem pisarzem batalionu.

W OTK służyło się z przerwą dwa razy po pół roku. Ja odwaliłem pierwsze sześć miesięcy w 1968 roku, drugie sześć miałem odsłużyć w roku 1969, od czerwca. Na kolejnej komisji wojskowej stanąłem na początku 1969 roku. Przez brata Felka Naglickiego ze Skaldów, który pracował w Radzie Narodowej, udało mi się uzyskać na komisji kategorię E – całkowicie niezdolny do służby wojskowej, ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny.

Kapitan Kuliś i jego „lewusi”

Wtedy już na dobre postanowiłem brać nogi za pas i uciekać z PRL-u. Oczywiście nielegalnie. W roku 1968 nie zdążyłem z powodu wojska. Wiedziałem, że muszę to zrobić w 1969.

No, ale bezpieka mnie obserwowała i myślała, że my tam na Sarego robimy nie wiadomo co – produkujemy broń, ulotki i takie rzeczy. Wiosną 1969 roku zamknęli nas wszystkich, chyba dwunastu. Odsiedzieliśmy 48 godzin. Mnie przesłuchiwał w takim wielkim pokoju płk Nowak – zdaje się, że tak się nazywał. On wtedy rządził bezpieczeństwem w Krakowie. Kiedy na chwilę wyszedł z pokoju, ja od razu rzuciłem się do jego biurka, żeby przeczytać, o co jestem oskarżony. A tam było chyba ze dwadzieścia punktów. Wtedy mi trochę mina zrzędła. Jeszcze przykleili do tego, że kiedyś posiadałem nielegalnie broń.

Nowak wrócił po półgodzinie i stwierdził, że muszą się zastanowić, co ze mną zrobić. Zaprowadzili mnie na dół do aresztu. Przynieśli kolację, a następnego dnia obiad. W końcu mnie wypuścili. Odszedłem kawałek z pl. Wolności (obecnie pl. Inwalidów) w stronę parku Krakowskiego, a oni już na mnie

czekali przy parku. Po dziesięciu minutach od wypuszczenia zgarnęli mnie na następnych 48 godzin.

W tym czasie zrobili generalną rewizję na Sarego, ale nie znaleźli niczego poza starymi motocyklami. Śledztwo prowadził kapitan Kuliś. Później przyznali mi się różni „lewusi”, którzy donosili Kulisiowi na mnie i na całą resztę. Jednak nasza przygotowywana ucieczka z Polski nie wyszła na jaw.

Jak wyszliśmy z kryminału, trochę nam miny zrzedły co do planów ucieczki. Jednak wydawało się nam, że już jest po wszystkim. Chłopcy po kolei zaczęli składać wnioski o wydanie tzw. wkładki paszportowej, takiego niby-paszportu do krajów demokracji ludowej, w tym do Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii, która graniczyła z Włochami. Wszyscy dostali z wyjątkiem mnie.

Poszedłem więc na komendę Milicji Obywatelskiej na pl. Szczepańskim i tłumaczyłem jakiemuś burakowi, że każdy człowiek może popełniać błędy w życiu, ja też je popełniłem, ale do Bułgarii to chyba pojechać mogę. Powiedział, że otrzymam odpowiedź za dwa tygodnie. Po tym czasie dostałem wkładkę paszportową na wyjazd do Bułgarii, ale bez możliwości wjazdu do Jugosławii. Ktoś mi jednak wtedy powiedział, że w Budapeszcie można iść do polskiego konsulatu i tam dostać wizę tranzytową na podróż do Bułgarii przez Jugosławię.

Biorę nogi za pas – a ze mną inni

No i w czerwcu 1969 roku zaczęliśmy wyjeżdżać z Krakowa. Pierwsi, w połowie miesiąca, wyjechali Królik, czyli Zygmunt Szaniawski, i Andrzej Makomaski. Pod koniec czerwca dostaliśmy od nich kartkę z Włoch, że są już „u ciotki Ireny” i że wizę tranzytową przez Jugosławię rzeczywiście można dostać w polskim konsulacie w Budapeszcie.

1 lipca pojechałem więc do Budapesztu razem z Ryśkiem Borysem i Edkiem Pędykiem. Do końca 1969 roku uciekło nas osiemnastu. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że system, w którym żyjemy, nie daje nam najmniejszych możliwości zdobycia tego, czego byśmy chcieli.

Oprócz mnie, Pędyka i Borysa, który mieszka teraz w Ameryce, byli jeszcze w tym gronie: Łukasz Czort – mieszka w tej chwili w Danii, jest na eme-

ryturze tak jak ja; Andrzej Świętek, też od motocykli – mieszka dziś w Kopenhadze, pierwszy mąż Maryli Dajczgewand, siostry Józka Dajczgewanda, jednego z „komandosów” z Marca '68; Józek też uciekał razem z nami. Do tej grupy dołączyło kilka następnych osób, bo nie dało się utrzymać naszej ucieczki w całkowitej tajemnicy.

Plan był taki, żeby jechać do Ameryki i założyć tam fabrykę motorów. Szybko się zorientowaliśmy, przebywając już w obozie dla uchodźców we Włoszech, że to są czyste mrzonki, bo żeby cokolwiek zrobić w tym kierunku na Zachodzie, potrzebne były jakieś pieniądze. A my byliśmy zupełnie goli.

Nowe życie (1969–1970)

Był piękny dzień 1 lipca 1969 roku. Z Edkiem Pędykiem i Ryśkiem Borysem wsiedliśmy do pociągu Kraków–Katowice. Potem było jeszcze parę godzin czekania na pociąg Katowice–Budapeszt. Nie mieliśmy ze sobą nic poza wódką, papierosami Carmen i ręcznikami frotté na handel z Madziarami. Tak wyglądał początek wielkiej podróży, która zadecydowała o moim dalszym życiu. To, że udało mi się wyjechać bez zatrzymania przez bezpieczeństwo, a przy okazji zorganizować ucieczkę kilkunastu osób z Krakowa do Włoch, graniczyło właściwie z cudem.

Czas przejazdu z Katowic do Budapesztu minął szybko. W Budapeszcie jednak doznałem szoku. W polskim konsulacie zamiast – jak się spodziewałem – dać mi wizę tranzytową do Bułgarii przez Jugosławię, wyrzucili mnie, grożąc, że mi w ogóle zabiorą wkładkę paszportową i nigdzie dalej nie pojedę. Nie było takiej możliwości, żeby dostać wizę do Jugosławii. Usłyszałem: jedź pan do Bułgarii przez Rumunię i nie zwracaj dupy.

Wizę jugosłowiańską dała mi gumka myszka

Jedyne, co mi pozostało, to podrobić pieczętkę potwierdzającą przyznanie jugosłowiańskiej wizy, tym bardziej że zawsze mnie korciło, by nauczyć się podrabiać jakieś pieczętki czy druki. No i sztuka się udała. Pieczętkę zrobił Pędyk, ale technikę jej wykonania wymyśliłem ja.

Ta technika była bardzo prosta. Włożyliśmy gumkę myszkę pod prysznic, aż stała się mięciutka i nasycona wodą. Następnie Pędyk, któremu ręka przy tym nie zadrżała, przyłożył gumkę do pieczętki „Socjalistyczna Federacyj-

na Republika Jugosławii” w swojej wkładce paszportowej. Ta pieczęć się odbiła na gumce, ale dość słabo. Wobec tego kupiliśmy zielony tusz i zapalczką Pędyc jeszcze raz dokładnie obrysował odbity na gumce obraz. Wtedy przycisnął gumkę do kartki w mojej wkładce paszportowej, odczekał dwie, może trzy minuty i pieczęć okazała się lepsza od oryginału. Pozostało mi więc tylko kupić sobie bilet kolejowy Budapeszt–Rijeka.

Nie wszyscy mieli farta

Jeszcze w pociągu do Budapesztu do naszego przedziału weszła dziewczyna z chłopakiem. Słuchała, jak rozmawiamy, gdzie w Budapeszcie można kupić bilet do Rijeki. Nagle powiedziała po polsku: „Ja jestem Emylke”. Zbaranieliśmy. Okazało się, że jest to Węgierka, która ze swoim chłopakiem, Bułgarem o imieniu Cyryl, też właśnie ucieka na Zachód. Zrobiło się nam wesoło.

Oni próbowali już drugi raz. Za pierwszym razem złapali ich żołnierze jugosłowiańscy na granicy jugosłowiańsko-włoskiej. Po zatrzymaniu nasi znajomi tłumaczyli się na wariata, że pobłądzili w lesie. Nie ponieśli żadnych konsekwencji. Bo jak się ktoś zaparł i twardo obstawał przy tym, że pobłądził, to Jugosłowianie kazali mu tylko pokazać, czy ma pieniądze na powrót do domu, i wsadzali w pociąg powrotny.

Wielu Polaków jednak Jugosłowianie wsadzali do kryminału. Wiem to od człowieka, którego też złapało jugosłowiańskie wojsko. On im z więzienia uciekł, przewędrował całą Jugosławię bez grosza w kieszeni i za drugim razem szczęśliwie przeszedł granicę jugosłowiańsko-włoską. Opowiadał, że w jugosłowiańskim więzieniu na ścianach roiło się od polskich napisów i nazwisk. Zostawili je Polacy, których Jugosłowianie złapali, zamknęli, a potem deportowali do Polski w ręce bezpieki.

Dwa dni za kratkami i prawdziwa wolność

Emylke i Cyryl mówili, w którym dokładnie miejscu próbowali przejść do Włoch za pierwszym razem. Chcieli w tym samym miejscu spróbować jeszcze raz, ale ja się uparłem, że tam nie pojedę. Emylke w końcu kupiła mi bilet do jugosłowiańskiej Rijeki i wędrowaliśmy już razem.

Przyjechaliśmy do Rijeki akurat w dzień urodzin marszałka Tity. Przespa-
liśmy się w krzakach, bo nie mieliśmy pieniędzy na nocleg. Następnego dnia
udaliśmy się do Seżany na półwyspie Istria, ostatniego jugosłowiańskiego
miasta przed włoskim Triestem.

I tak po pięciu dniach podróży z Polski dotarliśmy do włoskiej granicy.
Najpierw szliśmy jakiś kawałek autostradą, która prowadziła z Seżany do
Opiciny – przedmieścia Triestu, następnie skręciliśmy w las i po paru godzi-
nach byliśmy po drugiej stronie. Zgłosiliśmy się do włoskich karabinierów.
Poczęstowali nas wodą mineralną, a potem wsadzili za kraty za to, że nie-
legalnie przekroczyliśmy granicę. Ale po dwóch dniach byliśmy już wolnymi
ludźmi. W Trieście spotkaliśmy dwóch naszych przyjaciół, którzy wyjechali
parę tygodni wcześniej. Każdy z nas mógł sobie teraz wybrać kraj, do któ-
rego chciał wyemigrować. Czekaliśmy tylko na to, żeby biurokracja włoska
załatwiła potrzebne papierzyska.

Już w Jugosławii – chociaż byliśmy tam zaledwie parę dni – zobaczyłem,
jak ogromna przepaść dzieli Polskę od Zachodu. A Jugosławia była wtedy
takim krajem półzachodnim, więc to, co zobaczyłem we włoskim Trieście,
przerastało moją wyobraźnię, bo Triest jest jednym z najładniejszych miast
półwyspu włoskiego.

Obozowy brud i smród w Latinie

28 lipca 1969 roku wsadzono nas do pociągu. Był to chyba najdłuższy pociąg
w ówczesnej historii Włoch. Nie wiem, ile miał wagonów, ale wyekspediowano
nim może kilkaset albo nawet tysiąc ludzi: część do Latiny, a część do Kapui.
Tam znajdowały się obozy dla uchodźców. W Latinie obóz urządzono w daw-
nych koszarach gwardii Benita Mussoliniego. Trzeba pamiętać, że było to mia-
sto położone około 50 km na południe od Rzymu, zbudowane przez Mussoli-
niego dla pokrzepienia włoskich serc na podobieństwo starożytnego Rzymu.

Po wylądowaniu w Latinie szczęki nam opadły. Był tam brud i smród.
W obozie jeszcze raz musieliśmy potwierdzić, że chcemy z Włoch wyjechać
i powiedzieć dokąd. Większość z nas wybrała Szwecję.

Dlaczego Szwecję? Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi
się, że swoje zrobiły liczne filmy Ingmara Bergmana sprowadzane w latach

sześcudziesiątych do Polski. Uważaliśmy też, że kiedyś trzeba będzie dołożyć „czerwonemu”, a Szwecja leży dość blisko Polski. To były dwie główne przesłanki, które zadecydowały o wyborze Szwecji. Zналиśmy ją również z opowiadań Polaków, którzy jeździli tam na zarobek w czasie wakacji. Zarobili parę groszy, przywieźli jakieś używane auto i byli w Polsce milionerami.

W ówczesnym czasie w Italii w obozach dla uchodźców nie było dużo Polaków, może 50–60 osób, przebywało tam natomiast 2–3 tys. Czechów. Z nimi zdarzały się częste bijatyki. Wytykali nam, że polskie wojsko wkroczyło w 1968 roku do Czechosłowacji. Ja w tym wojsku nie byłem, ale rozkaz jest rozkazem i wielu przyzwoitych Polaków wzięto wtedy w kamasze i kazano im maszerować na czeską Pragę.

Hrabini – Bibliotekarka

Ludzie, którzy przeżyli pobyt w obozie w Latinie, zapamiętali mieszkającą tam Polkę, starszą panią dobiegającą siedemdziesiątki, z lekkim garbem, nazywaną przez nas Bibliotekarką. Nigdy nie poznaliśmy jej nazwiska. Ciekawa była historia życia tej kobiety. W 1939 roku jej rodzina, podobno hrabiowska, wysłała ją na badania i pobyt zdrowotny we Włoszech. Wybuchła wojna i ta biedna kobieta już do Polski nie wróciła. Zajmowały się nią różne włoskie instytucje charytatywne. Wylądowała w końcu w Latinie, gdzie została bibliotekarką. Miała maleńki pokój, skromniutko urządzone: łóżko, szafa i stół – zavalony książkami i innymi papierzyskami o Polsce.

Amerykianie wykupywali część nakładu paryskiej „Kultury” i rozpowszechniali ją za darmo. Ktoś wpadł na pomysł, by posyłać „Kulturę” i inne publikacje Polakom w obozie w Latinie, żeby im się nie nudziło i żeby je czytali. To była taka emigracyjna samoorganizacja. Zajmowały się tym polskie wydawnictwa na Zachodzie – „Kultura”, londyńskie „Wiadomości” oraz wydawnictwa książkowe, jak Gryf, Polonia i inne – dzięki którym Polacy przebywający na Zachodzie mogli poznawać ojczyzną historię.

Hrabini prowadziła tę polską bibliotekę. Mieliśmy też w Latinie takiego pana, który się nami opiekował. On był pułkownikiem w armii Andersa, a po wojnie został we Włoszech na stałe. Dostarczał Hrabini książki, którymi również handlował. Nazywał się Zachorski, imienia nie pamiętam. Był

jednym z członków Skarbu Narodowego we Włoszech oraz Rady Jedności Narodowej, dwóch instytucji władz polskich na uchodźstwie. Angażował się politycznie. Sprawował nad nami opiekę z ramienia włoskiej organizacji zajmującej się wysyłaniem uchodźców politycznych nawet na drugi koniec świata, byleby opuścili Italię.

Hrabini była przewspaniałą osobą, jedyną, która mogła nam udzielić jakichkolwiek informacji na temat Włoch. Bardzo często zabieraliśmy ją ze sobą jako naszego tłumacza. Całe życie będę pamiętał, jak przychodziliśmy do niej pożyczyć parę lirów na butelkę wina. Potem pojechaliśmy w daleki świat, a ona tam została sama. Zasłużyła na dobre słowo.

Polski płacz i szloch na cmentarzu pod Monte Cassino

Do obozu raz w miesiącu przyjeżdżał do nas polski ksiądz. Dawał nam po 300 lirów, co wystarczało na dwa litry wina. W sierpniu 1969 roku dał nam po 600 lirów i powiedział, że jeżeli ktoś z nas uważa, że powinien, to może pojechać do Cassino, gdzie odbędą się uroczystości 25-lecia sławnej bitwy pod Monte Cassino. Rocznicę obchodzono 15 sierpnia. Dla mnie to była wielka sprawa. Pojechaliśmy we dwóch z Zygmuntem Szaniawskim. To, co zobaczyliśmy, przeszło moje największe oczekiwania. Cassino miało wtedy 4 tys. mieszkańców, a Polaków z całego świata przyjechało 12 tys. Żył jeszcze gen. Władysław Anders, choć już był po pierwszym zawale serca. Były dziesiątki autobusów, setki prywatnych aut.

Uroczystości zaczęły się rano. Przy grobach polskich żołnierzy poustawiali się ich koledzy, którzy przeżyli. Przyleciał amerykański helikopter i wylądował przy alei prowadzącej na cmentarz. Z tego helikoptera wysiadł gen. Anders. Stanął i zawołał: „Czołem, żołnierze!”. Zaczął się płacz i szloch.

Spotkaliśmy z Zygmuntem kombatanta spod Monte Cassino z Anglii, który nam pokazał miejsce, gdzie podczas bitwy został ranny. Opowiedział, jak to było.

Kupiłem wtedy takie specjalne karnety, które były podbijane stemplem poczty polowej II Korpusu. Przechowałem je do dziś. To było jedno z największych przeżyć w moim życiu. Za rok dokładnie w dniu, kiedy rozpoczęła się bitwa pod Monte Cassino, 12 maja 1970 roku, gen. Anders dostał drugiego

ataku serca i zmarł. Czy akurat tak musiało być? Nie dzień wcześniej ani dzień później, ale właśnie w ten dzień musiał odejść?

Bijatyki z Czechami w Kapui

Z Latiny wyekspediowano nas do kolejnego obozu dla uchodźców, tym razem w Kapui pod Neapolem. Obóz w Kapui wyglądał strasznie. Teraz jest tam podobno ośrodek turystyczny, ale wtedy były to nędzne baraki. Tylko w niektórych z nich była bieżąca woda w kranie. Jak nam opowiadano, w 1914 roku formowano tam z jeńców austriackich polskie oddziały dające początek różnym polskim formacjom powstającym wówczas na Zachodzie. Baraków tych nikt nigdy nie remontował. Znowu powtórzyła się historia z obozu w Latinie – znalazło się tam 20–30 Polaków i 200–300 Czechów. Od czasu do czasu wybuchała między nami bijatyka. Obóz zamieszkiwali też Słowacy, którzy się nie przyznawali do Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej i dlatego stawali po naszej stronie, żeby nas Czesi nie „zaciukali” – jak nam mówili.

Było tam również sporo Albańczyków z Kosowa. Z nimi świat miał problem w latach osiemdziesiątych podczas wojny na Bałkanach, ale już w latach sześćdziesiątych marszałek Tito, chcąc się pozbyć z Jugosławii tej masy analfabetów, wypuszczał ich do Włoch. W wyjeździe nie przeszkadzał im wcale. Albańczycy zabierali żony, dziadków, babcie, a niektórzy nawet krowy i kozy. Emigrowali potem do Ameryki.

Część z moich kolegów wyemigrowała w tym czasie do Danii. Nie wiedzieliśmy za bardzo dlaczego, ale później się wyjaśniło, że Duńczycy brali każdego uchodźcę politycznego – jak by to powiedzieć – „od ręki”. Z moich znajomych do Danii wyemigrował Andrzej Świątek.

Pniaczek od generała Andersa

W obozie w Kapui, tak jak w Latinie, też spotkaliśmy polską duszę. Był to starszy pan, nazywaliśmy go Pniaczek. Dlaczego? Był zatrudniony w obozie, należało do niego zaopatrywanie nas w opał. Zimy na południu Włoch bywają uciążliwe – temperatura w nocy spadała niekiedy do zera,

a z ubraniem było u nas bardzo krucho. Mieliśmy tylko jedną przyzwoitą kurtkę, którą pożyczaliśmy sobie nawzajem, gdy ktoś z nas szedł do miasta. Obozowe baraki w ogóle nie trzymały ciepła. Przeżyliśmy wtedy najchłodniejszą zimę we Włoszech – 1969/1970. Zostaliśmy wyposażeni w piecyki – potocznie nazywane kozami, z taką rurą wystającą z okna albo przez dach baraku. Pniaczek miał zapas drewnianych pni. Dał nam piły i siekiery. Potrafilismy te bezcenne narzędzia odpowiednio spożytkować: cięliśmy duże pnie na mniejsze kawałki, żeby się zmieściły do kozy, i tak jakoś przezimowaliśmy.

Historia Pniaczka ilustruje najsmutniejsze zakończenie II wojny światowej. Służył on w armii gen. Andersa, a potem został we Włoszech. Nie wyemigrował, mimo że miał wtedy taką możliwość. Nic w życiu mu się nie ułożyło. Pochodził z polskich Kresów – mówił z takim śpiewnym, kresowym akcentem, gdy coś nam opowiadał, na przykład o walkach II Korpusu we Włoszech. Był osobą samotną i absolutnie zasługującą na współczucie.

Kawa z Herlingiem-Grudzińskim

Kapua leży zaledwie 25 km od Neapolu. Któregoś dnia przeczytałem w „Kulturze”: nasz korespondent Gustaw Herling-Grudziński, Neapol. Pomyślałem, że trzeba by człowieka odwiedzić. No i pojechaliśmy do niego razem z Zygmuntem Szaniawskim. Za pierwszym razem dzwonił do drzwi i dzwonił, ale nikt nie otworzył. On mieszkał w bardzo dobrej dzielnicy. Jego żona, Włoszka, była przecież córką tego sławnego filozofa Benedetta Croce.

Za drugim razem, gdzieś po trzech miesiącach, Herling-Grudziński otworzył nam osobiście. Przedstawiłem się, Szaniawski też, powiedzieliśmy, że przebywamy w obozie dla uchodźców w Kapui, że czytaliśmy jego rzeczy w „Kulturze” i doszliśmy do wniosku, że byłoby fajnie się z nim spotkać. Poszedł z nami na kawę do najbliższej kawiarni.

Pytał, co się w Polsce dzieje, dlaczego uciekliśmy, jak nam jest w obozie. No to my w płacz, że chodzimy głodni, nie mamy się w co ubrać, nie mamy co jeść, gdzie jest nasz rząd emigracyjny? On się zaczął na to śmiać i mówi: panowie, wy zapominacie o jednej rzeczy, że nasz rząd emigracyjny wydał ostatnie pieniądze parę ładnych lat temu, a w tej chwili utrzymuje się z datków.

Wyszło takie w sumie banalne spotkanie. Grudzińskiego interesowały trochę wydarzenia marcowe w Polsce, jak naprawdę było. Trochę mu o tym opowiedzieliśmy.

Sieroty po Stalinie i po PRL-u

Po kilku miesiącach pobytu w obozie w Kapui, dokładnie 11 lutego 1970 roku, zawieźli nas na słynny dworzec kolejowy Stazione Termini w Rzymie, gdzie w podziemiach znajdowały się miejsca do spania. Następnego dnia zawieźli nas na lotnisko. Tam byli już Żydzi z Polski. Bo oni nie mieszkali tak jak my w obozie dla uchodźców w Latinie czy Kapui, ale w prywatnych kwaterach w Rzymie. Zajmował się nimi HIAS – żydowska organizacja, która załatwiała im wszystko, zapewniała utrzymanie i załatwiała wizę emigracyjną.

Wsadzili nas do samolotu i po paru godzinach wylądowaliśmy w kraju Wikingów. Zacząłem wchodzić w rolę emigranta, taką, jaką wymyślili dla nas Szwedzi. Nie było to ani proste, ani łatwe. Szwedzka biurokracja uważała, że wszystko da się urzędowo załatwić. Podlegaliśmy specjalnemu programowi szwedzkiego ministerstwa zatrudnienia, które miało za zadanie przystosować do życia w ich kraju ludzi takich jak my.

Obóz, w którym wylądowałem, nazywał się Tylösand i był położony koło miasta Halmstad na południu Szwecji. Był to obóz przejściowy. Mieszkaliśmy w domkach letniskowych w jednym z najładniejszych miejsc w kraju. Spotkaliśmy tam Czechów, dwie rodziny albańskie, które nie pojechały do Ameryki, ale właśnie do Szwecji, oraz Polaków żydowskiego pochodzenia – emigrantów marcowych z 1968 roku. Ci ostatni od rana do wieczora krzyczeli, jak ich Polska źle potraktowała. W tym towarzystwie znajdowali się dawni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa PRL, którzy po 1956 roku zostali z bezpieki wyrzuceni, ale i tak byli nieźle ustawieni. Byli też ludzie z warszawskiej Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR, odpowiedzialni za to, co się w Polsce działo za Stalina. Ich koleldy odsunęli ich od żłoba – ale to już inna para kaloszy.

Pamiętam dwa nazwiska. Pfefer pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa, skąd wyrzucili go w 1956 roku i dali sklepik, gdzie dostawał resztki towarów z tzw. sklepów dewizowych, w których kupowało się wyłącznie za dola-

ry. Tak zarabiał. Drugi, którego nazwisko zapamiętałem – Zukerman – był docentem, wykładowcą w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Warszawie. Nie jestem pewien pisowni tych nazwisk, znam je tylko ze słyszenia.

Emigrację wybrała po marcu 1968 roku część polskich Żydów albo – można powiedzieć – część Polaków pochodzenia żydowskiego. Marzec '68 to była dla mnie jedna z najczarniejszych kart historii Polski. Nie rozumiem do tej pory, dlaczego w III Rzeczypospolitej nikt nie został za to pociągnięty do odpowiedzialności. Ale, Chryste Panie Boże, z historii III Rzeczypospolitej można wyciągnąć tylko jeden wniosek: lepiej powodzi się tutaj „czerwonemu” niż na przykład byłym działaczom „Solidarności” czy innym przyzwoitym ludziom.

Oczekiwanie – brydż i „Kultura” paryska

Szwedzi zdecydowali, że ja i paru moich przyjaciół pójdziemy pracować do fabryki. Zatrudnili nas w fabryce wiertel w Halmstadzie, z której dość szybko udało nam się wydostać. Następnie z pięknego Halmstadu przenieśliem się do Malmö, leżącego niecałe 200 km na południe od miejsca zamieszkania moich przyjaciół, którzy troszkę wcześniej wylądowali w Szwecji. Tam w Malmö mieszkaliśmy we czwórce w trzech pokojach. Jeden kolega pochodził z Wrocławia, jeden z Gdańska, ja z Krakowa i jeden z Legnicy.

Po niemal rocznej wędrówce przez pół Europy znalazłem wreszcie w Malmö własny kątek. Jak małe dziecko zaczynałem raczkować w zupełnie nowym dla mnie kraju. Zaczynałem od zera. Musiałem kupić sobie łyżkę, nóż i widelec, aby móc zjeść obiad czy kolację, a także łóżko, aby móc spać jak człowiek.

Dzień zaczynaliśmy od podstemplowania karty w urzędzie zatrudnienia jako bezrobotni. Czekaliśmy na specjalny kurs języka szwedzkiego, żeby nie być analfabetami, bo niestety bez języka w obcym kraju człowiek jest analfabetą. Jasnym punktem na horyzoncie było jednak to, że czułem się wolny i faktycznie byłem wolny. Nie musiałem się obawiać kolejnego aresztowania, przesłuchania czy tradycyjnego zatrzymania na 48 godzin. Wszystko to pozostało gdzieś daleko, ale jednocześnie czułem bliskość Polski.

Zaczytywałem się wywrotową literaturą emigracyjną i po raz któryś zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak potoczyła się nasza historia, że znów odebrano nam wolność. I nie znajdowałem na to pytanie odpowiedzi.

Prowadziliśmy klasyczne „nocne Polaków rozmowy”, które niczego nowego nie przynosiły. W bibliotece miejskiej w Malmö były polskie książki, mieliśmy więc okazję bez znajomości języka szwedzkiego pogłębić swoją edukację. Paryska „Kultura” odegrała w tej edukacji zasadniczą rolę. Trzeba przyznać, że komuniści robili niezłą reklamę polskiemu Instytutowi Literackiemu w Paryżu, nazywając go organem CIA. Wobec tego każdy Polak, na przekór władzy, chciał się zapoznać z tym czystym złem, które amerykańscy imperialiści aplikowali PRL. Tym sposobem redaktor naczelny „Kultury” Jerzy Giedroyc – Książę, z pomocą PRL-owskiej propagandy, walczył się przyczynił do oświecenia prostego ludu. I za to mu wieczna chwała.

Prowadziliśmy wtedy, ja i moi koledzy, styl życia polegający na zamianie dnia w noc, a nocy w dzień. Odbywały się niekończące się turnieje brydżowe, przerywane nocnym czytaniem literatury wywrotowej. Tak organizowaliśmy sobie czas w oczekiwaniu na kolejne kursy języka szwedzkiego dla cudzoziemców. Tę emigrancką idyllę przerwały wydarzenia grudniowe w 1970 roku w Polsce.

Grudzień '70

Nie pamiętam dokładnie tego grudniowego dnia 1970 roku, kiedy pierwszy wieczorny szwedzki dziennik telewizyjny o godzinie 18 podał, że wybuchły strajki w Szczecinie i Gdańsku, a milicja i wojsko użyły broni, są zabici i ranni.

Mieszkając w Malmö, czuliśmy niemal namacalnie grozę tamtych dni. Docierały do nas wiadomości o zabitych, rannych, aresztowanych, co było odpowiedzią władzy na protest robotników w związku z przedświąteczną podwyżką cen żywności. Jak zły sen miałem jeszcze przed oczami demonstracje marcowe w 1968 roku w Krakowie. Widziałem wtedy armatki z gazem łzawiącym i wtargnięcie milicji do budynku Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Takich rzeczy się nie zapomina. Teraz niemal czułem zapach tego gazu łzawiącego, słyszałem krzyk bitych i zabijanych. Działo się to tak niedaleko, za ledwie po drugiej stronie Bałtyku.

Wiedziałem że nie wolno siedzieć z założonymi rękami. Trzeba natychmiast urządzić demonstrację protestacyjną przed Konsulatem PRL w Malmö. Druga myśl to dowiedzieć się na własną rękę, co naprawdę wydarzyło się na Wybrzeżu.

Pracuję dla Księcia

W drugiej połowie grudnia 1970 roku nawiązałem współpracę z „Kulturą” paryską. Z Malmö zadzwoniłem do Jerzego Giedroycia. Przedstawiłem się, powiedziałem, gdzie mieszkam, i zapytałem, czy mógłbym dla „Kultury” coś zrobić. Książę, jako człowiek pragmatyczny, odpowiedział, że najpotrzeb-

niejsze są wiadomości, co naprawdę się w Polsce dzieje, ilu jest zabitych. Prosił, żebym mu to przekazywał.

Mieliśmy wtedy z kolegami takie stare rozklekotane auto. Wymyśliliśmy, że trzeba natychmiast pojechać do Ystad, gdzie regularnie przyplęwa pasażerski prom ze Świnoujścia. Liczyliśmy, że może dowiemy się czegoś od marynarzy lub pasażerów. Byłem motorem tej wyprawy, bo moi koledzy nie bardzo mieli na to ochotę. Przekonywałem ich, że coś przecież dla Polski trzeba zrobić, a jeżeli tam się strzela do ludzi, to sprawa nie podlega żadnej dyskusji.

Wyjeżdżaliśmy parokrotnie. Płaciliśmy za benzynę z własnych pieniędzy, bo nie wiedzieliśmy, gdzie można zdobyć pieniądze na ten cel. Nawiązałem kontakt z gazetą „Svenska Dagbladet”, która przysłała do naszego mieszkania jednego czy dwóch dziennikarzy z tłumaczem. Opowiadaliśmy im o Polsce komunistycznej i błagaliśmy Szwedów o pomoc. Wtedy nie miałem zielonego pojęcia, jak się takie sprawy załatwia. Gazeta napisała, co chciała, czym byłem niesamowicie poirytowany.

Podczas kolejnego wyjazdu do Ystad udało mi się nawiązać znajomość z pewnym polskim marynarzem. Kiedy oni mieli wolny czas, schodzili na ląd robić zakupy w Ystad. Zauważyłem, że nie należy do nich podchodzić, jeśli są w grupie – we dwóch czy trzech. Trzeba było wyczekać, żeby znaleźć pojedynczego człowieka i umiejętnie zacząć z nim rozmowę. Miałem szczęście, że trafiłem na takiego. Poszliśmy pomiędzy małe domki w Ystad. Opowiedział mi, co się działo w Szczecinie. Zapisanie tego wszystkiego było niemożliwe, więc umówiłem się z nim na następną „czternastkę” – marynarze pracowali na promie czternaście dni bez przerwy, a następne czternaście mieli wolne. Obiecał, że postara się zdobyć dla mnie zdjęcia i inne materiały.

Książę podziękował i zapłacił parę groszy

Na rynku były wtedy dostępne magnetofony kasetowe do nagrywania rozmów. Pożyczyłem taki magnetofon od znajomych, bo własnego nie miałem. Wziąłem parę kaset i z powrotem pojechałem do Ystad. Mój znajomy zjawił się tak, jak obiecał. Miał trochę krajowych gazet i parę zdjęć. Przy-

wiół także, co było przewspaniałą rzeczą, jedną czy dwie kasety z relacjami ludzi. Sam też opowiadał, co słyszał i widział.

Zapakowałem to wszystko i posłałem do „Kultury”. Po paru dniach otrzymałem od Giedroycia wielki list z podziękowaniem i prośbą, żeby kontynuować dzieło. Redaktor zaproponował mi, żebym się skontaktował z Norbertem Żabą, który był przedstawicielem paryskiej „Kultury” w Szwecji. Od niego miałem dostać jakieś pieniądze. Było tego mało, ale wystarczało, żeby kupić kilka kaset do nagrywania i benzynę. Z telefonem radziliśmy sobie w ten sposób, że jak miałem coś bardzo ważnego do przekazania, to dzwoniłem do „Kultury” na koszt odbiorcy, w związku z czym mogłem dzwonić za darmo.

Moje materiały z Ystad szybko się wyczerpały, bo znajomy marynarz z promu musiał zmienić pracę. To była wypróbowana metoda „czerwonego”, żeby się ludzie gdzieś nie zakorzenili. Mojego marynarza oddelegowano do połowu ryb. Potem jeszcze parę razy się do mnie odezwał, a w okresie „Solidarności” przypadek zrzucił, że spotkaliśmy się na promie „Pomerania”, kiedy w Kalmarze szukałem kontaktu z polskimi marynarzami, żeby wykorzystać ich do szmugłu maszyn drukarskich do Polski.

Grudniowa misja specjalna zakończona

Muszę przyznać, że wtedy – w grudniu 1970 roku – czułem się osobą bardzo ważną. Sławna „Kultura” paryska i redaktor Giedroyc byli dla mnie w zasięgu ręki. Staralem się być im potrzebny, więc brałem od Norberta Żaby książki i przekazywałem je różnym ludziom. Czy te książki dojeżdżały do Polski, tego nie wiem, ale to było pierwsze moje spotkanie z polską opozycją niepodległościową na Zachodzie po wyjeździe z kraju.

Zorganizowałem też w Malmö demonstrację protestacyjną przed Konsulatem PRL. Wystarałem się o zezwolenie na policji, bo trzeba było je mieć. Zabawne, że z czternastu demonstrujących osób tylko dwie były w pełni Polakami, a reszta to polscy Żydzi, którzy wyjechali z Polski w 1968 roku. Nic bardziej opłakanego.

Demonstracja nie była udana, bo tych czternastu uczestników trudno uznać za sukces. Z okien konsulatu dyskretnie nas fotografowano, wydarze-

nie opisała lokalna prasa i na tym koniec. Niestety, szwedzka Polonia, tak dzisiaj dumna, w latach siedemdziesiątych w ogóle się nie spisała, a w osiemdziesiątych – w okresie „Solidarności” – też bywało różnie.

Dość szybko zakończyłem swoją misję korespondenta paryskiej „Kultury”, ponieważ trzeba było myśleć o sobie. Szybko się zorientowałem, że nic mi z nieba nie spadnie, chociaż Szwecja była krajem absolutnie opiekuńczym.

Polsko-szwedzka karuzela szmuglerska (1970–1981)

Kiedy w połowie lutego 1970 roku wylądowałem w Szwecji, wydawała się ona rajem na ziemi, wkrótce się jednak przekonałem, że takim rajem wcale nie była. Przede wszystkim panowała tam absolutna dyskryminacja imigrantów – nie wiem, czy nie większa niż Murzynów w potępianej przez wszystkich Republice Południowej Afryki. Szwecja przeżywała w ciągu kilkudziesięciu lat parę fal imigracyjnych. Pierwsza była zaraz po wojnie, kiedy napłynęła tam masa Finów, trochę ludzi z krajów bałtyckich i Włochów. Później pojawili się Jugosłowianie.

Polaków nie było dużo. Kierowano ich do pracy w fabrykach albo do sprzątania. Mnie to się nie podobało, bo uważałem, że nie po to uciekłem z Polski na Zachód, żeby być obywatelem drugiej kategorii.

Biorę się za siebie

Byłem osobą bardzo nieuporządkowaną i impulsywną. Taki zresztą jestem do dziś. Przez głowę przewijały mi się różne myśli, co mógłbym robić. Korzystałem z tzw. socjału, choć nie tak beczelnie, jak to robili inni Polacy – brali zasiłek dla bezrobotnych, a oprócz tego pracowali na czarno.

Na początku lat siedemdziesiątych cały czas pozostawałem bezrobotny. Nie miałem przyzwoitego mieszkania, bo w Malmö było tylko jedno duże osiedle mieszkaniowe, gdzie wpełnęli wszystkich cudzoziemców. Tam od razu zaczęły się problemy etniczne.

W 1974 roku, w wieku prawie trzydziestu lat, uznałem, że koniec tej zabawy i trzeba się zająć czymś konkretnym. Na uniwersytecie w Lund

zapisalem się na specjalny kurs języka szwedzkiego dla tych, którzy chcą iść na studia. Tam poznałem moją obecną żonę – Anię Wilk z Częstochowy. Ona wyjechała z Polski do Holandii, do jakiejś swojej rodziny, a z Holandii przybyła do Szwecji i zatrzymała się u swojej koleżanki. Matka tej dziewczyny załatwiła jej pracę na czarno w wielkim hotelu Lundia, gdzie Ania sprzątała od rana do wieczora. Ta znajoma dawała jej za to jakieś grosze, a resztę brała do kieszeni. Ania nie miała zamiaru emigrować z Polski, ale się po prostu w Szwecji zasiedziała.

Zaskoczyło mnie, że ona, pracując na czarno za parę groszy, znalazła jeszcze czas, żeby uczyć się szwedzkiego. Tak to się zaczęło. Ślub wzięliśmy w marcu 1975 roku. Byliśmy biedni jak myszy kościelne. Mieszkaliśmy w jednym małym pokoiku z wnęką, gdzie były dwa podwójne, „zdobyczne” materace, których już nikt nie potrzebował. Znajdowała się tam też druga wnęka z malutką dwupalnikową kuchenką gazową. Tak zaczęliśmy nasze małżeńskie życie.

Postanowiłem zostać optykiem, a żona aptekarką

Bardzo chciałem się dostać na trzyletnie studium optyki, żeby zostać optykiem. To mi się udało. Przez trzy lata 1975–1978 chodziliśmy obydwoje z żoną do szkoły.

Optyk należał do lepszych zawodów w Szwecji, na rynku brakowało ludzi pracujących w tym zawodzie. Wymyśliłem sobie, że jako optyk będę robił coś dobrego dla ludzi, a do tego nie powinienem mieć kłopotów z zatrudnieniem. Zawód ten w Szwecji dawał gwarancję, że zostanę bardzo dobrze sytuowanym człowiekiem, również na emeryturze. Teraz to jest jakieś 20 tys. koron miesięcznie. Z reguły każdy z optyków ma swój własny sklep, a jak nie ma własnego sklepu, tylko jest zatrudniony w czyimś zakładzie, to ma w nim udziały.

Żonę przekonałem, żeby zrobiła kurs technika aptekarza. Bieda u nas była straszna, bo na początku mojej żonie nie dali stypendium. Szwedzkie władze podejrzewały, że nasz ślub to jakiś bajer. Żyliśmy biednie, ale powiedziałbym – wesoło. Jak wszyscy szwedzcy studenci chodziliśmy do taniej dyskoteki. Ja dodatkowo roznosiłem gazety. Każdego dnia zaczynałem pra-

cę o trzeciej rano, żeby zarobić trochę więcej pieniędzy, potem kładłem się jeszcze na godzinkę i szedłem do szkoły.

Nauka i praca od świtu do nocy

Pracowałem też wieczorami. Pewna firma z Malmö – nazywała się Optik Slip – zaczęła lansować w Szwecji plastikowe szkła do okularów. Ja miałem zawsze sprawne ręce i szybko nauczyłem się szlifowania tych szkieł. Oni absolutnie nie nadążali z produkcją, bo te szkła rzeczywiście robiły furorę. Kończyłem więc naukę w szkole o czwartej po południu, a w Optik Slip zasuwałem od godziny piątej do dziewiątej wieczór, gdyż tam się pracowało na dwie zmiany. To była jedna z metod, żeby jakoś dorobić, mieć na dyskotekę czy na piwo, żeby kupić sobie wymarzone auto.

W szkole miałem pewne trudności, bo na początku jeszcze nie mówiłem dobrze po szwedzku. Przez te trzy lata dostałem też w kość z powodu algebry. Gnębił mnie były major szwedzkiego wojska, który w czasie pobytu w Libanie został lekko ranny, pojechał do Ameryki, tam się wykształcił i został optometrystą. Jak wrócił, założył przy urzędzie zatrudnienia w Malmö szkołę dla optyków. No i on dawał nam wycisk, a ja z matematyką zawsze miałem problemy. Na szczęście poznałem kolegę, który był o rok wyżej, nazywał się Edek Frei. I Edzio jakoś mi wtłaczał do głowy tę algebrę. Po skończeniu szkoły umiałem już dobrze mówić i pisać po szwedzku.

W dobrym fachu nie ma pracy dla cudzoziemca

Na czas nauki dostałem od Szwedów stypendium, bo miałem azyl polityczny, ale te pieniądze wystarczały ledwo na życie dla jednej osoby, a dla dwóch to było naprawdę mało. Na szczęście moja żona też później dostała stypendium. Jakoś dotrwaliliśmy do ukończenia szkoły. Niestety po jej ukończeniu pracy dla mnie w Malmö nie było. Wysyłali mnie do pracy u optyka do Luleå, za koło polarne. Wtedy przekonałem się po raz pierwszy, co znaczy dyskryminacja na szwedzkim rynku pracy.

W Szwecji najpierw trzeba być dwa lata zatrudnionym jako optyk, dostaje się papiery czeladnika, a później trzeba zdawać egzamin mistrzowski.

Poczułem na własnej skórze, że Szwed to Szwed, a cudzoziemiec to cudzoziemiec – zawsze ktoś gorszy od Szweda. Optyk to był jeden z najlepszych zawodów w Szwecji. Tam bada wzrok nie lekarz, ale właśnie optyk. Ale mnie, optyka cudzoziemca, żaden optyk Szwed nie chciał zatrudnić. Mimo iż byłem bardzo dobry, jeżeli chodzi o robienie okularów, a tylko trochę gorszy w badaniu wzroku, to w Malmö pracy dla mnie nie było.

Wtedy dogadałem się z moim kolegą z kursu optycznego, nazywał się Stig Palmkron. Nie do końca był Szwedem – urodził się w Szwecji, kiedy jego rodzice uciekli z Litwy w 1945 roku. Zaproponował mi wspólny interes. Sam był dobry w badaniu wzroku i sobie wymyślił, że skoro ja dobrze robię okulary, a on dobrze bada wzrok, to na pewno sobie poradzimy.

Było jednak tak, że on miał pieniądze, a ja nie. I tu się nadziałem na minę, bo myślałem, że wszyscy ludzie są fajni i dobrzy.

Otworzyliśmy wspólny sklep optyczny. Palmkron dał na to większość pieniędzy. Nigdy o finansach ze mną nie rozmawiał. Trzy lata jakoś egzystowaliśmy, potem było gorzej. Kiedy jednak zacząłem rozmowę o pieniądzach, przedstawił mi rozliczenie, że on wyłożył na sklep 80 proc. pieniędzy, a ja tylko 20 proc., wobec tego żebym nie podsakał, bo się to źle dla mnie skończy. No to, panie kochany, któregoś dnia podjechałem wieczorem pod nasz sklep i zgarzałem do worków wszystkie oprawy, które były na półkach, plus najważniejszą rzecz w zakładzie – wertometer, czyli urządzenie do pomiaru soczewek. Wróciłem do domu i zadzwoniłem do wspólnika, że jutro może iść do sklepu i sprzedawać gruszki zamiast okularów. On zaniemówił z wrażenia.

Żona skończyła kurs technika aptekarza i po raz drugi doznaliśmy dyskryminacji. Nie dostała pracy w aptece. Wobec tego poszła na kurs sekretarek zorganizowany przez urząd zatrudnienia. Chodziła na ten kurs kolejne półtora roku i wreszcie dostała pracę w biurze podróży. Potem robiła różne rzeczy, bo to biuro zbankrutowało, była też na bezrobociu, a w aptecę pracuje dopiero od sześciu lat.

KSS KOR rozbudził moje nadzieje

Do roku 1978 nie uprawiałem żadnej działalności politycznej. Cóż, czasem człowiek musi się zająć samym sobą, żeby mieć co do garnka włożyć. Tak to

wyglądało. Zresztą Malmö było miastem, w którym marnie działała Polonia. Nie było nawet lokalu na zorganizowanie spotkania. Z drugiej strony, szczerze mówiąc, i tak nie miałbym na takie spotkania czasu.

Wiadomość o powstaniu KOR-u w Polsce nie zszokowała mnie, ale byłem przekonany, jak wielu innych, że jego założyciele wyładują w więzieniu i taki będzie finał tej zabawy. Aresztowanie w 1977 roku działaczy KOR-u potwierdziło moją opinię. Trochę jednak zmieniłem zdanie, kiedy w lipcu tego roku Jacka Kurońa oraz całą resztę zwolniono, a KOR przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Czasy Gierka okazały się nowym rozdziałem w historii PRL.

Wojtyła zaczyna rządzić Polakami

Pamiętam dzień wyboru Karola Wojtyły na papieża. Przyszedłem do domu, włączyłem telewizor i słyszę, jak spiker mówi, że stała się rzecz niebywała – Polak został papieżem.

Postaram się nie kłamać. Nigdy nie byłem jakimś wielkim katolikiem. Wiedziałem, że Kościół będzie zawsze uprawiał swoją politykę, niekoniecznie taką, jaka była aktualnie Polsce potrzebna – będzie uspokajał tłumy, żeby nie wyszły na ulicę i nie poderżnęły gardła „czerwonemu”. Myślał o tym Giedroyc, gdy wiele lat później mówił do mnie: obawiam się, czy Kościół w Polsce dorósł do roli, jaka mu na głowę spadła. Chodziło mu o zbyt ugodową politykę Kościoła wobec komunizmu.

Wybór Karola Wojtyły był wydarzeniem nie z tej ziemi, ale uczciwie powiem, że nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki wpływ będzie miał ten człowiek nie tylko na Polskę, ale na wszystko, co się będzie działo na świecie. Pamiętałem go z Krakowa, bo on w kościele św. Anny odprowadzał nabożeństwa. To był przecież kościół dla gimnazjalistów i dla studentów.

Niesamowite wrażenie zrobiła na mnie pierwsza wizyta nowego papieża w Polsce w czerwcu 1979 roku i jego pamiętne słowa wypowiedziane w Warszawie: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. W „Kulturze” chyba czytałem jakąś relację z tego pobytu Jana Pawła II w stolicy. Jeden z komuchów napisał, że przedstawiciel radzieckiej agencji prasowej TASS w Warszawie powiedział mu: no to koniec z wami, to ten człowiek będzie rządził Polską za niedługo, a nie wy.

Koraszewski – „ojciec rewolucji” z Lund

Dotarły do mnie wiadomości, że istnieje wydawnictwo NOW-a, które drukuje nielegalne materiały antykomunistyczne. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że to początek wielkich rzeczy, jakie mam do wykonania, że następnym ponad dziesięć lat poświęcę pracy na rzecz Polski – tobym go wyśmiał. Ale życie składa się z przypadków. I taki przypadek dotknął mojej osoby.

Jeden z moich pomocników w sklepie z okularami, też Polak, który przede mną skończył szkołę optyczną, mieszkał w Lund, małym miasteczku uniwersyteckim blisko Malmö. Od czasu do czasu jeździłem do niego. I właśnie w Lund wiosną 1978 roku spotkałem „ojca rewolucji” na terenie Skandynawii, Andrzeja Koraszewskiego. Wszystko zaczęło się od tego spotkania. Poszliśmy na kawę i od słowa do słowa Andrzej przedstawił mi, co robi i dla kogo, oraz ukazał skalę problemów.

Wszyscy wiedzieli, że Koraszewski zajmuje się polityką. Kiedy przyjechał do Szwecji w 1971 roku, wysiadł na dworcu w Malmö z plakatem w rękach: „Jestem uchodźcą politycznym”. Znał wszystkich ludzi Marca '68 – Kuronia, Michnika i innych. Szybko się okazało, że to są wszystko mrzonki, bo Szwecja, jeżeli cokolwiek dla uchodźców politycznych robiła, to przede wszystkim to, żeby wybić im z głowy politykę. Koraszewski prawie cały czas był bezrobotny. Dorywczo roznosił gazety, robił jakieś projekty w urzędzie zatrudnienia, to, tamto i owo. Ale nie odchodził od polityki. W 1978 roku kupił pierwszy powielacz dla opozycji w Polsce. Zaczął od tego, że poszedł na spotkanie ze szwedzkimi studentami. Mówił już wtedy po szwedzku dość przyzwoicie. Opowiedział im, co się w Polsce dzieje, że wychodzą gazetki podziemne. Szwedzki związek studentów dał mu 4,5 tys. koron. Andrzej kupił za te pieniądze nowiutki powielacz, ale nie bardzo wiedział, co z nim dalej zrobić.

Wariaci od polityki

Jeżeli jakiś Polak przyjechał w tych latach do Szwecji i poinformował władze, że „czerwony” go w Polsce gnębił, to miał możliwość pozostania na stałe. Olbrzymia większość Polaków, którzy złożyli takie oświadczenie, nie miała jednak zupełnie do czynienia z jakąkolwiek polityką, czyli dzia-

łałnością antysocjalistyczną, za co byliby represjonowani przez władze PRL. Ci ludzie nie robili niczego przeciw władzy w Polsce, ale chcieli opuścić kraj z przyczyn czysto ekonomicznych i ułożyć sobie życie na bogatym Zachodzie. Przeciętnego polskiego emigranta, choć najczęściej uważał się on za uchodźcę politycznego, sprawy kraju nie interesowały. Hasłem dnia było „dorobić się”.

Jak już wspomniałem, Szwecja tamtych lat to bezsprzecznie państwo opiekuńcze. Można było pozostawać na bezrobociu, brać dodatkowo tzw. socjal, a do tego załatwić sobie na czarno pracę ekstra, np. sprzątanie wieczorami. Wielu Polaków z tego korzystało. Dorabiali się w ten sposób dość szybko, jeżeli tak można powiedzieć, w każdym razie żyli w warunkach przyzwoitych. Nie słyszałem, żeby którykolwiek z nich chciał zajmować się polityką. Zabawę w politykę uważali za zajęcie dla wariatów, bo przecież pieniędzy z niej nie było, a pochłaniała masę czasu.

„Naczelnny wariat” i inni wariaci

Przykładem był miejscowy „naczelnny wariat” – Koraszewski. Z wykształcenia dziennikarz, o pracy w Szwecji w swoim wyuczonym zawodzie mógł tylko pomarzyć, nigdy jej w tym kraju nie dostał. Dopiero w 1986 roku został zatrudniony jako dziennikarz w BBC w Londynie. Nie pamiętam już, czym się zajmowała jego żona. U Andrzeja się wtedy nie przelewało, chociaż – jak mówiłem wcześniej – emigranci z Polski na ogół żyli we względnym dobrobycie. Nic dziwnego jednak, na bezrobociu nawet w Szwecji nigdy nie było dużych pieniędzy, a Andrzej brał zasiłek dla bezrobotnych i zamiast zarabiać, jak maniak robił swoje.

W tym czasie miał już bardzo dobre kontakty z KOR-em. Znał osobiście Jacka Kuronia, Adama Michnika, innych ludzi KOR-u. Cały swój czas poświęcał dla opozycji demokratycznej w Polsce. Jak wiadomo, opozycja polityczna w każdym kraju potrzebuje w pierwszej kolejności pieniędzy na swoją działalność – szerzenie prawdy o tym, co robi i dlaczego. Andrzej Koraszewski kierował „opozycyjnym rydwanem” w Szwecji, miał bezpośredni kontakt z KOR-Szwecja. Dysponował pieniędzmi z paryskiej „Kultury”, sam też często potrafił je wyżebrać tu i tam. Był autorytetem.

Takich maniaków w całej Skandynawii było niewiele: w Sztokholmie Jakub Świącicki i Maria Borowska, w Lund Andrzej Koraszewski i Józef Lebenbaum, a ja w Malmö. Inna grupa maniaków od polityki działała w Kopenhadze w Danii. Mieszkali tam Maryla Dajczgewand, jej ówczesny mąż Andrzej Świętek z Krakowa, mój dobry przyjaciel, z którym razem uciekliśmy z Polski, oraz Roman Śmigielski. To było zaledwie osiem osób na parę tysięcy Polaków zamieszkałych wtedy w całej Skandynawii.

Nie bardzo wiedziałem, co Koraszewski naprawdę robi, ale dowiadywałem się tego kawałek po kawałku. Andrzej z kolei nabierał do mnie zaufania. Powiedziałem mu, co robiłem dla „Kultury” w roku 1970. On wylądował w Szwecji w 1971 roku, czyli już po wydarzeniach grudniowych w Polsce. Zaufał mi. Postanowiliśmy przede wszystkim gromadzić pieniądze na potrzeby opozycji demokratycznej w kraju. Andrzej przyjął za motto działalności emigracyjnej Polaków na Zachodzie, że nasza rola jest służebna wobec rodaków w kraju, że my mamy im pomagać w ich antysocjalistycznych poczynaniach, i to jest dla nas zadanie najważniejsze.

Wołanie o powielacze z Zachodu

W roku 1978 opozycja demokratyczna w Polsce przedstawiała już jakąś siłę, wydawała własne niezależne pisemka, książki, biuletyny. Skala tych działań była wprawdzie niewielka, podejmowano jednak jakieś kroki. Podstawową techniką sporządzania nielegalnych druków był ręczny sitodruk. Główną przeszkodę w podniesieniu ich nakładu stanowił brak „maszyn drukarskich” – mam tu na myśli powielacze białkowe, czyli urządzenia powielające teksty z matrycy papierowej. To była specjalna cienka bibułka nasączona emulsją białkową – stąd jej nazwa. Tekst do wydrukowania był wycinany w matrycy, gdy uderzały w nią metalowe czcionki maszyny do pisania. W tym czasie w każdym liście z kraju proszono o przeszmuglowanie do Polski powielacza. Chodziło przede wszystkim o te najprostsze.

Technika tzw. małego druku, tak to się w Szwecji nazywało, nie była imponująca. Stosowano powielacze przede wszystkim marki Gestetner i Roneo-Vickers. Nasz problem polegał na tym, żeby mieć za co je kupić. W 1978 roku Koraszewski miał już pod łóżkiem ten jeden nowy powielacz, który

kupił za pieniądze otrzymane od organizacji studentów w Lund, zebrane na rzecz pomocy dla KOR-u.

Potrzebne nam były pieniądze na zakup kolejnych powielaczy. Musieliśmy też znaleźć sposób nielegalnego przetransportowania ich do kraju. Nie były to zadania proste.

Zaczynamy z dwoma powielaczami Gestetner 365

Udało mi się znaleźć człowieka, który miał niewielką firmę handlującą sprzętem biurowym, jak różnego typu kopiarki, powielacze, kopiarki do matryc białkowych, farby drukarskie. Ten przyzwoity Szwed, a spotkałem takich wielu przez następne lata, zgodził się wyszukiwać dla nas za małe pieniądze używany sprzęt poligraficzny, jakiego potrzebowaliśmy. Gwarantował też pomoc w naprawach. Mieliśmy również własną „złotą rączkę” do naprawy powielaczy, czyli Andrzeja Świętka w Kopenhadze.

Wprowadziliśmy z Koraszewskim dwie zasady. Po pierwsze, nie kupujemy maszyn i części nowych, ponieważ kosztują za drogo, a można dostać prawie nowe za połowę pierwotnej ceny albo jedną trzecią. Po drugie, tworzymy magazyn maszyn i części zamiennych do nich.

Do wigilijnego stołu w 1978 roku zasiadałem dumny z siebie. Mieliśmy na składzie już dwa powielacze typu Gestetner 365 – jeden elektryczny, na który pieniądze zdobył Andrzej Koraszewski od studentów w Lund, drugi ręczny, kupiony przeze mnie za własne pieniądze na targu ze starociami. Było do nich trochę farby drukarskiej, jak również odpowiednia liczba matryc białkowych. Nie miałem zielonego pojęcia, jak to wszystko dostarczyć do Warszawy. Najważniejsze jednak, że było co wysłać.

Dostarczam części do KOR-owskiego powielacza

Zacząłem od wysyłki części zamiennych do powielacza używanego przez KOR. W 1978 roku na wiosnę pojechałem do ówczesnych Niemiec Wschodnich – czyli Niemieckiej Republiki Demokratycznej, żeby spotkać się tam z bratem mojej żony, Andrzejem Wilkiem z Wrocławia. On był aktorem. Zawiozłem mu drobne części elektroniczne. Andrzej wziął przesyłkę i pojechał do Warszawy.

Zdawałem sobie sprawę, że w NRD mogłem podpaść z kilku powodów. Po pierwsze, byłem na liście uciekinierów z Polski. Przecież NRD-owska bezpieka, czyli Stasi, wymieniała papiery z naszą. Na dodatek nie zameldowaliśmy się formalnie w hotelu w Berlinie Wschodnim, bo Andrzej wynajął pokój dla siebie samego, a obaj w tym pokoju spędziliśmy noc. Potem kupiłem sobie sandały, nie wiedząc, że jest zakaz wywozu butów z Niemiec Wschodnich. A na koniec się okazało, że mieliśmy tylko tranzyt przez NRD. Drugiego dnia na stacji benzynowej podeszły do mnie jakieś typy i zaczęły sprawdzać mój paszport. Powiedzieli, że już jestem u nich za długo.

Powinienem się bać, bo miałem już wtedy szwedzkie obywatelstwo, ale równocześnie miałem jeszcze obywatelstwo polskie, którego się nie zrzekłem. Jakby się uparli, toby mnie złapali za tyłek.

Na granicy NRD-owskiej utworzyli mi bagażnik samochodu, a tam pudełko po sandałach zachodniemieckiej firmy Salamander i rachunek. Najlepsze sandały na świecie. Kosztowały 56 marek, sporo pieniędzy. Marka wtedy stała 1,60 korony szwedzkiej. Celnik obejrzał rachunek i mówi: to pan zapłaci grzywnę 160 marek. Dla mnie to były duże pieniądze. Ale najważniejsze, że części do powielacza dojechały do Warszawy.

Niedawno dowiedziałem się z papierów z IPN, że przez cały czas pobytu w NRD byłem przez Stasi śledzony.

Jak przerzucić maszyny drukarskie za żelazną kurtynę?

Wiosna 1979 roku upłynęła mi na szukaniu sposobu przetransportowania ładunku do kraju. Dość szybko zorientowałem się, że nie ma co liczyć na metody amatorskie i należy stworzyć specjalny kanał szmuglerski.

Przypomniałem sobie wtedy, że w 1974 roku pojechałem do Hamburga z dwoma przyjaciółmi, żeby zarobić trochę pieniędzy po nieudanej eskapadzie do kasyna w Travemünde. Jeden z moich kolegów wymyślił sposób na wygranie fortuny w ruletkę. Nie zastanawiając się zbytnio i spiesząc się, aby – nie daj Boże – ktoś inny nas nie ubiegł, całą bandą pojechaliśmy grać. Jednakże w myśl starego powiedzenia, że „ruletka to amerykańska gra, jednemu weźmie, a drugiemu da”, zostaliśmy w krótkim czasie dosłownie bez jednego centa w kieszeni.

Wybraliśmy się więc do Hamburga, żeby odrobić straty, i tam spotkaliśmy przypadkowo małżeństwo polskich jazzmanów, które grało na stałe w tamtejszych nocnych klubach. Oni poradzili nam, żeby udać się do Moszkowicza, jednej z najbardziej znanych firm sprzedających zachodni szajs polskim marynarzom. Okazało się, że to nie Moda Polska – państwowa firma znana też na Zachodzie – ubiera Polaków, ale hamburska pokątna firma Moszkowicz Spółka Akcyjna. W asortymencie były sweterki, kupowane przez naszych marynarzy na dziesiątki kartonów, i kremplina, materiał kupowany przez nich na setki metrów. Łądowało to w kraju na bazarach i w komisach. Nie było wtedy chyba Polaka czy Polki, którzy by nie mieli spodni lub sukienki z krempliny. Tak Polska się wtedy ubierała.

Zacząłem pracować u „Moska” jako człowiek do wszystkiego. Praca ta polegała na pomaganiu marynarzom polskim oraz innych narodowości w zakupach różnych towarów, a następnie przygotowaniu ich do przeszmuglowania na ląd. Cała tajemnica owego handlu polegała na tym, aby uniknąć oclenia towaru w kraju. W polskich portach odchodził szmugiel pełną parą i wszyscy byli zadowoleni, bo na tym świetnie zarabiali.

Patriotyzm i pieniądze

Mając to w pamięci, zacząłem się rozglądać za polskimi statkami w porcie w Malmö. Bez skutku. Najbliżej leżącym dużym portem była duńska Kopenhaga, ale o polskie statki też nie było tam łatwo. Kilkakrotnie po prostu nie zdążyłem polskiego statku złapać – odpłynął, zanim przyjechałem do portu, bo się za późno dowiedziałem o jego przybyciu. Byłem wówczas świeżo po ukończeniu szkoły dla optyków. Z kolegą, o którym już mówiłem, otworzyliśmy w Malmö sklep optyczny. Mój współnik nie patrzył łaskawym okiem, kiedy znikąłem za często.

Niezależnie od tych niepowodzeń byłem przekonany, że to jedyna dla nas droga przerzutowa do kraju. Zdawałem sobie sprawę, że nie każdy marynarz weźmie ze sobą trefny towar, ale wiedziałem również, że za forszę można wiele załatwić. Pozostawała więc właściwie tylko kwestia za ile. Nie liczyłem na żadne patriotyczne pobudki, doświadczenia nabyte u „Moska” uwolniły mnie od liczenia na patriotyczne sentymenty.

Nie bardzo się to podobało Koraszewskiemu, który uważał, że trochę patriotyzmu od Polaków należy wymagać. Przypominałem mu jednak, że towarzyszył Włodzimierz Iljicz Lenin wywołał rewolucję w Rosji za pieniądze niemieckie, a nie dzięki patriotycznemu nastawieniu ludu rosyjskiego.

Nasza zasada: my płacimy – oni szmuglują

Postanowiłem, że nie ma się co bawić w rozmowy patriotyczne, które prowadził Koraszewski, tylko zawrzeć z marynarzami sztafę, czyli że my im płacimy, a oni szmuglują nasze powielacze do Szczecina lub Gdańska, gdzie ludzie z KOR-u je odbiorą. To miała być nasza metoda.

Niestety, nie miałem szczęścia, żeby złapać w porcie polski statek. Brakowało mi na to czasu, bo musiałem zarabiać na życie – robiłem to codziennie w moim sklepie z okularami, a do tego dorabiałem, sprząając wieczorami. Dlatego moje wyjazdy do Kopenhagi nie były ani proste, ani łatwe.

Andrzej nie do końca był przekonany do mojej metody. Płacenie marynarzom nie bardzo mu odpowiadało. Nie był też pewny, czy oni po zainkasowaniu od nas pieniędzy nie wrzucą naszych maszyn do morza i nas nie oszukają. Ale ja wiedziałem, że marynarz ma swój honor. Według tego honorowego kodeksu, jeśli za przewiezienie czegoś weźmie się pieniądze, to musi to zostać dostarczone do kraju, chyba że zdarzy się jakaś sytuacja nadzwyczajna.

Upolowałem „Dar Bielska”

Pamiętam, był cudowny czerwiec 1979 roku. Mam szczęście do takich pięknych dni, kiedy mi się coś ważnego w życiu przydarza. Właśnie wsiałem na wodolot z Malmö do Kopenhagi, gdzie miałem po raz kolejny polować na polski statek, gdy zobaczyłem zacumowany na redzie portu w Malmö polski jacht. Natychmiast zrezygnowałem z jazdy do Kopenhagi i pomaszerowałem w kierunku tego jachtu.

Był to duży dwumasztowiec „Dar Bielska”. Kiedy wszedłem na jego pokład, po chwili pojawił się prawdziwy wilk morski z wielką brodą, dość niski, krępy człowiek o wesołej twarzy. Zagadnąłem go: „Słuchaj, przyjacielu, nie miałbyś ochoty wypić ze mną piwa?”. Odpowiedział: „Zawsze, piwo to dobra rzecz”.

Poszliśmy więc do portowego pubu, zamówiłem piwo i przedstawiłem się, kim jestem i co robię. Powiedziałem wprost, że jestem współpracownikiem KOR-u. On dobrze wiedział, co to za organizacja i czym się zajmuje.

Pierwszy zapytał, czego bym od niego oczekiwał. Miał na imię Edward. Mówię: „Wiesz, Edek, mamy tutaj maszyny drukarskie, które chcielibyśmy przeszmyglować do Polski, czy mógłbyś nam w tym pomóc?”. On na to: „Teraz wypijemy drugie piwo, ja stawiam”. Wtedy nastąpił przełom. Edek obiecał, że zabierze wszystko, co mamy. Mieliśmy wtedy do wysłania trzy maszyny i sporo książek.

Jedynie słuszna decyzja – zacząć burzyć pojałtański ład

Po rozmowie z Edkiem ustaliłem, że następnego dnia się spotkamy. Zadzwo niłem do Andrzeja czy nawet pojechałem wieczorem do niego do Lund i powtó rzyłem mu moją rozmowę z Edkiem. Cały się trząśłem z podniecenia, że wresz cie coś przeszmyglujemy do Polski. Ale Andrzej wylał mi na głowę kubek zimnej wody. Zapytał z politowaniem, ile czasu znam tego człowieka. Powie działem, że parę godzin. Andrzej odparł, że on po paru godzinach znajomości nie dałby nikomu żadnego powielacza do przewiezienia. Następnie zadał mi pytanie, czy mam jakąś gwarancję, że przekazany do przesyłki powielacz nie wyładuje na dnie Bałtyku, przyczyniając się jeszcze do wytrucia farbą dru karską bałtyckich dorszy. Szlag mnie trafił. Wysłuchałem obiekcji Andrzeja, ale mimo wszystko postanowiłem zaryzykować. Powiedziałem, że jeśli on nie chce, to ja dam mój własny powielacz i zobaczymy, co się będzie działo.

Następnego dnia z rana zadzwonił Andrzej, który przetrwał sprawę i podjął słuszną decyzję, że należy zacząć burzyć porządek pojałtański. Ozna czało to jego zgodę na wysłanie ręcznego gestetnera, który kupiłem na pchlim targu za własne pieniądze rok wcześniej. Nie dał jednak do wysyłki powielacza elektrycznego, który miał od dawna u siebie na składzie.

Polska kontrabanda i „szwedzka przesyłka”

O umówionej godzinie spotkałem się z Edwardem i jego sternikiem, Sta nisławem Reszką. Znowu było piwo. Zaczęliśmy załatwiać interesy. A były to tzw. prawdziwe interesy. Okazało się, że ich jacht jest nafaszerowany

przemycionym z kraju towarem, który należy wynieść na ląd i upłynnić. Przypomniało mi to Hamburg, gdzie w podobny sposób polscy marynarze zdobywali walutę na kupno zachodniego towaru.

Nie zastanawiałem się w ogóle, co mi grozi, jak mnie złapią szwedzcy celnicy na przemyśle polskiej wódki. Nie miałem wyboru. Należało jakoś opróżnić jacht z polskiej kontrabandy i załadować moją „szwedzką przesyłkę”. Przemyczonego z Polski do Szwecji towaru było dużo: wódka, papierosy, osprzęt żeglarski, składane pontony oraz masa innych rzeczy. Bałem się, ale wiedziałem, że musi się udać.

Następnego dnia w samo południe podjechałem moim peugeotem 404 na keję, gdzie był przycumowany jacht Edka i błyskawicznie przeładowaliśmy z jachtu na samochód najbardziej trefny towar: wódkę i papierosy. Nie trwało to dłużej niż parę minut. Zakładałem, i słusznie, że najciemniej jest pod latarnią i nikomu nie przyjdzie do głowy, że w taki sposób coś nielegalnego kombinujemy. Dalsze losy towaru już mnie nie interesowały.

Tego samego dnia po południu załadowałem na jacht naszą przesyłkę. Do pierwszego transportu przeznaczaliśmy jeden powielacz Gestetner 365, matryce białkowe, farbę drukarską, książki, zszywki metalowe oraz zszywacz. Wszystkie te rzeczy wyciągnęliśmy z naszych „magazynów” w Malmö i Lund. Oznaczało to w praktyce, że pod moim małżeńskim łóżem zrobiło się zupełnie pusto. Podobnie jak w garderobie. Prawda była taka, że długo jeszcze nie było nas stać na prawdziwe magazyny.

Oczywiście nie informowałem Andrzeja Koraszewskiego, że to transakcja wiązana. Po co się miał niepotrzebnie denerwować, że w razie wpadki dojdzie do komplikacji dyplomatycznych na wysokim szczeblu, a burzenie porządku po Jałcie może się skończyć karą dla mnie za nieudany przemyt polskiej wódki. To byłby naprawdę skandal.

Po ustaleniu, komu należy oddać naszą przesyłkę w kraju, Edward odpłynął następnego dnia.

Pierwsza maszyna dotarła do adresata – oszalałem ze szczęścia

Zaczęło się czekanie. To jedna z najgorszych rzeczy, którą przeżywałem też później, za każdym razem. Nigdy nie wiedziałem, jak długo to potrwa i czy przesyłka bezpiecznie dojechała na miejsce. Nigdy nie wiedziałem, czy

przewoźnik po jej dostarczeniu zadzwoni natychmiast, czy zrobi to później. W tym wypadku to też potrwało.

Edward miał dostarczyć powielacz na adres w Poznaniu, gdzie mieszkał brat Andrzeja Koraszewskiego. Minął tydzień, półtora, dwa – i nic. Andrzej zadzwonił do mnie i z sarkazmem zapytał, gdzie jest mój kapitan jachtowy z powielaczem. Za drugim razem jednak Andrzej potwierdził, że powielacz dotarł do Poznania do jego brata.

Muszę przyznać, że wtedy oszalałem ze szczęścia. Po raz pierwszy udało się komuś przerzucić przez granicę całą maszynę. Wcześniej przerzucałem tylko części zamienne. Trzeba pamiętać, że taki powielacz ma wymiary 40×40 cm i trochę waży. Tego się do kieszeni schować nie da. Jednak najbardziej cieszyłem się z tego, że Edek nie zawiódł mojego zaufania.

Edek nazywał się Waszkiewicz. Zanim wyruszył z Malmö do kraju z pierwszym ładunkiem, czyli powielaczem zakupionym przeze mnie na pchlim targu oraz jakimiś książkami, umówiliśmy się, że jak tylko będzie szansa przypłynięcia do Malmö drugi raz, to oczywiście przygotuję nowy ładunek.

Niesprawiedliwe szwedzkie cło

Jakoś w lipcu 1979 roku, po potwierdzeniu przez Edwarda następnego przypłynięcia, długo i zawzięcie konferowaliśmy z Andrzejem Koraszewskim oraz Andrzejem Świętkiem z Kopenhagi. Kupiliśmy jeszcze jeden powielacz, marki Geha, ściągnęliśmy maksymalną liczbę książek, zakupiliśmy matryce białkowe, farbę i inne potrzebne akcesoria. Zgromadziliśmy też niezbędne środki na pokrycie kosztów przesyłki.

Cały czas szukaliśmy najtańszego źródła zakupu, bo pieniędzy mieliśmy tyle, co kot napłakał. Nieocenione usługi oddał Andrzej Świętek, bardzo przedsiębiorczy chłopak, który zwrócił się do fabryki Kerosa w Danii, największego w Europie producenta matryc białkowych do powielaczy, i umówił się z nimi, że wszystko, co chcą wyrzucić na śmietnik, dadzą nam za darmo. Umożliwiło to nam zakup po symbolicznej cenie farby w tubkach do powielaczy oraz matryc białkowych.

Poszliśmy w Kopenhadze do tej fabryki z Andrzejem. No i tu się zaczęły numery, bo Szwecja nie należała do wspólnego rynku jak Dania. Od wszyst-

kiego, co wwoziło się z Danii do Szwecji, trzeba było płacić cło i 25 proc. VAT-u. Dla mnie to było nie do pojęcia. Nie dało się wytłumaczyć szwedzkiemu celnikowi, że ten towar z Danii nie jedzie do Szwecji, bo tak naprawdę jest szmuglowany do Polski. Szwedzkie służby celne miały zawsze tę samą odpowiedź: każdy jest zobowiązany płacić cło wwozowe. Po pierwsze, nie mieliśmy pieniędzy na zapłacenie cła, a po drugie uważałem – i tak uważam do dzisiaj – że to niesprawiedliwe. Materiały kupowane przez nas w Danii nie pozostawały na terenie Szwecji, tylko były przekazywane do Polski. W związku z tym nie widziałem powodu, dla którego miałbym płacić Szwedom cło i VAT od wartości zakupu.

Tak zaczęła się moja prywatna wojna ze szwedzkim cłem. Na przykład przejeżdżałem przez granicę autem, w którym miałem pięć wielkich kubłów z farbą. „Masz coś do oclenia?” – pyta szwedzki celnik. „Mam tylko pięć puszek farby do powielaczy” – odpowiadam. „No to jedź” – zezwala. Ale za szóstym razem otworzyli mi auto na granicy i zobaczyli, że te puszki nie były o pojemności po 400 gramów, lecz po 25 kilo. Wtedy dowalili mi grzywnę. Musiałem zapłacić.

Zdecydowałem więc, że aby uniknąć komplikacji, zakupione w Danii materiały będziemy też szmuglować do Szwecji. To spowodowało dodatkowe utrudnienia.

Nasz „finansista” Kuba Świącicki

Zwerbowałem do współpracy Kubę Świącickiego, który od 1972 roku mieszkał w Sztokholmie i też był „rewolucjonistą”, ale innego kalibru niż ja. Był intelektualistą dobrze wiedzącym, czego chce, któremu jednak marzyło się Bóg wie co. Miał cholerne ambicje polityczne. Po przyjeździe do Szwecji zapisał się – i to był jego największy błąd – do Ludowej Partii Liberalistów, czyli Folkpartiet. Szwedzi mu już tego nigdy nie wybaczyli. Bo jeżeli w latach siedemdziesiątych cokolwiek chciałeś robić w szwedzkiej polityce, to musiałeś się zadawać z socjaldemokratami, którzy wtedy władali Szwecją.

Świącicki studiował nauki polityczne i ekonomię na uniwersytecie w Sztokholmie i ostro działał. Matką rewolucji w tym mieście była Maria Borowska, która pracowała na sztokholmskim uniwersytecie. Tam poznała prof. Stena

Johanssona, filozofa, a on z kolei był w tym czasie doradcą premiera Szwecji Olofa Palmego, przewodniczącego Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej od 1969 do 1986 roku. I Borowska razem ze Świącickim przekonali Johanssona, żeby pojechał do Polski zobaczyć, co robi ten polski KOR.

Kuba Świącicki był w Polsce tłumaczem Johanssona. Mając brata Marcina Świącickiego, wtedy szycę w PZPR – to ten, który potem w latach dziewięćdziesiątych był prezydentem Warszawy, a wcześniej ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego – jakby tylnymi drzwiami wepchał się do opozycji demokratycznej. Miał kontakty z paryską „Kulturą”, Księżę dał mu trochę pieniędzy, ale on niczego nigdy do kraju nie posłał. Na tej samej zasadzie Kuba Świącicki nawiązał współpracę z rządem londyńskim. Był wielkim teoretykiem od wszystkiego, gorzej szło mu z praktyką – na jego koncie leżało parę tysięcy koron od rządu emigracyjnego w Londynie i „Kultury” paryskiej, za które nic konkretnego nie udało mu się zrobić. My mieliśmy odwrotny problem – ciągle brakowało nam pieniędzy.

Jak już byłem trochę oblatany w tym wszystkim, to zadzwoniłem do Kuby, że mam możliwości załatwienia sprzętu, tylko nie mam pieniędzy. Powiedział: ja ci pieniądze dam. No i przysłał. Wykorzystał szansę, żeby coś wreszcie zdziałać. Kuba nie stawiał żadnych warunków poza jednym: żeby stosować solidne rozliczenia finansowe. Zrobiliśmy więc dokładny spis co do śrubki, co jest do kupienia i za ile. Pod tym się podpisałem ja, Andrzej Koraszewski, Andrzej Świątek z Kopenhagi, Józek Dajczgewand i jego siostra Maryla. To było jakieś 500–800 dolarów. Alians Malmö–Sztokholm zaczął funkcjonować bardzo dobrze, ale doszedłem do wniosku, że jak najszybciej muszę się skontaktować osobiście zarówno z rządem londyńskim, jak i z „Kulturą”, żeby nie być zdany na pośredników.

Rejs przybrzeżny Gdańsk–Szczecin przez... Malmö

Dni dłużyły mi się w nieskończoność w oczekiwaniu na ponowne przypięcie jachtu z Polski. Jak dotąd żadnych umówionych terminów Edek Waszkiewicz nie dotrzymał. Winien był wiatr, bo jak nie wieje, to jacht nie płynie. Po paru dniach „normalnego spóźnienia”, w sierpniu 1979 roku, Edek zacumował w porcie jachtowym w Simrishamn, około 85 km od Malmö. Zadzwono-

nił telefon i usłyszałem znajomy głos Edka: „Cześć, jestem”. Była to dla mnie duża niespodzianka, bo nie bardzo wierzyłem, że on przyplynie drugi raz.

Ale dopiero tym razem wyjaśniły się pewne sprawy. Sprawa numer jeden – Edek dopiero teraz przyznał się, że jego rejsy do Szwecji są nielegalne. Edek dobierał załogę ze swoich ludzi i bez niczyjego zezwolenia zaczynał turystyczny tzw. rejs przybrzeżny, czyli na przykład Gdańsk–Szczecin. Płynął przez pewien czas tak, żeby go było widać, a kiedy zaczynało dobrze wiać, zmieniał kurs i płynął do Szwecji. W każdą taką podróż zabierano odpowiednią ilość różnego towaru, żeby go w Szwecji sprzedać i na tym zarobić. Trzeba pamiętać, że w końcu lat siedemdziesiątych Polskę dotknęła prawdziwa katastrofa ekonomiczna. Ze sklepów po kolei znikwały wszystkie artykuły codziennego użytku, jak osławiony papier toaletowy, szampony, Bóg wie co jeszcze. Edek za każdym razem pakował na swój jacht kilka kartonów polskiej gorzały, która była sprzedawana Szwedom i Polakom, jak kto chciał.

Kiedy mi to wszystko wyłożył, troszeczkę zrzędlą mi mina. Uświadomiłem sobie, że każdy jego rejs to sprawa trochę samobójcza, ponieważ nie dość, że z Polski wiezie zwykłą kontrabandę, a ze Szwecji szmugiel „polityczny”, jeżeli można to tak nazwać, to jeszcze na dodatek dwa razy – tam i z powrotem – nielegalnie przekracza polsko-szwedzką granicę morską.

Ale po wypiciu jednego czy dwóch piw chłopcy z załogi Edka wprowadzili mnie w realia PRL-u. Po pierwsze, to nie jest takie groźne, jak się wydaje, bo zawsze można przekupić człowieka, który by się do nich przyczepił, a po drugie – Edek nie jest jedynym, który takie rzeczy wyczynia. Nie wiedziałem, ilu jest jeszcze takich kapitanów, ale jego załoga była dobierana z osób naprawdę zaufanych. Zastępcą Edka był Stanisław Reszka, którego nazywaliśmy Kulawiak – po chorobie Heinego-Medina miał protezę na jednej nodze i na nią utykał. Pracował na jachcie jako zaopatrzeniowiec. Dbał o to, żeby w czasie rejsu ludzie mieli co jeść i pić, a od drugiego razu także o to, żeby przygotować meliny w kraju na przyjęcie naszego sprzętu.

Pół litra wyborowej dla dobra stosunków polsko-szwedzkich

Nasz pierwszy udany transport miał historyczne znaczenie, tym bardziej że mogliśmy zapewnić ciągłość dostaw. Na drugi transport ściągnęliśmy mak-

simum tego, co możliwe. Koraszewski nie miał już najmniejszych zastrzeżeń. Przeznaczył do wysyłki swój powielacz, a dokupiliśmy jeszcze jeden.

Jak zwykle moje mieszkanie zmieniło się w magazyn. Żeby dostarczyć sprzęt na jacht Edka, trzeba było wziąć przyczepkę. Miałem wtedy peugeota 404, który wytrzymał nadzwyczaj wiele, rozleciał się na kawałki dopiero w roku 1981. Pożyczyłem przyczepkę, załadowaliśmy i przewieźli sprzęt, ale koło jachtu Edka zaczęli się kręcić szwedzcy celnicy. Udało mi się wytłumaczyć jednemu starszemu celnikowi, że nie robimy nic nielegalnego, jeżeli chodzi o prawo szwedzkie, bo przemycamy sprzęt drukarski dla opozycji demokratycznej w Polsce. Ten celnik okazał się niemal Panem Bogiem. Zamknął dojdźcie do kei, a sam delikatnie tak się ustawił, żeby nam nikt nie przeszkadzał. My, również delikatnie, przerwaliśmy w tym czasie z jachtu do mojego samochodu około dwustu butelek nieocłonej polskiej wódki.

Wyjechałem, pomachałem usłużnemu celnikowi i pomyślałem, jaki to przyzwyczajony człowiek. Z drugiej strony doszedłem do wniosku, gdyby on zatrzymał mój samochód z dwustu butelkami przeschmuglowanej polskiej wódki, to byłaby prawdziwa katastrofa polityczna i nasze burzenie Jałty wyglądałoby podejrzanie. Bo z jednej strony polska opozycja demokratyczna szmugluje powielacze do Polski, a z drugiej rozpija ten już nadzwyczaj rozpity naród szwedzki. Wtedy zawróciłem, podszedłem do tego celnika, podziękowałem mu za wszystko i wręczyłem mu pół litra wyborowej. Uznałem, że zrobiłem to, co można było w tej skomplikowanej sytuacji, dla dobra stosunków polsko-szwedzkich.

Apetyt wielki – realia skromne

Tym razem odbiorcą naszego transportu była NOW-a w Warszawie. Dopiero gdzieś po tygodniu przyszło potwierdzenie odbioru. Opanowała mnie opętańcza radość, że się udało, a co najważniejsze – że udany pierwszy raz to nie był przypadek.

Nie zanośliśmy na następne przyplnięcie jachtu jeszcze w 1979 roku. Dlatego ustaliliśmy wszystko na rok następny. Nie jest łatwo planować na rok do przodu, ale jakoś udało się nam z Edkiem wszystko dograć.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc nasze plany pomocy dla opozycji demokratycznej w Polsce zaczęły przybierać monstrialne rozmiary. Zapomi-

naliśmy o polskich realiach, które odbiegały zasadniczo od naszych zamiarów. Co do jednego nie miałem złudzeń – będą nam potrzebne duże pieniądze, aby możliwości żeglugowe lata 1980 roku wykorzystać do maksimum.

NOW-a – pospolite ruszenie obywatelskie

Muszę przyznać, że niezbyt realistycznie oceniałem ówczesną opozycję demokratyczną w PRL, troszeczkę jak Armię Krajową – że tam wszystko dobrze funkcjonuje, ludzie chodzą jak w zegarku, każdy wie, co ma robić, kiedy i jak. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Było to typowe pospolite ruszenie – jeżeli ktoś miał ochotę, to coś zrobił, a jak ochoty nie miał, to nie zrobił. Jak miał ochotę przyjść na umówione spotkanie, to przyszedł, a jak nie miał, to nie przyszedł. Dlatego niezbędne było zorganizowanie przez Edka w Gdańsku, gdzie wtedy mieszkał, jakichś ludzi, którzy przeszmyglowane przez niego maszyny gdzieś zamelinują, a jeżeli będzie potrzeba, to załatwią transport z Gdańska do Warszawy.

Bardzo szybko się okazało, że KOR – sprawny politycznie – jeżeli chodzi o działania tego typu, miał sprawność bliską zeru. Flaki wypruwało paru dyrektorów NOW-ej. Miałem wtedy kontakt z Mirkiem Chojeckim, a później z innymi. Zresztą z paroma się zaprzyjaźniłem i ta przyjaźń trwa do dzisiaj. Uważałem, że należy załatwiać sprawy z jedną osobą, a nie z czterema czy pięcioma, bo z tego się robi wielki chaos. Dzisiaj śmiało mogę powiedzieć, że 50 proc. sukcesu NOW-ej to był właśnie ten wielki chaos, który dostrzegałem ze Szwecji. Bo gdyby oni zawsze rzeczywiście przychodzili, tak jak mieli przyjść, zrobili, co mieli zrobić, to bezpieka miałyby z nimi łatwiej. A tak nie było.

Moja sypialnia małżeńska w magazynie sprzętu drukarskiego

Nigdy nie należałem do ludzi bardzo uporządkowanych życiowo, którzy prowadzą zapisy: jednego dnia robiłem to, drugiego dnia tamto, jest tak, a nie inaczej. Dopasowywałem każdy dzień do tego, czy świeci słońce, czy pada deszcz. Ale to, co robiłem, zaczynało nabierać tempa.

Codziennie realia nie były łatwe. Z początkiem 1980 roku po wspomnianej już awanturze z moim współnikiem pozbyłem się udziału w sklepie optycz-

nym, którego byłem współwłaścicielem. Zostałem już zwykłym pracownikiem, również w sklepie optycznym, w sławnym mieście Kalmar, znanym z unii kalmarskiej zawartej w 1397 roku między Danią, Szwecją i Norwegią. Mieszkałem w Kalmarze – oddalonym o ponad 200 km od Malmö – przez pięć dni w tygodniu, a do domu w Malmö przyjeżdżałem tylko na sobotę i niedzielę. Musiałem codziennie chodzić do pracy. To bardzo kolidowało ze szmuglem. Ale jakoś sobie z tym radziłem.

Gorzej było z magazynowaniem trefnego towaru. Trzymałem go u siebie w domu. Nastął w końcu taki moment, że aby wejść do naszej małżeńskiej sypialni, trzeba było przeskakiwać jakieś paczki, skrzynki i maszyny drukarskie. Żona buntowała się i mówiła, że chce mieszkać w domu, a nie w magazynie sprzętu drukarskiego. W którymś momencie powiedziała wreszcie: wynoś się z tymi gratami, bo ci je wszystkie wyrzucę przez okno. Nic dziwnego, każda kobieta tak by się zachowała. Musiałem więc pomyśleć, gdzie zabrać zakupione rzeczy na przechowanie.

Co kupować i gdzie to trzymać?

Jesień 1979 roku upłynęła mi na nieustających konferencjach: co, z kim i za ile. Mieliśmy kanał przerzutowy do kraju, działający wprawdzie tylko w okresie lata, ale inni nie dysponowali nawet tym.

Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie nas stać na fabrycznie nowe powielacze i trzeba będzie kupować używane od jakichś firm. Muszą być one doprowadzone przez nas do porządku i dopiero potem wysłane do kraju. Później mieliśmy wiele nieprzyjemności z tego powodu, że kupowaliśmy maszyny używane, bo wszyscy posądzali nas o oszukiwanie tych, co dali na te maszyny pieniądze. Panowało też przekonanie, że maszyny używane szybko się psują. To były bardzo często uwagi ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia o drukowaniu, a chcieli się przypodobać komuś w Warszawie. Przychodzili na przykład do Jacka Kuronia i mówili: to bez sensu wysyłać do Polski te stare graty, skoro można dostać albo kupić tanio nowe. Było to kłamstwo. Ludzie, którzy to mówili, nigdy nie kupili w Szwecji ani jednej maszyny.

Mnie udało się znaleźć człowieka, który był szefem warsztatu w największej wówczas firmie sprzedającej powielacze Gestetner. Dorabiał on

sobie parę groszy każdego miesiąca, wymontowując, czyszcząc, naprawiając i przekazując nam w stanie niemal idealnym sprzęt przeznaczony wcześniej do wyrzucenia. W Szwecji istnieje taki przepis: jeżeli firma kupi nową maszynę, może rozpiścić jej koszt na pięć lat i odliczać te sumy od rocznego dochodu. Dlatego po pięciu latach ta maszyna jakby przestaje dla firmy istnieć, bo kupuje sobie nową. To należało uświadomić naszemu podziemi, a przy okazji – jak trudne rzeczy robiliśmy z dużymi sukcesami.

Maszyny Gestetnera, przeznaczone przez firmy szwedzkie do wyrzucenia, nie były zatem wyrzucane. Na dodatek człowiek, o którym wspominałem, nawiązał współpracę z innymi firmami produkującymi powielacze, jak Roneo-Vickers, i nagle uzyskaliśmy szeroki dostęp do używanego sprzętu drukarskiego. Stałem się ekspertem w tej dziedzinie. Jeszcze niedawno nie miałem zielonego pojęcia, jak działa powielacz, a teraz znałem wszystkie marki na pamięć. Wiedziałem, co się w powielaczu przeważnie psuje i jakie części zamienne będziemy najczęściej wysyłać do kraju.

Udało mi się też załatwić magazyn, żeby nie trzymać gromadzonego sprzętu w domu. Była to piwnica w domu mieszkalnym w odległości 3–4 km od mojego mieszkania w Malmö. Kosztowała jakieś pięćset koron miesięcznie. Wyczyściliśmy ją i pozamiatali z Andrzejem Świątkiem. Zrobiliśmy też półki. Tam mogliśmy swobodnie gromadzić sprzęt do wysyłki.

Rząd warszawski i rząd londyński

Byłem zadowolony z siebie, bo wszystko to, co mieliśmy w magazynach, wreszcie pojechało latem 1979 roku do Polski. Maszyny drukarskie, które w Szwecji byłyby używane przez godzinę czy dwie dziennie, pracowały teraz w Polsce od rana do wieczora. Powodowało to kłopoty z częściami zamiennymi, gdyż żywotność tych maszyn nie uwzględniała tak intensywnej pracy. Poza tym w Szwecji, gdy coś się w nich zepsuło, szło się do sklepu i kupowało odpowiednią część zamienną. W Polsce to nie było możliwe.

Wiosną 1980 roku zaczęły się praktyczne przygotowania do przewidywanych rejsów letnich. Postanowiłem odbyć spotkanie z polskim rządem emigracyjnym w Londynie, aby zdobyć odpowiednie fundusze i ustalić plan działania.

Niewielu ludzi w Polsce wiedziało, że mamy jakiś inny rząd niż PRL-owski rząd w Warszawie. Ale na temat rządu londyńskiego zdania były podzielone też na emigracji. Dla mnie sprawa była prosta. Darzyłem tych ludzi szacunkiem za to, co robią, i nie wdawałem się w zbędne, niekiedy wręcz paranoidalne dyskusje, czy robią to dobrze, czy źle. Najłatwiej jest krytykować innych, a samemu nic nie robić. Niestety jest to niemal nasza cecha narodowa.

Robocza wycieczka do Londynu

Wyjazd do Londynu zorganizowałem sobie na wiosnę 1980 roku w formie najtańszej siedmiodniowej wycieczki turystycznej. Na Zamku, czyli w budynku przy Eaton Place, będącym własnością rządu londyńskiego, odbyłem dwa spotkania. Pierwsze oficjalne, czyli audiencję u prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Ogarnęło mnie wzruszenie na widok tego starszego człowieka siedzącego za biurkiem. Jeżeli ktoś reprezentował polską rację stanu na obczyźnie, to na pewno on. Po cofnięciu przez aliantów uznania Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie w 1945 roku nie kto inny jak Edward Raczyński, polski przedwojenny ambasador w Londynie, przekazał Anglikom klucze od ambasady II Rzeczypospolitej.

Po krótkiej osobistej prezentacji przedstawiłem prezydentowi Raczyńskiemu moje dotychczasowe działania i propozycje na przyszłość. Prosiłem w szczególności o pomoc finansową na pokrycie kosztów wyczarterowania jachtu, jak również na sprzęt drukarski.

Tym, co działo się w kraju, zajmował się komitet, na czele którego stał ówczesny minister spraw krajowych Jerzy Zaleski, jeden z wielu wspaniałych ludzi, z którymi miałem przyjemność współdziałać przez następne lata. Z Jurkiem zaprzyjaźniłem się szybko i nigdy nie mieliśmy problemów we wzajemnej współpracy.

Po dwóch dniach debatowania wydaje mi się, że zdobyłem serca „starszych panów”, jak nazywaliśmy emigrację londyńską. Z Jurkiem Zaleskim i z premierem Kazimierzem Sabbatem ustaliliśmy, że dostanę do ręki pieniądze na wyczarterowanie jachtu dla Edka, skompletowanie przez niego załogi, zakup maszyn i opłacenie rejsu. Nie pamiętam, jaka to była suma,

ale na pewno około 2 tys. dolarów. Takie sumy dostawałem w późniejszym czasie jako minimalne.

Rząd londyński zbierał w ciągu roku około 45 tys. funtów na Skarb Narodowy, z czego 5–10 tys. funtów przeznaczał na – jak oni to nazywali – działalność zewnętrzną, czyli zwalczanie komunizmu w Polsce. To był, wedle ich słów, wdowi grosz, pozyskiwany od Polaków z całego świata przebywających na przymusowej emigracji. Skarb Narodowy wymyślił, zdaje się, Piłsudski, kiedy Polska była jeszcze pod zaborami. Zbierał pieniądze za granicą na szkolenie późniejszych legionistów, na zakup broni i materiałów wybuchowych. Generał Anders powtórzył to w 1949 roku. Część z tych pieniędzy szła po 1981 roku na wydawanie antykomunistycznej bibuły w kraju. Tak więc pewne kwoty trafiały i do mnie.

Nie odmówiłem nikomu, kto walczył z „czerwonym”

Ja ze swej strony uważałem za stosowne poinformować „starszych panów” o sytuacji w kręgach polskiej opozycji demokratycznej w kraju. Już wtedy istniały podziały i nie było bez znaczenia, kto stoi po której stronie.

Przytoczę jeden przykład. Wśród opozycjonistów nie robiłem nigdy różnienia na lepszych i gorszych. Uważałem, że należało pomagać każdemu, kto prowadził walkę z „czerwonym”. Ktoś zwrócił się do mnie w Londynie, czy można by dostarczyć powielacz dla Konfederacji Polski Niepodległej. Odpowiedziałem, że nie widzę przeszkód, tylko muszę mieć adres, gdzie go przekazać, oraz pieniądze na koszty transportu. W Londynie obiecano mi wszystko z wyjątkiem adresu, który miałem dostać od przedstawiciela KPN-u w Malmö.

Po przyjeździe do domu skontaktowałem się z tym człowiekiem. Był miły, ale nic poza tym. Nigdy przyrzeczonego adresu nie otrzymałem, a po jakimś czasie dowiedziałem się, że odmówiłem pomocy KPN-owi, „bo przecież Kaleta jest człowiekiem KOR-u”. Jeszcze długo po tym zdarzeniu szlag mnie trafiał na samo wspomnienie.

Dopiero później Jerzy Giedroyc uświadomił mi, że tak naprawdę to jest bagatela, a należy się spodziewać rzeczy gorszych, czyli oskarżeń o sprzenie-

wierzenie pieniędzy i agenturalność. Dał mi dobrą radę na przyszłość – jeśli mam zamiar kontynuować pracę dla kraju, to albo w ogóle nie powinienem się przejmować tym, co o mnie mówią rodacy, albo ją od razu zakończyć. Zdecydowałem się wtedy kontynuować działalność na dobre i na złe, chociaż miałem niekiedy poważne wątpliwości, czy zrobiłem słusznie.

Absolutny priorytet dla NOW-ej

Po powrocie z Londynu, wiosną 1980 roku, zacząłem planowanie strategiczne. Nawiązałem bezpośredni kontakt z Mirkiem Chojeckim, szefem NOW-ej. Do Warszawy – korzystając z paszportu konsularnego – pojechała moja żona, by spotkać się z Chojeckim. Takich podróży było potem jeszcze kilka. Ustalaliśmy szczegóły dostaw. Było to bardzo potrzebne. Wizyta mojej żony u Mirka otworzyła nam oczy na rzeczywistość, w jakiej żyją i pracują ludzie ówczesnej opozycji demokratycznej w Polsce.

Trudności, które napotykali, były większe, niż można było przypuszczać, a mimo to rosły nakłady nielegalnie drukowanej bibuły, która sprzedawała się jak świeże bułeczki. Jednak już wtedy ludzi dzielono na lepszych i gorszych, już wtedy brak zdrowej konkurencji blokował wiele inicjatyw.

NOW-a miała na Zachodzie absolutny priorytet, ponieważ była pierwszym nielegalnym wydawnictwem w PRL. Ludzie z NOW-ej wyjeżdżali na Zachód, spotykali się z rządem londyńskim, spotykali się z Księciem. Ale gdy w kraju powstało jakieś małe wydawnictwo, to zupełnie nie wiedziało, jak działa polski rząd emigracyjny, więc nie mogło dostać od niego żadnych pieniędzy. Były też takie historie, że rząd londyński miał duży sentyment do KPN-u, bo KPN-owcy organizowali głośne demonstracje niepodległościowe. Ale mimo wszystko byli to świadomi ludzie, przekonani, że trzeba pomagać tym wydawnictwom podziemnym, które są najsilniejsze, a nie tym, które są im najbliższe uczuciowo.

Wydawało się wręcz niemożliwe, aby NOW-a mogła funkcjonować w kraju. Polskie realia nie pasowały do naszych oczekiwań. Dla mnie to oznaczało, że muszę sam zorganizować nie tylko szmugiel sprzętu przez granicę, lecz także jego rozładunek na miejscu. Wiązało się to z dodatkowymi kosztami, dawało jednak pewność dostarczenia przesyłki adresatowi.

Wracając z Londynu, chciałem zahaczyć pierwszy raz w życiu o „Kulturę” paryską. Wyobrażałem sobie, że tam można wejść tak wprost z ulicy, ale tak nie było. Należało wcześniej umówić się z Księciem na spotkanie. Za pierwszym razem to mi się nie udało.

Załoga jachtowa z ludzi RMP

Na wiosnę 1980 roku odwiedził mnie Stasiu Reszka, z którym ustaliliśmy „rozkład jazdy” na lato, jak również pozostałe szczegóły przerzutu sprzętu oraz dostarczenia go adresatowi. Ale przede wszystkim przekazałem Stasiowi kontakt do Bogdana Borusewicza. Stasiu spotkał się gdzieś potajemnie z Bogdanem, który podsunął mu parę nazwisk ludzi nadających się do załogi. Byli to chłopcy z Ruchu Młodej Polski. Chodziło o to, żeby nic o planowanym rejsie nie przeciekło, gdzie nie trzeba. W kraju zorganizowano magazyny oraz ludzi dysponujących odpowiednimi samochodami do przewozu przeschumowanych maszyn.

Moja żona miała paszport konsularny, dzięki temu mogła do Polski jeździć, kiedy i jak chciała, z tym że za ten paszport była duża opłata. Ania jeździła zobaczyć się z rodziną, zwłaszcza z mamą, która mieszkała w Częstochowie. Tym razem wysłałem ją do Gdańska, żeby spotkała się z Edkiem. Zawiozła mu pierwsze pieniądze, które dostałem na moje działania z „Kultury” i od rządu londyńskiego. Edek przyrzekł, że zbierze załogę, załatwi, co trzeba, i na pewno przypłyynie latem 1980 roku.

Zbierałem sprzęt, gdzie tylko się dało

Ja w tym czasie uruchomiłem wszystkie swoje kanały zakupu. Miałem w domu sześć powielaczy – udało mi się je zdobyć od młodych szwedzkich socjaldemokratów, a nawet od komunistów. Młodzi socjaldemokraci w Malmö trochę mnie już znali, z tych środowisk wywodził się premier szwedzki Olof Palme i inni ludzie z jego rządu. Mieli po oddziałach jakiś sprzęt do drukowania: tu był zepsuty gestetner, tam rex-rotary. Od komunistów w Malmö dostałem zepsuty powielacz Rex-Rotary. Nie czuli jakiejś potrzeby zwalczania komunizmu, ale trudno było się im opędzić od faceta, który przyszedł, jak ja, z książkami i podziemnymi gazetkami pod pachą i przekonywał, że do dru-

kowania takich rzeczy będą służyć ich maszyny. Tłumaczyłem, że w Polsce jesteśmy na etapie, na którym była Szwecja w latach dwudziestych, kiedy rujnował ją kapitalizm – jak wiadomo, największy wróg świata pracy. Poza tym od nich ten prof. Johansson był w Polsce, nagrał wywiad z Kuroniem, pokazany potem w szwedzkiej telewizji. To zrobiło swoje.

Podarowany mi przez nich zepsuty sprzęt Andrzej Świątek doprowadził do porządku. Mieliśmy też kupioną przez niego za grosze w firmie Keros w Kopenhadze farbę do powielaczy. Moja żona przywiozła z Gdańska dokładny spis rzeczy, które były potrzebne w kraju. No i tak oczekiwaliśmy pamiętnego lata 1980.

Marynarze z „Pomeranii” – tajna łączność z krajem

Ja właśnie w tym czasie przestałem pracować w Malmö, a zacząłem w Kalmarze, skąd do domu przyjeżdżałem tylko na sobotę i niedzielę.

Jakoś w maju 1980 roku zobaczyłem na ulicach Kalmaru polskich marynarzy. Okazało się, że Polska Żegluga Bałtycka uruchomiła rejsy wycieczkowe do Kalmaru promem „Pomerania”. Dotarłem od razu do marynarzy z „Pomeranii” i nawiązałem z nimi kontakt. Podchodziłem do nich, zaczynałem rozmawiać z jednym, drugim, trzecim. W kolejnym dniu nawinął mi się marynarz, który przywitał mnie tymi słowami: „Panie, myśmy się już spotkali w 1970 roku w Ystad!”.

Powstał wtedy projekt przerwania na „Pomeranii” dwóch albo trzech powielaczy. Było tam dwóch marynarzy mających kontakty z Wolnymi Związkami Zawodowymi z Wybrzeża. Zabierali ze Szwecji gazetki i je dalej rozprawdzali. Czułem dumę, że w kraju znaleźli się ludzie, którzy chcą coś zrobić dla Polski i nie boją się zaryzykować, że stracą pracę, że ich безпеaka zamknie. Jeden z nich to Marek Tarka, mieszka do dzisiaj w Szwecji. Zszedł z promu „Pomerania” 15 grudnia 1981 roku i nie wrócił już do kraju. Stał się naszym organizatorem numer jeden.

Jak już wspominałem, na polskich promach pracowało się systemem czternaście na czternaście, tj. czternaście dni ciągłej pracy, a potem czternaście dni wolnego. Udało się zorganizować w każdym czternastodniowym okresie po dwie osoby, które o sobie nawzajem niczego nie wiedziały. Te osoby kontaktowa-

ły się ze mną listownie przez skrzynkę pocztową u mojego przyjaciela w Malmö, który nie był w nic zaangażowany. Kiedy pojawiały się jakieś papierzyska do przesłania, głównie korespondencja do mnie od Chojeckiego, oni je przewozili w ukryciu na promie, a następnie już w Szwecji wkładali w jakąś grubą kopertę i wysyłali pocztą do mojego przyjaciela w Malmö. W ten sposób byłem na bieżąco informowany o wszystkim, co robi opozycja demokratyczna w Polsce.

Papiery, których nie można było wwieźć do Polski legalnie, oni wnosili na pokład, a następnie przekazywali je w umówionym miejscu w Świnoujściu. Ten kanał był jedną z największych naszych tajemnic. Funkcjonował aż do wypadki „Adama” w roku 1986.

Niestety nic nie wyszło ze szmuglowania powielaczy na „Pomeranii”. Zdecydował przypadek, bo jeden z jej rejsów został nagle odwołany. Z „Pomeranią” miałem jeszcze kontakt po sierpniu 1980 roku w Malmö.

Mnie trafił szlag – a oni, że wszystko będzie dobrze

Pierwszy letni rejs jachtowy Edka zaplanowany był na czerwiec 1980 roku, co oznaczało konieczność ukończenia przeze mnie przygotowań do końca maja. Dostałem jednak wiadomość, że nastąpi opóźnienie i Edek wypłynie dopiero pod koniec lipca. Było to normalne, ale szlag mnie trafił, ponieważ burzyło to mój dokładny plan przesyłek na całe lato. Niestety, na tę sytuację nie miałem wpływu.

W kraju zaczynały się pierwsze lipcowe strajki, a mnie ogarnął strach, czy przybrzeżne rejsy jachtów nie zostaną wstrzymane. Tajną pocztą wysyłałem ponaglące listy, ale otrzymywałem ciągle tę samą odpowiedź, żebym był spokojny, bo wszystko będzie dobrze. Miałem przygotowanych do wysłania sześć powielaczy i masę innych rzeczy. Myślałem przede wszystkim o tym, jak bardzo w okresie strajków jest potrzebny sprzęt poligraficzny.

Pojechało wszystko, co mieliśmy na składzie

W pierwszych dniach sierpnia 1980 roku zjawili się długo oczekiwani przeze mnie goście. Jacht przyplłynął do małego portu jachtowego Lomma, położonego około 10 km od Malmö. Powitaniem nie było końca. Załoga skła-

dała się z czterech młodych ludzi, członków Ruchu Młodej Polski, ówczesnej radykalnej części opozycji. Przegadaliśmy całą noc, a ja znowu byłem cały dzień nieprzytomny z niewyspania.

Stasiu Reszka przywiózł mi pierwszy list od Bogdana Borusewicza. Bogdan pisał, że się strasznie cieszy z zaistniałych możliwości i że dalszym odbiorcą wysyłanego przez nas sprzętu jest NOW-a, która dzieli się tymi dobrami z innymi wydawnictwami niezależnymi. Borusewiczowi nadał mnie Chojecki – dał mu cynk, że jest w Malmö taki Maniek, który będzie przysyłał łódkami sprzęt i trzeba mu w tym pomóc. Do Borusewicza posłałem Reszkę, mówiąc mu, że jak będzie czegoś potrzebował, to żeby powiedział Borsukowi, że jest od Mańka z Malmö. No i Borsuk rzeczywiście pomógł, kompletując załogę Waszkiewiczowi.

Rozładunek jachtu z polskiej kontrabandy odbył się szybko. Tym razem nie było tego dużo: tradycyjnie polska gorzała, jakiś sprzęt na handel – kajaki dmuchane, pontony. Ale wtedy przywieźli niewiele więcej poza wódką, bo nie zdążyli zabrać.

Płaciłem Edkowi, już nie pamiętam dokładnie, jakieś 2 tys. koron, a on dawał chłopakom ze swojej załogi po 100–200 koron, a do tego możliwość sprzedania rzeczy, które ze sobą przywieźli. To była taka transakcja wiązana.

Załadunek odbył się jeszcze szybciej niż wyładunek. Wszystkim bardzo się spieszyło z powrotem. Nasz transport był potężny. Załadowaliśmy wszystko, co było przeznaczone na cały sezon: sześć powielaczy. Jeden z nich, bębnowy roneo-vickers, NOW-a straci już wiosną 1981 roku przy kolejnej wpadce. Bezpieka go zabrała i nigdy już nie oddała. Mówię o tym dlatego, że ten typ powielacza był najbardziej poszukiwany w kraju, co miało swoje uzasadnienie ze względu na jego konstrukcję. Zakładana do niego matryca białkowa leżała na bębnie, który się obracał, przez co nie pękała tak szybko jak w gestetnerze, gdzie wisiała na siatce. Dlatego roneo-vickers był poszukiwany, ale niemal niedostępny na rynku polskim.

Bez refundacji, ale niech tam!

Ładunek na sumę 8–10 tys. ówczesnych koron szwedzkich zawierał także całą masę innych rzeczy potrzebnych w kraju. Dzisiaj nie potrafię wymienić,

co zostało wysłane. Papiery rozliczeniowe tego transportu trzymałem do niedawna w piwnicy, ale kiedy w 2002 roku sprzedawałem dom, musiałem opróżnić piwnicę. Z tego powodu poszło to wszystko na śmietnik. Bardzo tego dzisiaj żałuję, bo to bezcenne dokumenty, ale życie jest życiem. Myślę jednak, że gdzieś w Londynie zachowała się dokumentacja z tego okresu. Potwierdziłaby ona wielką liczbę książek zabranych z mojej biblioteki, a w szczególności wydawnictw paryskiej „Kultury”. Obiecano mi refundację, nigdy jednak się jej nie doczekałem. Refundację obiecał mi Giedroyc, więc poszedłem raz do pani Zosi Hertz i mówię: „Pani Zosiu, parę książek bym prosił, które dałem do Polski”. Ona na to: „Dał pan? A ja panu nic nie dam, bo jak ja bym Jerzego słuchała, to by »Kultura« poszła z torbami już dawno”.

Po załadunku mieliśmy nietęgę miny, kiedy poziom linii wodnej jachtu znacznie się obniżył. Na duży jacht ładowaliśmy więcej, ale wtedy przyplęnęli taką małą łupiną, że nawet zastanawialiśmy się, czy tego wszystkiego nie wypakować z powrotem, tyle to ważyło.

Pożegnanie było minorowe. Wszyscy czuli, że coś się święci, chociaż nikt nie potrafił sprecyzować co. Ustaliliśmy, że zorganizujemy następny rejs, nawet gdyby nie było sprzętu do wysłania.

Jacht Edka odplynał z Lommy w sierpniu 1980 roku, na parę dni przed początkiem strajku w Stoczni Gdańskiej. Gdzieś po tygodniu, zgodnie z moimi wyliczeniami, oczekiwałem potwierdzenia doręczenia ładunku, które jak zwykle nie nadchodziło.

W kraju zaczyna się gotować – strajk w Stoczni Gdańskiej

16 sierpnia 1980 roku miałem urlop. Siedziałem w domu. Było już po strajkach w Lublinie, ale my czekaliśmy na gdańską stocznę. Byłem przekonany – zresztą Edek też to mówił – że w kraju zaczyna się gotować i jest więcej niż pewne, że polskie stocznie staną, będą na czele tego ruchu. Czekaliśmy na to z sekundy na sekundę, z godziny na godzinę. Nic jednak się nie działo. Edek odplynał, nie wiedziałem, czy sprzęt przekazał. A tu nagle wiadomość – strajk w Stoczni Gdańskiej.

W momencie wybuchu tego strajku uznałem, że cały sprzęt, który został przeszmyglowany i zamelinowany w Polsce, należy przekazać strajkującym

robotnikom. Ale „czerwony” uniemożliwił mi kontakt telefoniczny z krajem, bo zablokował łączność telefoniczną z Wybrzeżem. Miałem piekielny żal do siebie, że sześć powielaczy leży gdzieś tam zamelinowanych, a są przecież tak potrzebne Komitetowi Strajkowemu w Gdańsku do drukowania tego, co ma ludziom do powiedzenia.

Pierwsza maszyna dla rodzącej się „Solidarności”

Dopiero po zakończeniu strajku sierpniowego, kiedy odblokowano telefony, Edek zadzwonił do mnie z pytaniem, co ma zrobić ze sprzętem, który przywiózł jachtem. Znaleźliśmy się w zupełnie nowej sytuacji. Powiedziałem krótko: jeden powielacz zanieś do stoczni Andrzejowi Budkiewiczowi. Był on szefem poligrafii w stoczni podczas sierpniowego strajku.

To była pierwsza maszyna drukarska, jaką otrzymała od nas „Solidarność”, jeszcze faktycznie nieistniejąca. Powielacz zakupiony przez polską emigrację. Był to gestetner, który się zepsuł tego samego dnia, kiedy Budkiewicz go dostał. Wtedy zadzwonił do mnie i od tego momentu mieliśmy już stały, bezpośredni kontakt. Zresztą później Budkiewicza przysłano do Szwecji na kurs drukowania, który zorganizowały miejscowe związki zawodowe.

Pozostałe maszyny z tego transportu zostały przewiezione do Warszawy. Przejęła je NOW-a.

Dwa dni w tygodniu dla emigranckiej spółki „Szmugiel”

Pracę w sklepie optycznym w Kalmarze zakończyłem w dniu rozpoczęcia strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej. Mówiąc szczerze, do tzw. normalnej pracy nie bardzo już chciało mi się wracać. Zając związanych z emigrancką spółką „Szmugiel” pojawiało się coraz więcej. To już było zajęcie na cały dzień: należało dzwonić, załatwiać, przychodzić, sprawdzać skrzynki kontaktowe, wysyłać paczki. Poza tym zająłem się organizowaniem pomocy charytatywnej dla Polaków od różnych instytucji szwedzkich. Był to okres, kiedy w kraju nie było niczego w sklepach, więc wydzwaniałem do dziesiątek firm, prosząc o wsparcie.

Wielkim problemem działalności opozycyjnej w Polsce stało się opłacanie ludzi, którzy się nią zajmowali. Jeżeli znajdowały się pieniądze na zakup

sprzętu i materiałów drukarskich, to płacenie miesięcznej pensji tym, którzy na sprzęcie przerzuconym do kraju drukowali nielegalną bibułę, absolutnie przekraczało możliwości darczyńców.

Rozpocząłem wtedy pracę u jednego z największych optyków w Malmö. Zaczynałem o dziewiątej rano, kończyłem o szóstej wieczorem, z godzinną przerwą. Wywalczyłem sobie jednak dwa wolne dni w tygodniu, abym mógł robić to, co chcę.

Giedroyc – przecudowny człowiek

Jesienią 1980 roku odbyłem kolejną podróż do Londynu. W drodze powrotnej zahaczyłem o Paryż, żeby spotkać się osobiście z redaktorem Giedroyciem. Jego „Kulturę” wyobrażałem sobie tak, jak ją opisywał „czerwony” – że to jakaś potężna instytucja z biegającymi po jej siedzibie dziesiątkami ludzi i kręcącymi się wszędzie agentami. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wcale tak nie było. To był przyzwoity dom mieszkalny, dobrze utrzymany, piętrowy, na dole znajdował się gabinet Giedroycia i słynna oranżeria, gdzie Książę prowadził poważne rozmowy ze swoimi gośćmi. Obok były jeszcze dwa o wiele mniejsze budyneczki. W jednym mieściło się archiwum z różnymi wydawnictwami do poczytania, a w drugim było miejsce do spania dla przyjezdnych.

Przedstawiłem się Księciu – kim jestem, co robiłem, przypomniałem rok 1970. Okazał się przecudownym człowiekiem.

Wtedy były dwa wielkie ośrodki emigracyjne prowadzące działalność polityczną: bezsprzecznie rząd emigracyjny w Londynie z ministrami i premierem oraz właśnie „Kultura” w Paryżu z Księciem, czyli redaktorem Jerzym Giedroyciem, z panią Zosią Hertz i ich wspianiałym czarnym spanielem o imieniu Black, który zresztą ugryzł mnie w nogę, z Józkiem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Herlinga-Grudzińskiego poznałem ponad dziesięć lat wcześniej, w roku 1969, kiedy przebywałem w obozie dla uchodźców w Kapui. Jego adres domowy dostałem telefonicznie właśnie z „Kultury”.

Opowiedziałem Księciu, jak się robi szmugiel do Polski. Był zachwycony, powiedział, że właściwie pierwszy raz widać, że Polacy to naród, który jak chce, to potrafi. Obiecał dać pieniądze. Dostałem wtedy od niego jakiś tysiąc czy dwa tysiące franków na wszystkie sprawy do załatwienia.

Komu chcieliśmy pomagać

Jesienią 1980 roku uzgodniliśmy pewien plan. Rząd londyński nie miał za dużo pieniędzy przeznaczonych dla kraju, jakieś 2–3 tys. dolarów, to było wszystko. U Księcia bywało z pieniędzmi różnie, czasem miał więcej, czasem mniej. W tej sytuacji te dwie emigracyjne instytucje zgodziły się ze mną, że jeżeli zarejestrowanej już formalnie „Solidarności” pomaga cały świat – a tak wtedy było, bo cały świat chciał pomóc pierwszemu wolnemu związkowi zawodowemu w kraju komunistycznym – to my będziemy pomagać nie „Solidarności”, lecz krajowym niezależnym, nielegalnym wydawnictwom. Nie każdy miał ochotę dać powielacz, żeby wydrukować na nim, powiedzmy, wiersze Czesława Miłosza czy Zbigniewa Herberta.

Rozpocząłem bardzo poważnie przygotowania, bo następny rok – 1981, jak się spodziewaliśmy, miał przynieść wielkie cuda. Sytuacja polityczna w Polsce zmieniała się niemal z godziny na godzinę. Niezależnie od tego, co planowaliśmy, trzeba się było przygotowywać na różne okoliczności.

Chojecki mnie otrzeźwił, że jeżeli chodzi o nasze sprawy, to nic się nie zmienia – niezależna poligrafia w Polsce musi dostawać sprzęt drukarski, i to coraz więcej. A ponieważ socjalistyczne państwo nie zamierza pozwolić jej normalnie działać, nadal mamy szmuglować do kraju sprzęt z zagranicy.

W tym momencie spadł mi kamień z serca. Wiedziałem, że będę robił nadal to, co chciałem robić, i to z dużo większym pożytkiem niż do tej pory.

Trzy pierwsze offsety dla NOW-iej od Eugeniusza Smolara

Bracia Smolarowie – Genek i Aleksander, z których pierwszy mieszkał w Londynie, a drugi w Paryżu – byli urodzeni do polityki. Robili politykę od zawsze, niekoniecznie z pożytkiem dla Polski, ale na pewno z pożytkiem dla siebie. Podczas moich dwóch londyńskich wizyt w 1980 roku spotkałem się Genkiem, pracownikiem polskiej sekcji BBC. Błyskawicznie dogadaliśmy się w sprawach praktycznych, natomiast nie zawsze mieliśmy to samo zdanie w sprawach politycznych.

Obydwaj bracia Smolarowie byli zaangażowani bardzo mocno w Marzec '68. Współdziałali z prof. Leszkiem Kołakowskim, przedstawicielem KOR-u na Zach-

dzie. Profesor, wygnany z kraju w 1968 roku, nie miał czasu zajmować się KOR-em, więc zajął się tym Genek Smolar, który utrzymywał kontakty z Blumstajnem i innymi w Polsce. Po wydarzeniach radomskich w czerwcu 1976 roku powstał w Anglii komitet pod nazwą Apel na Rzecz Polskich Robotników. Główną postacią w tym Komitecie był prof. Kołakowski. Komitet zebrał sporo pieniędzy nie od polskiej emigracji, ale wyłącznie od Anglików. Z tego funduszu Genek Smolar załatwił pieniądze na kupienie trzech pierwszych offsetów dla NOW-ej. Kosztowały 35 tys. koron szwedzkich. To już nie były żarty. Dolar stał wtedy jakieś 6 koron, więc wynosiło to około 5–6 tys. dolarów. Dość duże pieniądze.

Udało mi się wejść w bardzo dobre układy z firmą Roneo-Vickers w Malmö, której Smolar przelał pieniądze bezpośrednio na konto. Trzy zakupione przez niego offsety odebrałem pod koniec października 1980 roku. Znowu był problem, gdzie je przechować, ale na szczęście miałem już piwnicę wynajętą na magazyn. Tam powędrowały i czekały spokojnie na wysyłkę.

To były offsety używane, bo nowy kosztował tyle, ile te trzy. Dlatego miałem też własną obsługę techniczną, która wykonała przegląd zakupionych maszyn. Zajął się tym Jugosłowianin mieszkający w Szwecji, pracownik firmy Alcatel Berg Bolinder, będącej przedstawicielem marki Roneo-Vickers na Szwecję. Jak trzeba było coś naprawić, to do niego dzwoniłem, on przychodził, sprawdzał, naprawiał i mówił: jesteś mi winien tyle i tyle. Brał ode mnie pieniądze na czarno, ale ja się musiałem z tego jakoś rozliczyć. Drugim moim „serwisantem” – jak już wspomniałem – był Andrzej Świętek z Kopenhagi.

Offset to już była duża rzecz. Mógł pracować długo, drukował profesjonalnie. Jednak przerzucenie do Polski trzech offsetów, które ważyły sporo, nie było ani proste, ani łatwe. Planowałem, że zostaną wysłane w 1981 roku, kiedy do Szwecji znowu przyplynie Edek.

Szwedzkie związki zawodowe odstawiają Świąćckiego

Powstanie „Solidarności” było, jak by to powiedzieć, ósmym cudem świata. Jednak nie wszystkie kraje były na ten cud przygotowane. Szwecja, gdzie mieszkiałem od ponad dziesięciu lat, z trudem uznawała „Solidarność”. Tam od stu lat rządzą socjaldemokraci na spółkę ze związkami zawodowymi, tzw. Landsorganisationen i Sverige, szwedzką konfederacją klasowych związków

zawodowych. Związki te szły ręka w rękę z partią socjaldemokratyczną i były bardzo upolitycznione. Według mnie tak nie powinno być, bo związki zawodowe mają zajmować się robotnikami, a nie strategią partyjną.

Szwedzka LO uznała „Solidarność” jako ostatnia organizacja związkowa na świecie. Takie są fakty, choćby nie wiem jak Szwedzi się dziś tłumaczyli. Jakub Świącicki, który miał różne genialne pomysły, zaproponował, że w związku z tym, że Szwecja pozostaje krajem neutralnym, należy Szwedów namaścić, czyli uczynić z LO koordynatora pomocy Zachodu dla „Solidarności”. Pomysł nie był taki głupi, bo Szwecja leży niedaleko od Polski, związki zawodowe są tam silne i miały odpowiednie zaplecze. Ale Szwedzi nie bardzo mieli ochotę mieszać się do spraw „Solidarności” na arenie międzynarodowej. Świącicki o tym jednak nie wiedział. Wysłał moją żonę do Lecha Wałęsy, aby przywozła od niego odpowiednie upoważnienie, że on – Świącicki – jest człowiekiem odpowiedzialnym za koordynację pomocy na terenie Szwecji. Miało to uczynić „Solidarność” potentatem, jeżeli chodzi o poligrafię. Rzeczywiście pieniądze na „Solidarność” sypały się z prawa i z lewa. Ile ich było? To wielka tajemnica szwedzkich związków zawodowych.

Wyjazd mojej żony do Gdańska, do Wałęsy, zakończył się tylko połowicznym sukcesem. Lechu nie miał nic przeciwko temu, żeby Szwedzi koordynowali pomoc dla „Solidarności”, wręcz przeciwnie, był tym zachwycony. Podejrzewam, że nie znał ówczesnej centrali szwedzkich związków zawodowych. Wałęsa upoważnienie dla Świącickiego dał, tylko nie przystawił pieczętki „Solidarności”, która mu się gdzieś akurat zapodziała. Zresztą okazało się ono niepotrzebne, bo Szwedzi Świącickiego odstawili, powiedzieli mu, żeby się zajął czym innym. W tym czasie zasiadał on już w Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli, której Szwedzi wytłumaczyli, że sobie poradzą bez pomocy polskich emigrantów.

Szwedzcy przywódcy wierni ustaleniom jałtańskim

Nie bardzo to rozumiałem, bo uważałem – i uważam do dziś – że ktoś z nas powinien tam w LO być z tej prostej przyczyny, że my znaliśmy polskie realia, wiedzieliśmy, czego „Solidarności” najbardziej potrzeba, a poza tym, jeżeli się nie jest Polakiem, to się nie pojmuje polskiej duszy. Szwedzi zupełnie nie rozumieli sytuacji w Polsce, która powstała po wielkich strajkach na Wybrzeżu.

Używam słów „nie rozumieli”, choć może należałoby powiedzieć inaczej – nie chcieli się w to mieszać.

Szwedzka polityka zagraniczna była podporządkowana ustaleniom alian-tów w Teheranie i Jałcie. Jakikolwiek zdarzenie podkopujące te ustalenia robiły zamęt w mózgach ministrów spraw zagranicznych Królestwa Szwecji. O ile ze strony społeczeństwa szwedzkiego mieliśmy pełne poparcie, o tyle ze strony szwedzkiego rządu, związków zawodowych, jak również innych państwowych instytucji nie mieliśmy poparcia żadnego. To, co mówili ich przedstawiciele, było wyłącznie na pokaz.

Oczywiście trzeba stwierdzić, że powstanie „Solidarności” to była nowa jakość. Wydarzyło się coś, co w ogóle nie powinno mieć miejsca, a tu jeszcze kolejna sensacja nie z tej ziemi – Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury przyznano Czesławowi Miłoszowi. Tak więc, chcąc nie chcąc, oficjalnie wypadało „Solidarność” popierać, co też czynili przywódcy szwedzcy.

W 1980 roku odbyłem kilka prywatnych rozmów z luminarzami szwedz-kich związków zawodowych. Muszę przyznać, że nabrałem nie tylko do tych związków, ale też do tych ludzi, wręcz obrzydzenia. Byli to tępi aparaczczyki, których na pewno by przygarnęła PZPR. Siedząc na związkowych stołkach, jak partyjne kacyki w Polsce Ludowej, mieli wszystko. Nie mieli chyba tylko wydzie-lonego dla siebie specjalnego pasa ruchu na ulicach Sztokholmu, jak władcy z Kremla w Moskwie.

Przyznanie Nagrody Nobla Miłoszowi podgrzało atmosferę na arenie międ-zynarodowej. „Litieraturmaja Gazieta” znów pisała o międzynarodowym impe-rializmie i działaniach obcych służb wywiadowczych. Nieco później bardzo pragnąłem nawiązać kontakt z tymi obcymi wywiadami w Szwecji, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Uważali nas za amatorów, podczas gdy w tej branży fachowcy rozmawiają z fachowcami, czyli KGB rozmawiało z CIA, a ta ze służbami szwedzkimi.

Dwieście dolarów dla NOW-iej od noblisty – absolutne świństwo!

Końcówka 1980 roku to czas wielkich przemian. Byliśmy pełni nadziei, a już Nobel dla Miłozsa to było coś absolutnie wielkiego. Nie brałem udziału w przy-jęciu z okazji wręczenia mu nagrody, ale uczestniczyłem we wszystkich imprezach

z tym związanych. Bilety załatwiał Norbert Żaba. Mielśmy możliwość z bliska oglądać wieszczą.

Muszę przyznać, że się zawiodłem. Miłosz w swojej mowie po otrzymaniu nagrody był bardziej papieski niż sam papież. Nie poruszył drażliwych tematów, jak „Solidarność” i rządy „czerwonego” w Polsce. A szkoda, bo to nie państwowe wydawnictwa w PRL, tylko nielegalna NOW-a drukowała jego poezję w podziemiu na przeschumglowanych do kraju maszynach, tak samo jak utwory Herlinga-Grudzińskiego i innych pisarzy emigracyjnych.

Jeszcze bardziej Miłosz zawiódł mnie jako człowiek, choć jako wielki Polak został pochowany na Skałce w Krakowie. Na wręczenie nagrody zaprosił do Sztokholmu parę osób: panią prof. Jadwigę Staniszkis, Stefana Kisielewskiego i dwóch dyrektorów NOW-ey – Mirka Chojeckiego i Grzegorza Bogutę. Strasznie się ucieszyłem z przyjazdu dwóch ostatnich, bo byłem bardzo zaangażowany w dostarczenie im sprzętu drukarskiego. Oczekiwałem, że wiele sobie wyjaśnimy, ale przede wszystkim liczyliśmy na to, że wyróżniony bogatą nagrodą nasz nowy wieszcz narodowy ofiaruje trochę pieniędzy na walkę o wolną Polskę z tych 5–6 mln koron szwedzkich, czyli miliona dolarów, które zainkasował. Ale się przeliczyliśmy.

Dzieliłiśmy skórę na niedźwiedziu, planując, ile offsetów i materiałów drukarskich kupimy za pieniądze podarowane przez Miłosza. A tu na prywatnym przyjęciu u Natana Tenenbauma, polskiego poety, który po Marcu '68 wyemigrował do Szwecji, dowiedzieliśmy się, że Miłosz ofiarował po 100 dolarów Bogucie i Chojeckiemu, i na tym się sprawa skończyła. Poczułem się bardzo głupio. W porównaniu z ofiarnością „Kultury” paryskiej, rządu londyńskiego, różnych organizacji polskich na Zachodzie, które nie szczydziły grosza na niezależną poligrafię, Miłosz zachował się jak pospolita świnią. Po prostu schował pieniądze do kieszeni i sprawę uznał za załatwioną.

„My, pierwsza Brygada Piłsudskiego dziada”

Rok 1980 kończył bardzo owocny dla nas etap. Udowodniliśmy, że mając małe środki, ale zaangażowanych ludzi, będąc samemu „nawiedzonym”, można zrobić dużo dobrego dla kraju. Niestety ze smutkiem muszę stwierdzić, że ludzi, którzy coś robili, można policzyć na palcach jednej ręki, a co więcej – o tych ludziach nikt specjalnie dzisiaj nie pamięta.

Wtedy bardzo często ich wytykano palcami i wyśmiewano: ten idiota, co zamiast zarabiać na życie, zajmuje się czymś, co pieniędzy nie daje, ba, mało tego, ten „nawiedzony” utrudnia życie sobie i innym. No cóż, z podobnych ludzi w sierpniu 1914 roku powstała Pierwsza Brygada Piłsudskiego, o której śpiewano w Krakowie: „My, pierwsza brygada Piłsudskiego dziada”. A gdy potem się rozrosła – bo do tych, którzy wymaszerowali z krakowskich Oleandrów, ciągle dołączali nowi – przyniosła Polsce niepodległość.

Załatwianie, załatwianie na okrągło

Wkraczałem w rok 1981 z dużymi nadziejami. Rozważałem nawet powrót do kraju. Pracowałem u optyka w Malmö, czasu dla siebie nie miałem w ogóle, nawet sekundy. Były dziesiątki rzeczy do zrobienia.

Mój dzień pracy wyglądał wtedy tak: wstawałem o godzinie ósmej rano, zjadałem szybko śniadanie, patrzyłem na spis, co mam do załatwienia, i biegłem do pracy, gdzie do godziny dwunastej robiłem okulary lub badałem ludziom wzrok. O dwunastej zaczynała się przerwa obiadowa. Ja wywalczyłem sobie przerwę dwugodzinną. Wskakiwałem w samochód, jeździłem po całym Malmö, załatwiając sprawy ustalone dzień wcześniej, odbierałem, zamawiałem. Wracałem, a właściwie wpadałem do pracy o godzinie drugiej z bułką w kieszeni, którą dojadłem na miejscu. O osiemnastej kończył się mój dzień pracy u optyka.

Ale wtedy zaczynała się moja druga zmiana. Wracałem do domu, zjadałem coś na szybko i zaczynało się telefonowanie. Bardzo często połączenia do mnie przyjmowała moja żona, która przychodziła do domu wcześniej. Na tych parę telefonów starałem się odpowiedzieć. Kończyłem dzień kolejnym telefonem do jakiegoś człowieka z NOW-iej, przede wszystkim z nimi wtedy się kontaktowałem. Po załatwieniu wszystkich rozmów kładłem się spać koło pierwszej, czasem w pół do drugiej. I tak dzień po dniu.

Polska opozycja przeoczyła „doktrynę Breżniewa”

W marcu 1981 roku tzw. nieznani sprawcy z SB brutalnie pobili w Bydgoszczy ludzi „Solidarności”. Ogłoszono przygotowania do strajku generalnego, ale ostatecznie został on odwołany. To był totalny błąd. Naród by poszedł wtedy

za „Solidarnością”. Tak wyglądała pierwsza udana próba sprawdzenia przez „czerwonego”, czy da się rzucić „Solidarność” na kolana.

Wtedy przez mój dom przewijały się dziesiątki ludzi z Polski. Byli jakby zaślepieni. Odnosiłem wrażenie, że dostrzegają na świecie wyłącznie Polskę, a za granicą, choćby za Bałtykiem, nie widzą już nic. Co tam Szwecja, co tam Francja. Nie dostrzegali najważniejszej rzeczy – że na świecie ciągle obowiązuje Jałta, a to oznaczało, że Breżniew nie będzie ciągle siedział cicho, a Zachód będzie. Piłsudski kiedyś powiedział: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym”.

Namawiałem wszystkich, by natychmiast kupić jedną albo dwie krótkofalówki, żebyśmy mieli łączność, jak się coś będzie w kraju działo. Nie przekonałem nikogo. Gadka była cały czas o tym, że „czerwony” w Polsce leży. A powinni wiedzieć, że ten ma władzę w kraju, kto ma bezpieczeństwo i wojsko. Uznali, że to NOW-a złamie komunę offsetami, które Szwedzi mieli do Polski przesyłać, a nie przesyłali.

Mówili mi – Maniuś, nie przejmuj się, „czerwony” już jest na łopatkach, my sobie z nim damy radę. Okazało się, że wcale tak nie było. Patrzyłem na to jakby z łoża kibica. Czy kogoś przekonałem – nie wiem. Wtedy było tyle pracy od rana do wieczora, że długie dyskusje wydawały się niepotrzebną stratą czasu.

Jak podołać wszystkiemu?

Przygotowywałem do wysyłki sprzęt drukarski i książki, wszystko na letni sezon żeglarski 1981 roku, kiedy miał przypłynąć do Szwecji Edek. Wysłaliśmy do Polski pieniądze, Bogdan Borusewicz kolejny raz skompletował załogę jachtu Edka z działaczy Ruchu Młodej Polski z Gdańska. Nie miałem ani jednej wolnej chwili. Odczuwałem coraz wyraźniej, że na dłuższą metę nie jestem w stanie wytrzymać takiego tempa. Zacząłem się zastanawiać, czy nie ograniczyć swojej działalności albo czy nie przejść w sklepie na pół etatu. Szukałem jakiegoś salomonowego rozwiązania, żeby wytrzymać to wszystko.

Magazyn miałem wypełniony po brzegi. Były tam trzy offseety dla NOW-iej od Genka Smolara, kilkadziesiąt powielaczy, setki książek. Z powodu tych

książek nastąpiło pierwsze ostre spięcie ze Szwedami. Genek Smolar, jak również cała europejska Polonia, przysyłali mi bardzo duże paczki z książkami do przeszmyglowania do kraju. I Szwedzi sobie wymyślili, że ja tymi książkami handluję, a więc dobrze by było, żebym zapłacił od nich VAT. To mnie bardzo zirytowało, ale udało mi się pokonać szwedzką biurokrację i w końcu żadnego VAT-u od nadsyłanych mi książek nie zapłaciłem.

Starcie „Solidarności” z komuną to tylko kwestia czasu

Zaostrzał się spór „Solidarności” z PRL-owskim rządem. To tu, to tam wybuchały akcje strajkowe. Dla mnie najważniejsze było to, czy znowu przyplynie Edek, który dostał już pieniądze na wycarterowanie jachtu.

Przyplłynął do Lommy w czerwcu 1981 roku, po parokrotnym przesunięciu terminu. Tym razem jacht nie był najlepszy – nie było gdzie włożyć wszystkich maszyn. Nie mieliśmy czasu na zastanawianie się. Zadecydowaliśmy, że muszą być aż trzy rejsy, bo inaczej zmagazynowanego sprzętu nie wypchniemy. W pierwszym rejsie popłynęły wspomniane już trzy offsety od Genka Smolara dla NOW-ej i jakieś inne drobiazgi. Nie weszło nic więcej, a jeden offset stał na pokładzie przykryty żaglami, bo nie było miejsca, żeby go gdzieś wcisnąć pod pokład.

U mnie w domu wyładowała dama Edwarda, Małgosia, która była z nim w ciąży. Mieszkała u nas do września.

Edek przyplłynął ostatni raz we wrześniu 1981 roku. Byłem trochę zaniepokojony, bo powiedział mi, że jest przekonany, że w Polsce nie ma mowy o porozumieniu „Solidarności” z rządem i ostateczne starcie jest tylko kwestią czasu. Wiedziałem, że czas w tym wypadku nie pracuje dla nas. Dlatego starałem się zdobyć jak najwięcej pieniędzy na zakup sprzętu, bo to, co do kraju wjedzie, to już tam zostanie.

Targi Frankfurckie 1981 – triumf polskiego wolnego słowa

We wrześniu 1981 roku moim samochodem wyładowanym po brzegi książkami i inną bibułą pojechałem na targi wydawców we Frankfurcie nad Menem. NOW-a w tym przypadku spisała się znakomicie. Wiozłem kilkaset

wydanych przez nią książek, broszur oraz innych wydawnictw. Edek dostarczył mi je jachtem z kraju. Chłopaki pozbięli w Warszawie, co się dało. Przysłali cztery wielkie wory, w których były książki, gazety, antyreżimowe ulotki. To wszystko zawiozłem do Frankfurtu. Książę był zachwycony.

Targi we Frankfurcie załatwiał zawsze Andrzej Chilecki wspólnie z wydawnictwem Polonia, kierowanym przez Andrzeja Stypułkowskiego. Stypułkowski był wówczas chory, nie bardzo wiedzieliśmy na co. Dowiedzieliśmy się w końcu, że to rak. Nie było pewne, czy wygrzebie się z tego. Zmarł niecałe dwa miesiące później. To precudowny człowiek. Poznałem go bliżej, przegadaliśmy wiele nocy. Był to patriota tysięcprocentowy, człowiek, który po powstaniu „Solidarności” jakby odrodził się na nowo, podobnie jak inni emigranci polscy na całym świecie. Dla niego „Solidarność”, wielki ruch całego narodu, była tym, na co czekał od 1945 roku. Czekał nie tylko on, czekało tysiące byłych żołnierzy armii Andersa i inni. Ci wszyscy ludzie przeżywali jakby drugą młodość, licząc, że to, czego im się nie udało dla Polski wywalczyć, wywalczy „Solidarność”.

Byliśmy świadkami największego sukcesu wolnego polskiego słowa po 1945 roku – nasze stoisko we Frankfurcie było tak oblegane, że nie dało się obok niego przejść. Organizatorzy nas upominali, żeby coś z tym zrobić, bo polskie stoisko zagraża bezpieczeństwu targów. Przewalał się tam kotłujący się tłum ludzi z całego świata, którzy zadawali pytania i prowadzili rozmowy z przybyłymi z kraju wydawcami, a reprezentowane były wszystkie wielkie podziemne wydawnictwa: oczywiście NOW-a, Spotkania, ABC z Krakowa, Krąg, „Bratniak” z Gdańska. Andrzej Chilecki miał specjalne fundusze na pomoc dla nich, a ja te pieniądze rozprawdzałem.

Na targach we Frankfurcie 18 października 1981 roku doszło do podpisania słynnej umowy wydawniczej między paryskim Instytutem Literackim a NOW-ą. Podpisali ją ze strony „Kultury” Zofia Hertz i Książę, a ze strony NOW-ej Grzegorz Boguta. Mirek Chojecki miał objąć jakieś nowe wydawnictwo pod szyldem „Solidarności”, więc zajmował się czym innym. Po targach nie wracał do Warszawy, ale pojechał z upoważnienia Tadeusza Mazowieckiego najpierw do Kanady, a później do Stanów załatwiać papier dla „Tygodnika Solidarność”. Bo – pamiętajmy – w Polsce wychodził przecieź „Tygodnik Solidarność”, któremu władza ucierała nosa, odmawiając papieru na państwowy przydział. Dlatego stan wojenny zastał Mirka w Nowym Jorku.

Za co kupić, za co przewieźć?

Jeszcze z Frankfurtu kierowałem na odległość kolejnym załadunkiem jachtu Edka. Zdarzyło się nieszczęście, bo zastępujący mnie na miejscu Józef Lebenbaum zapomniał załadować na jacht zespół farbowy do offsetu Roneo-Vickersa dla „Spotkań”. Piotrek Jegliński, szef „Spotkań”, miał potem do mnie wielkie pretensje, twierdząc, że to był z mojej strony sabotaż.

Nie ma się co oszukiwać, między podziemnymi wydawnictwami niezależnymi w PRL bez przerwy były jakieś tarcia. Jeden chciał być lepszy od drugiego, każdy chciał się dopchać do tych niedużych zagranicznych pieniędzy, każdy prosił o pomoc, a tych funduszy było tyle, co kot napłakał. Taka była prawda.

Polska emigracja, szczycąca się wtedy „Solidarnością”, nie dawała na nią za dużo. Jeżeli już znalazły się jakieś fundusze na zakup powielacza czy offsetu, to niewielu myślało o środkach na przeszmugłowanie tego do Polski. Mimo to w pewnym okresie, nie będę ukrywał, płaciłem dość przyzwoite pieniądze za poligraficzny szmugiel do kraju. Ludzie, którzy się tego podejmowali, narażali się władzom PRL, a zamiast szmugłować nasze maszyny, mogli przecież przewozić na przykład szampony. Mieliby z tego podobny zysk, a ryzyko byłoby o wiele mniejsze.

Postawiłem sprawę jasno: przemysłnikom należy się forsa

Ustalone zostały stawki za przewożenie maszyn, książek i innych rzeczy. Płaciliśmy tym „przemysłnikom politycznym”, bo przecież – jeżeli ktoś na to zasługiwał – to na pewno w pierwszej kolejności właśnie oni. Giedroyc mówił zawsze: tak, panie Marianie, ja będę się starał wygospodarować pieniądze na przerzut. Podobnie mówił Stypułkowski: proszę pana, jak kupujemy sprzęt, to muszą się znaleźć pieniądze na pokrycie jego wysyłki do kraju.

Gorsza sprawa była ze Smolarem. Kiedy w czerwcu 1981 roku udało mi się przesłać do Warszawy trzy załatwione przez niego offsety, powiedziałem mu: Genek, musisz pamiętać, że zawsze trzeba znaleźć pieniądze na zapłacenie za szmugiel. Smolar był stale bardzo podejrzliwy i to mu zostało do

dzisiaj. Czy on myślał, że ja te pieniądze chowam do kieszeni? Smolar był także mistrzem niedomówień. Nigdy tego otwarcie nie przyznał, ale on mnie przed rządem londyńskim faktycznie oskarżył o defraudacje finansowe.

Genek przychodził na posiedzenia Komitetu ds. Krajowych rządu londyńskiego, który dysponował funduszem na zakup sprzętu wysyłanego do Polski. Kupowałem ten sprzęt oficjalnie, na rachunki, ale zamiast wysyłać do Londynu oryginały faktur zakupu, a sobie zostawić kopie, to wymyśliłem, że będę im wysyłał kopie, a oryginały będę przywoził do Londynu i oddawał osobiście. Na posiedzeniu Komitetu Smolar dorwał te kopie.

Później się dowiedziałem od majora Ludwika Łubieńskiego, byłego adiutanta generała Andersa, żebym uważał na Smolara, bo on mnie publicznie oskarżył o defraudację. Jak mi powiedział Łubieński, Genek twierdził, że ja robię jakieś kombinacje, skoro przysyłałem tylko kopie rachunków, a nie oryginały. Krótko mówiąc, kwestionował moją uczciwość.

Zostaję szmuglerem zawodowym i przedstawicielem NOW-ej

Po targach we Frankfurcie zostałem oficjalnym przedstawicielem NOW-ej w Szwecji. Ustaliliśmy, czym mam się zajmować, jeżeli chodzi o sprawy tego wydawnictwa na Zachodzie. Uzgodniliśmy również zasady współpracy z Giedroyciem, bo Książę też był przedstawicielem NOW-ej.

Ja miałem się zajmować „zawodowo” szmugłem sprzętu i materiałów drukarskich na potrzeby podziemnych wydawnictw w kraju. Trzeba pamiętać, że do 13 grudnia 1981 sprzęt poligraficzny „Solidarność” dostawała z zagranicy legalnie, ale nielegalne podziemne wydawnictwa nadal musiały go przez granicę szmugłować. Pod tym względem nic się nie zmieniło po powstaniu „Solidarności”.

Na Zachodzie NOW-a miała paru swoich przedstawicieli. Była to przede wszystkim „Kultura” z Giedroyciem. Był też Krzysztof Apt w Holandii i, o ile dobrze pamiętam, Kuba Świąćicki w Sztokholmie. Rola oficjalnego przedstawiciela NOW-ej dawała mi wielką radość, ale to była dla mnie naprawdę orka, bo traktowałem sprawę bardzo poważnie. Zapadła decyzja, że NOW-a będzie miała dwa archiwa: jedno zamelinowane w Polsce, a drugie u mnie w domu w Malmö. To archiwum zagraniczne przechowywało umowy, dokumen-

tację zbiorów pieniężnych i innych spraw, jak na przykład dokumentację umowy o współpracy NOW-a–„Kultura”. Tego przecież nie należało brać do Warszawy.

„Czerwony” leży i co z tego?

Krajowe nielegalne wydawnictwa były celebrowane we Frankfurcie niemal jak narodowe relikwie. Ludzie z nimi związani opowiadali, jak się drukuje bibułę w Polsce. „Solidarność” była sprawą numer jeden na świecie, czy tego chcieliśmy, czy nie.

Wszyscy przedstawiciele nielegalnych oficyn wydawniczych z Polski pojechali prosto z frankfurckich targów do Paryża. Zrobiliśmy tam mały zjazd. W Paryżu urzędował również Piotr Jegliński, przedstawiciel „Spotkań”. Zebrał się u niego ludzie z prawie wszystkich nielegalnych wydawnictw z Polski. Mówiliśmy m.in. o pierwszym powielaczu spirytusowym, na którym już w 1976 roku drukowało w Polsce środowisko „Spotkań” Jeglińskiego. NOW-a zaczęła poważną działalność wydawniczą później, wydając w 1977 roku „Zapis”, a potem książki i inne publikacje.

Wtedy Jegliński po raz pierwszy ostrzegał – a był to październik 1981 roku – że wysłanie przez Wojciecha Jaruzelskiego na wieś powołanych przez niego Wojskowych Terenowych Grup Operacyjnych musi się dla nas źle skończyć. Żartowaliśmy jednak, że Jaruzelski chyba zamierza liczyć snopki na polach, żeby wprowadzić tzw. dostawy obowiązkowe, bo w Polsce brakowało już wszystkiego, a na półkach sklepowych rzeczywiście nie było niczego do kupienia oprócz octu.

Zapamiętałem też rozmowę ze Stefanem Kisielewskim, który był akurat w Paryżu i przyjechał do „Kultury”, a miał jeszcze jak zwykle spotkanie u pallotynów. Nagle spadł ogromny deszcz, prawdziwe oberwanie chmury. Byliśmy cali mokrzy. Kisiel popatrzył i mówi: „Tylko herbatka »górska« nas uratuje”. Weszliśmy do pierwszej lepszej knajpy. Rozmawiamy o tym i owym. Marek Borowik, jak zwykle optymista, mówi: „No, w kraju »czerwony« już leży, pytanie: co dalej?”. Kisiel popatrzył na niego i wypalił: „Jeżeli »czerwony« leży, to trzeba wziąć władzę, bo ona też leży na ulicy – tak jak zrobił Lenin – i zacząć rządzić. Panie Marku, co pan na to?”. Zapanowała cisza.

Szybko wyszliśmy z tej knajpy, bo Kiesel się spieszył do szewca buty podzelać i bronił się, że więcej nie może pić, bo jak zgubi te buty, to go żona zabije.

Zapytałem wtedy Marka: czy wyście rzeczywiście pomyśleli, co będzie dalej? Odpowiedział, że Kiesel to stary ramol, który tylko zrzędzi.

Ląduję na bezrobociu

Po powrocie z Frankfurtu musiałem podjąć zasadniczą decyzję, co ze sobą zrobić. Stałem przed dylematem: albo przestanę zajmować się tym, co robię dla opozycji w Polsce, albo ktoś zacznie mi płacić za to stałą pensję. Znalazłem iście salomonowe rozwiązanie. Za obopólną zgodą z moim pracodawcą zakończyłem w jesieni 1981 roku pracę u optyka w Malmö i zostałem optykiem na bezrobociu. Zacząłem w urzędzie zatrudnienia stemplować kartę bezrobotnego. Zdziwienie szwedzkich urzędników było kosmiczne, że znalazł się wreszcie jeden bezrobotny optyk. Tłumaczyłem im, że na razie jestem pracą przemęczony, że ręka mnie boli, i jakoś mi się to udawało.

Ale taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Brałem pod uwagę swój ewentualny powrót z żoną do Polski w następnym, 1982 roku. Mógłbym wtedy zostać zaopatrzeniowcem NOW-ej. Doznawałem rozdwojenia jaźni, gdy myślałem o powrocie do kraju po ponad dziesięć latach pobytu w Szwecji. Ale wybawił mnie Jaruzelski, który pomieszał szyki nie tylko mnie.

Edek pożeglował na stałe do Francji

Wkrótce z Polski uciekł Edek Waszkiewicz. Wyczarterował mały jacht, wsadził na niego swojego syna, przyplłynął do Malmö, zabrał od nas Małgosię i popłynął wzdłuż linii brzegowej przez Danię i Holandię do Francji. Wylądował we francuskim porcie na parę dni przed 13 grudnia 1981 roku i ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce. We Francji Małgosia urodziła mu córeczkę.

Po ucieczce Edka przyplłynął do Malmö jeszcze jeden jacht z Polski – pod koniec października 1981 roku. Był to duży dwumasztowiec z Gdańska,

wyczarterowany w jakiś sposób. Dowodził nim człowiek o imieniu Pablo, nie pamiętam jego nazwiska. Tenże Pablo zabrał od nas masę sprzętu. Posłałem wtedy Bogdanowi Borusewiczowi roneo-vickersa, lekko uszkodzonego, ale absolutnie zdatnego do użytku. Za jakiś czas dostałem karteczkę od Borusewicza, że dziękuje za maszynę, która przyda się jemu i Annie Walentynowicz. Pablo był jednym z dwóch nowych kapitanów jachtowych pozyskanych przez nas po ucieczce Edka.

Coraz bardziej niepokoiła mnie sytuacja w kraju. Widoczna była absolutna niechęć PRL-owskiej władzy do porozumienia z „Solidarnością”. Nadszedł grudzień 1981. Wtedy na obydwu dwutygodniowych zmianach promu „Pomerania” mieliśmy po dwa niezależne zespoły, nawzajem o sobie niewiedzące, które wozily nam pocztę z kraju. Mieliśmy też skrzynki kontaktowe w Szczecinie i w Gdańsku, do których docierała poczta od NOW-ej. Poczta trafiała do Stasia Reszki, a on jako centralny dyspozytor przysyłał ją dalej.

Na wszelki wypadek NOW-a dekuje swoje maszyny

Ostatnią osobą z kraju, która mnie odwiedziła na trzy dni przed ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, był powracający z Zachodu do Polski Grzegorz Boguta. Zjawił się u mnie 10 grudnia 1981 roku. Jechał małym renault 5, wyładowanym po brzegi. Do tego samochodu nie dało się już wcisnąć nawet pudełka zapalek. Były tam dziesiątki rzeczy, których potrzebowała w kraju NOW-a i inne podziemne wydawnictwa, a które można było oficjalnie wwieźć do Polski.

Z Grzesiem dyskutowaliśmy niemal do bólu, co i jak mamy robić. Zostałem wtedy poinformowany o dwóch sprawach o dużym znaczeniu dla „Solidarności”. Po pierwsze, Marek Borowik za wielką jak na ówczesne czasy sumę pieniędzy kupił bardzo dużo papieru do druku. Jak się okazało, z tego papieru korzystała po 13 grudnia Regionalna Komisja Wykonawcza „Solidarności” Mazowsze.

Po drugie, w Falenicy pod Warszawą – co potwierdzają Lech Bądkowski i Marek Chimiak – urządzono rezerwową drukarnię NOW-ej. Tam znajdował się jej jeden offset. Drugi offset NOW-ej był w Ursusie, a trzeci miał wyłado-

wać albo w Stoczni Gdańskiej, albo w Krakowie. Chodziło o to, żeby chronić te maszyny, gdyby w Polsce stało się coś złego.

NOW-a była jedyną firmą w Polsce tak wspaniale zaopatrzoną w sprzęt drukarski, a to dzięki Edkowi Waszkiewiczowi, któremu w czerwcu 1981 roku udało się przeszmyglować jachtem wymienione wyżej trzy offsety, jak również kilka powielaczy. Był to jeden z największych transportów dostarczonych do Szczecina, skąd maszyny zostały przewiezione do Warszawy. Stały one w Regionie „Solidarności” Mazowsze i kłuły w oczy. W końcu udało się je wszystkie stamtąd wyekspediować.

Zachodnia technika przeciw komunistom

Grześ wyjechał ode mnie z Malmö 11 grudnia 1981 roku po ustaleniu ze mną planów dotyczących działalności w następnym roku. Cały czas byłem w kontakcie z NOW-ą. Codziennie dzwoniłem do Marka Chimiaka, który był odpowiedzialny za kontakty zagraniczne. Zostałem wyposażony w telefon, który sam wybierał numer rozmówcy – nie musiałem już w ciągu dnia wykręcać palcem na tarczy po kilkadziesiąt razy tego samego numeru do Warszawy, bo robił to za mnie mój aparat. Gdy wreszcie uzyskiwałem połączenie, słyszałem w słuchawce: halo, halo. Było to na ówczesne czasy wielkie ułatwienie.

Zadzwoiłem do Marka, że Grześ jest w drodze. Od Marka się dowiedziałem, że Grześ rozbił się autem, którym jechał, pożyczonym od pewnego Francuza. Koszty naprawy czy odszkodowania – już nie pamiętam – pokrył Mirek Chojcecki.

Bezpieki „bajki znad rzeki” Henryka Piecucha

„Solidarność” zrodziła się z wielkiego narodowego zrywu, jakim były lipcowe i sierpniowe strajki w całej Polsce w 1980 roku. Naród polski otrząsnął się z letargu, w który zapadł po wojnie. To był ciężki sen.

Ja starałem się do tego przyczynić. W ciągu dwóch lat 1979–1981 udało się, po raz pierwszy po tragicznej rozprawie bezpieki z WiN-em, zorganizować jakieś kanały przerzutowe z Zachodu do Polski, którymi płynął sprzęt

drukarski, książki, wydawnictwa emigracyjne i co tam jeszcze demokratyczna opozycja w PRL potrzebowała.

Bezpieka nigdy nie odkryła tego kanału przerzutowego, którym były jachty co jakiś czas pływające turystycznie z Polski do Szwecji i z powrotem. Nie ma o nim wiadomości w żadnych esbeckich materiałach. Niczego na jego temat nie znaleźli nawet Henryk Piecuch, były wojskowy w PRL, a konkretnie pułkownik Wojsk Ochrony Pogranicza w PRL, a potem Straży Granicznej w III RP, autor kilku książek o zwalczaniu solidarnościowego podziemia przez bezpiekę oraz wywiad i kontrwywiad wojskowy PRL. Opisuje te sprawy w książkach: *Pożoga. W. Jaruzelski tego nigdy nie powie*, wydanej w 1992 i 1996 roku, oraz *Służby specjalne atakują. Od Jaruzelskiego do Kwaśniewskiego*, wydanej w roku 1996. Bajką dla grzecznych dzieci jest to, co Piecuch pisze, że niby bezpieka wszystko o podziemiu wiedziała i je po cichu kontrolowała. Takie „opowieści znad rzeki” były dla nich wygodne. Dlaczego w takim razie, skoro wszystko wiedzieli, do końca 1981 roku nie wpadł w ich ręce żaden, nawet najmniejszy transport maszyn i materiałów drukarskich ze Szwecji?

O tym szmuglu ze Szwecji, trwającym od lata 1979 do jesieni 1981 roku, Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się dopiero od Stanisława Reszki, którego nazywaliśmy Kulawiakiem, sternika jachtowego Edka Waszkiewicza podczas jego nielegalnych rejsów do Szwecji. Stasiu wypowiedział się SB w 1986 roku. Co go do tego skłoniło – nie wiem. To jednak trochę późno i mam prawo podejrzewać, że żadna z przeszmuglowanych kilka lat wcześniej maszyn już nie pracowała, bo się rozleciała ze starości. Takie wiadomości mają wartość, gdy są świeże. Dla SB była to musztarda po obiedzie – dowiedzieć się, że przed pięcioma laty jachty szmuglowały ze Szwecji sprzęt dla opozycji. Waszkiewicz zorganizował w sumie pięć rejsów i przerzucił do kraju 5 offsetów, 25 powielaczy, farbę, matryce i emigracyjne wydawnictwa zakazane w PRL.

Zawód: przemysłownik urzędów do wzniecania niepokojów społecznych w PRL (1981–1983)

Są takie chwile w życiu człowieka, których nie zapomina się nigdy. Dla mnie jest to dzień 13 grudnia 1981.

W nocy z 12 na 13 grudnia, z soboty na niedzielę – uruchomiłem swój telefon, żeby się dowiedzieć, czy Grzesz Boguta jest cały i zdrowy, bo dzień wcześniej, jak już mówiłem, rozbił się w Polsce pożyczonym we Francji samochodem. Chciałem się skontaktować z Markiem Chimiakiem. Nie dodzwoniłem się do pierwszej w nocy. Mój telefon wybierał automatycznie numer przez cały wieczór. Po drugiej stronie panowała głucha cisza, to pamiętam jak dziś. Żona mnie opieprzyła: skończ już z tym dzwonieniem i połóż się spać.

Położyłem się. Nie na długo, jak się okazało.

Maniek, Jaruzelski zaczął wojnę w Polsce!

W niedzielę 13 grudnia 1981 roku o wpół do piątej rano zadzwonił telefon. W domu było ciemno, cicho, pies spał gdzieś w kącie. Podniosłem słuchawkę. Byłem bardzo zaszpany, a tu w telefonie słyszę głos Genka Smolara z Londynu: Maniek, Jaruzelski zaczął wojnę w Polsce!

W tym momencie, nie będąc pijanym, wytrzeźwiałem. Genek powiedział, że zaczął się stan wojenny, że aresztują naszych ludzi, że mają jakieś bliżej nieokreślone obozy, w których będą ich zamykać.

Miałem z pewnością bardzo głupią minę, bo niemal przed chwilą planowałem swój powrót do Polski w 1982 roku. Snułem wielkie plany z myślą o NOW-iej, a tu nagle koniec zabawy.

Wiedziałem, że stoimy przed absolutnie nową sytuacją, w której będą potrzebne pieniądze, pieniądze, pieniądze. Trzeba natychmiast je zdobywać, ile tylko można. Nie przewidywałem jednak powstania podziemnej „Solidarności” i wielkiego zaangażowania Zachodu w to podziemie.

Prawdziwa informacja z kraju – towar na wagę złota

Opłukałem się lekko, zrobiłem sobie bardzo mocną kawę i około siódmej rano zadzwoniłem do Józka Lebenbauma z Lund. Był to jeden z moich najbliższych przyjaciół i współpracowników. Byliśmy jak bracia syjamscy. Józek też już wiedział o ogłoszeniu przez Jaruzelskiego stanu wojennego w Polsce. Dostał telefon z BBC. Dzwoniło do nas Radio Wolna Europa, żebyśmy zbierali i przekazywali im informacje, bo to, co jako Polacy możemy zrobić w tej chwili, to obwieścić światu, że w naszym kraju dokonano kolejnej zbrodni komunistycznej.

Mając doświadczenie z grudnia 1970 roku, wiedziałem, że komuniści na pewno będą chcieli pokazać, że wszystko funkcjonuje prawidłowo, a wobec tego prom „Pomerania” przyplynie jak zwykle ze Świnoujścia do Ystad. Spodziewałem się więc, że będziemy mieli jakąś pocztę z kraju, bo przecież na tym promie są nasi ludzie.

U mnie w domu nadal panował istny oblęd. Nie mogłem się dodzwonić do Jakuba Świącickiego w Sztokholmie, ponieważ mój telefon był bez przerwy zajęty i jego też. Około godziny ósmej rano zadzwonił do mnie Giedroyc. Zaczęły się konferencje telefoniczne. Miałem stały kontakt z redakcją „Kultury”, z rządem londyńskim – bezpośrednio z ministrem Jerzym Zaleskim i z premierem Kazimierzem Sabbatem, jak również z Genkiem Smolarem. Ten układ: Giedroyc, Zaleski, Smolar plus ja zaczął dobrze funkcjonować. Informowaliśmy się nawzajem, co i jak zamierzamy robić, kogo jeszcze powiadać. Mieliśmy bardzo niewiele wiadomości z kraju. Przez pierwsze godziny stanu wojennego Jaruzelskiemu udało się odizolować Polskę od świata. Ale już po upływie pierwszej doby było z tym lepiej.

W niedzielę przed południem mój telefon dzwonił jak opętany. Wydzwaniały szwedzkie i duńskie gazety, stacje radiowe i telewizyjne. Byłem już wtedy osobą dość znaną z działalności antykomunistycznej, ale dziwiłem

się, że dziennikarze oczekiwali ode mnie jakichś wiadomości. Przecież byłem praktycznie odcięty od tego, co działo się w Polsce. Najnowsze wiadomości mogły napłynąć dopiero za dzień lub dwa.

Pomysł na nasłuch radiowy z Polski

Doszliśmy do wniosku, że musimy na południu Szwecji zawiązać Komitet Pomocy „Solidarności”. Ukonstytuował się on u Lebenbauma w domu. Szefami byli w pierwszych godzinach Józek Lebenbaum, Andrzej Koraszewski, ja i parę innych bardzo przyzwoitych osób.

Ja uaktywniłem Szwedów z Malmö, gdzie istniał już komitet założony zaraz po powstaniu „Solidarności” w 1980 roku. Nazywał się Komitet Polski, a dyrygował nim Sven Svening, bardzo porządny Szwed. Natychmiast zacząłem wydzwaniać do socjaldemokratów, komunistów i wszystkich innych partii w Szwecji, że Polska w tej chwili naprawdę potrzebuje wielkiej pomocy międzynarodowej. Siedziałem na okrągło przy telefonie i zacząłem odczuwać zmęczenie. A to był dopiero początek zabawy.

Przypomniałem sobie o swoim wcześniejszym pomysle, żeby w jakiś sposób wysłać do Polski radiostację krótkofalarską. Uważałem, że w naszych warunkach to najlepsza metoda kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Przez cały rok 1981 tłumaczyłem bliskim mi ludziom, że istnieje możliwość nawiązania kontaktu krótkofalowego z radioamatorami w Polsce. Miałem takiego krótkofalarza w Malmö. On znalazł częstotliwość i długość fali, na której można było prowadzić nasłuch z Polski. Wszyscy pytali mnie, ile kosztuje taka krótkofalówka. Pamiętam jak dziś, że około 4–5 tys. koron, wtedy jakieś 800 dolarów. Tyle samo kosztował dobry używany offset do drukowania bibuły. Łatwo zgadnąć, że przy zakupach zawsze wybierano offset. Ale w końcu przekonałem Marka Borowika, że jak się znajdą jakieś pieniądze, to trzeba będzie taką krótkofalówkę kupić i zadołować.

Profesor Kołakowski pieniędzy odmówił

Wróciłem do tej idei rano 13 grudnia 1981 roku w rozmowie z Giedroyciem. Ja nie miałem na krótkofalówkę ani korony. Książę uruchomił więc

swoje różne kontakty. Przewidywał, że do „Kultury” zaczną napływać pieniądze na pomoc „Solidarności”.

Miałem spięcie z Genkiem Smolarem, któremu powiedziałem, że natychmiast potrzebuję 4,5 tys. koron na radiostację. Genek, po konsultacji z prof. Kołakowskim, odpowiedział, że pieniędzy nie da. Na to ja wypaliłem, może trochę niedelikatnie, żeby się prof. Kołakowski w dupę pocałował, za przeproszeniem, bo w tej chwili radiostacja jest najważniejsza.

Mieliśmy jednak przeciwko sobie biurokrację francuską. Wtedy z Francji można było oficjalnie wysłać za granicę tylko 2,5 tys. franków raz w roku, co było odpowiednikiem 2,5 tys. koron. Na większe sumy trzeba byłoby mieć urzędowe pozwolenie. W tej sytuacji pani Zosia Hertz z „Kultury” zwróciła się o pieniądze do swojej koleżanki Halszki Vincenz w Szwajcarii, która stawała na głowie, żeby jak najszybciej dostarczyć mi te 4,5 tys. koron na krótkofalówkę. Dzięki niej pieniądze do mnie dotarły. Radiostację kupiłem.

Głodówka protestacyjna w katedrze w Lund

Tak wyglądało moje pierwsze pół dnia stanu wojennego. W którymś momencie przypomniałem sobie, że należy coś zjeść. Cały czas wydzwanialiśmy do Paryża, Londynu i Sztokholmu. Również do Włoch, gdzie mieliśmy wspaniałą koleżankę Nelkę Norton, którą później nazywano Mańkiem w spódnicy.

13 grudnia po południu do tego „trójkąta bermudzkiego” Paryż–Londyn–Malmö dołączyła telefonicznie Kopenhaga, gdzie mieszkał mój kolega Andrzej Świętek. Obydwoje z żoną Marylą prowadzili wspaniałą pracę na rzecz Komitetu Obrony Robotników. Otworzyli małe stoisko z materiałami propagandowymi na głównej handlowej ulicy Kopenhagi – Strøget. Andrzej był niezastąpiony. Wszystkie maszyny drukarskie, które kupowałem, a potem szmuglowałem do Polski, on zawczasu przeglądał i doprowadzał do stanu niemal idealnego. Zwrócił mi uwagę, że powinniśmy prowadzić stały nasłuch stacji radiowych, które mówią o tym, co się dzieje w Polsce. Ustaliliśmy, że za dwa dni Andrzej do mnie przyjedzie i zaczniemy razem dalej kombinować.

Po południu zapadła decyzja świeżo powołanego Komitetu Pomocy „Solidarności” w Lund o podjęciu głodówki na rzecz „Solidarności” w tamtejszej

katedrze, monumentalnej budowli w centrum miasta. Na głódówkę trzeba było uzyskać zezwolenie biskupa, czym zajął się Józek Lebenbaum.

Oprócz Komitetu Pomocy „Solidarności” Lebenbaum zorganizował równoległe działającą Independent Polish Agency, która zajęła się wydawaniem albumów pokazujących polską rzeczywistość. Pierwszy album, *Wojna z narodem*, wyszedł w 1982 roku. Pokazywał on Polskę, jaka wtedy była: czołgi na ulicach, skoty, milicjantów bijących ludzi pałami. Takie albumy ukazały się jeszcze dwa. Informowaliśmy się nawzajem, co robimy. Często, jeżeli zaistniała potrzeba, pomagaliśmy sobie – aż do smutnego końca, kiedy kilka lat później, we wrześniu 1987 roku, nastąpiła wpadka „Adama” – Krzysztofa Szymańskiego, spowodowana przez „Reginę” – agenta bezpieczeństwa przyklejonego do agencji Lebenbauma. Ale to już inna historia.

Wspaniałe społeczeństwo szwedzkie i beznadziejne socjaldemokratyczne władze

Kładłem nacisk przede wszystkim na zbieranie pieniędzy. W tym czasie miałem dwupoziomowe mieszkanie, które urządziłem z myślą o ludziach przyjeżdżających do mnie z kraju, żeby mogli bez skrępowania się przebrać, wyjść i przyjść, kiedy będą mieli na to ochotę, bo mieszkanie miało dwa oddzielne wejścia. Ta druga, dolna część mieszkania, przeznaczona dla gości, zaczęła się zapełniać rzeczami podarowanymi w geście pomocy Polsce.

Byłem wtedy osobą dość znaną w Malmö. Występowałem w tamtejszym radiu i telewizji. Dziesiątki Szwedów przynosiło mi worki z ubraniami. Ludzie dawali mi również pieniądze. Miałem specjalny zeszyt, do którego ofiarodawca wpisywał kwotę, zwykle 100–200 koron, nazwisko, swój numer telefonu.

Ale ówczesna Szwecja dzieliła się na dwie części: społeczeństwo, czyli zwykłych ludzi, naprawdę wspaniałych, i tych, którzy nim rządzą, a to już zupełnie co innego – czyli partię socjaldemokratyczną z ówczesnym premierem Olofem Palme na czele. To byli partyjni aparatczycy, którzy ani przez moment nie wierzyli, że „Solidarność” w Polsce może zwyciężyć. Dla nich „doktryna Breżniewa”, zakładająca ograniczoną suwerenność państw bloku sowieckiego, była święta. Gorzej, że szwedzkie związki zawodowe podzielały to stanowisko.

Mija pierwszy dzień stanu wojennego

Pamiętam, że pierwszego dnia stanu wojennego uzbieraliśmy od zwykłych Szwedów chyba ze 2 tys. koron, co było dla nas astronomiczną kwotą – ponad 300 dolarów. Pieniądze te pomogły mi zapłacić kolosalny rachunek telefoniczny, który dostałem w lutym czy w marcu następnego roku za rozmowy grudniowe (w Szwecji opłacało się wtedy rachunki kwartalnie).

Mieszkał w Malmö taki człowiek, nazywał się Piotr Adamow. Miał warsztat samochodowy. On pierwszy przyniósł 500 koron, nie żądając żadnego pokwitowania. Powiedział tylko: panie Marianie, pieniądze teraz naprawdę wam się przydadzą do wszystkiego. Tenże Piotr Adamow stał się z czasem naszym mechanikiem „złotą rączką” do napraw naszych samochodów. Pomagał nam przebudować auto, które wkrótce kupiliśmy i zaczęliśmy używać do szmuglu maszyn drukarskich do kraju. Tego wysłużonego grata, którym jeździliśmy ze szmuglem dla „Solidarności”, zawsze jakoś doprowadzał do porządku.

Mijał dzień 13 grudnia 1981 roku. Była już późna godzina, dziewiąta czy dziesiąta wieczorem. Czułem się cholernie zmęczony, ale nie było mowy, by się położyć – ciągle wychodziło coś nowego. Dzwonił Jakub Świącicki ze Sztokholmu. Odezwał się Norbert Żaba, przedstawiciel „Kultury” paryskiej, który miał też własne źródła informacji.

Świącicki postanowił wydawać „Biuletyn Informacyjny”. Miał on krótko informować prasę, radio i telewizję o sytuacji w Polsce. Z tym biuletynem później był kłopot, bo w Sztokholmie powstał również Komitet Pomocy „Solidarności”, którego szefem normalnie powinien zostać Jakub Świącicki. Ale nie został.

Postawiłem na Mirka z nazwiskiem

W końcu dnia odezwał się Mirek Chojecki z Nowego Jorku. To miało dla mnie zasadnicze znaczenie. Mirka poznałem osobiście rok wcześniej przy okazji wręczenia Nagrody Nobla Miłoszowi. Jeszcze przed powstaniem „Solidarności”, w latach 1979–1980, u Mirka w Polsce była dwukrotnie moja żona. Mirek miał już na Zachodzie znane nazwisko, co było niezbędne, aby pro-

wadzić tam działalność polityczną. Uznałem, że to on będzie naszą „latarnią” w Szwecji, a współpraca z nim na pewno przyniesie spore efekty. I tak rzeczywiście się stało. Nasza przyjaźń trwa do dzisiaj.

Tak dobiegł końca mój dzień 13 grudnia 1981. Jakoś dotrwałem do godziny drugiej nad ranem. Dopiero wtedy troszeczkę się uspokoiło. Usiadłem na chwilę w głębokim fotelu i zapadłem w głęboki sen.

Funio pasował szwedzkim związkom zawodowym, ale nie nam

W grudniu 1981 roku przyjechał do rodziny w Sztokholmie na święta Bożego Narodzenia Stefan Trzcіński, emeryt z Warszawy – dla nas Funio Trzcіński. Był człowiekiem „Solidarności” Regionu Mazowsze. Przed kilkoma miesiącami w Regionie Mazowsze gościła delegacja szwedzkich związków zawodowych. Funio zaserwował im kawę i herbatę, bo tym się zajmował, gdy do „Solidarności” przyjeżdżali zagraniczni goście. Po 13 grudnia został szybko odkryty przez Szwedów i namaszczony na szefa sztokholmskiego komitetu „Solidarności”.

Szwedzka partia socjaldemokratyczna i jej związki zawodowe od pierwszego dnia stanu wojennego w Polsce postępowały pragmatycznie. Tu nie było żadnych uczuć, kierowano się zimnym wyrachowaniem. Trzcіński bardziej pasował szwedzkim związkom zawodowym niż Świąćicki, którego postrzegali jako zgniętego liberała. Funio zaś nie pasował nam, bo nie chciał nas słuchać, nie znał sytuacji na Zachodzie, nie znał sytuacji w Szwecji. To doprowadzało do wielu konfliktów, a w pewnym momencie mieliśmy aż dwa solidarnościowe biuletyny informacyjne w Sztokholmie – jeden wydawany przez komitet Świąćickiego, a drugi przez komitet Trzcіńskiego.

Akcja „Jugo”

Grudzień roku 1981 zapamiętała Polska i cały świat jako wypowiedzenie wojny narodowi przez generała w okularach. Jak już mówiłem, załatwiałem w tym czasie setki telefonów i mnóstwo spraw. Jedną z nich była akcja „Jugo”.

Któregoś dnia zadzwonił Jakub Świąćicki ze Sztokholmu, że przyjedzie do mnie z jakimś Jugosłowianinem, któremu należy pomóc, bo jest

„naszym wspaniałym człowiekiem”, popieranym przez szwedzkich socjaldemokratów. Chce on pojechać do Polski, żeby osobiście sprawdzić, co się tam dzieje.

Ten Jugosłowianin przykleił się do Świąćickiego w Sztokholmie, a był takim, jakby to powiedzieć, przydupasem Szwedów. Miał czterdzieści lat, mieszkał w Uppsali i był szarą eminencją w szwedzkiej partii socjaldemokratycznej. Jak coś się działo na świecie, Szwedzi udawali, że o tym nie wiedzą. Wtedy wysyłali go, żeby móc zająć jakieś stanowisko. Ten Jugo znalazł się na przykład w 1968 roku w Pradze, kiedy nastąpiła inwazja państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Był podobno na praskim lotnisku i obserwował atak sowieckich jednostek specjalnych na to lotnisko, zanim cały rząd czechosłowacki z Alexandrem Dubczekiem na czele wyekspedowano na rozmowy do Moskwy. Ten człowiek jednak nie wzbudzał we mnie żadnego entuzjazmu.

Wpadłem na pomysł, żeby Jugo, jak już jedzie do Polski, przewiózł coś dla „Solidarności”. Chodziło mi o radiostację krótkofalową, którą kupiłem za pieniądze od Gieydrocia. Dlatego zgodziłem się na to, żebyśmy ponieśli wszystkie koszty tego wyjazdu. Zapytałem Juga, czy zabierze do Polski krótkofalówkę, bo ważna jest dla nas stała łączność z krajem. On na wszystko się zgadzał.

W tym czasie zorganizowaliśmy też w Lund wielką zbiórkę lekarstw, w ten sposób, że znajomi lekarze wypisywali dziesiątki recept dla różnych ludzi, a ci je za własne pieniądze wykupywali i oddawali nam za darmo. Auto, którym jechał Jugo, miało być wypełnione tymi lekarstwami. To była dobra przykrywka.

Pożyczyłem volkswagena pick-upa, w którym było miejsce na schowanie radiostacji. Piotr Adamow, nasz mechanik samochodowy – złota rączka, o którym już wspominałem, zrobił w tym samochodzie wspaniałą skrytkę, której w życiu nikt by nie znalazł, chyba żeby pociął auto na kawałki.

Świąćicki, Smolar, Kołakowski – bojaźliwa mentalność

Kiedy auto dla Juga było gotowe, zadzwonił Jakub Świąćicki, niemal krzycząc, że należy skrytkę w aucie rozmontować, że on się na nią nie

zgadza, inni ludzie z emigracji też. Świącicki kazał auto wybebeszyć, bo miał tę samą bojaźliwą mentalność co Smolar, Kołakowski i inni. Dla nich krótkofalówka, gdyby wpadła na granicy, oznaczała natychmiastowe oskarżenie o szpiegostwo na rzecz CIA i zdradę stanu, co było – według mnie – absolutną bzdurą.

Podobnie zachowywał się Jacek Kuroń przed uruchomieniem pierwszego nielegalnego powielacza KOR-u w Warszawie, czemu był absolutnie przeciwny. Nie zgadzał się na to na początku. Na szczęście nie usłuchał go Mirek Chojecki i jeszcze parę innych osób. Ale kiedy już wyszedł pierwszy biuletyn KOR-u, Kuroń stwierdził: ach, to był błąd, drukujcie następny. Ten marny powielacz uruchomiony bez zgody „czerwonego” był dla niego przekroczeniem Rubikonu.

Wtedy jeszcze liczyłem się z takim żalonym kwileniem, więc pojechaliśmy do warsztatu Piotra i w ciągu paru godzin rozmontowaliśmy skrytkę. Jugo jednak nie wiedział, że w końcu jedzie bez radiostacji. Przed samym wyjazdem dałem mu dwa bardzo dobre adresy w kraju uzyskane z NOW-ej. Były to adresy osób, które na pewno nie zostały wcześniej zatrzymane.

Olewam Świącickiego

Jugo wrócił z Polski w pierwszych dniach 1982 roku. Zjawił się w redakcji „Sydsvenska Dagbladet”, drugiego największego dziennika w Szwecji, na konferencji prasowej. Kiedy posunął się do sprzedawania redakcji zrobionych w Polsce filmów, wkroczyłem do akcji, krzyżując: „Halo, panie kolego, przecież zapłaciliśmy za pana podróż, więc wszystko, co pan przywiózł w bagażniku, należy do nas, a nie do pana”. Bo przecież zapłaciliśmy za wszystko co do korony: za benzynę, za wynajęcie dla niego samochodu, za bilet na prom, za wydatki w Polsce.

Gazeta szwedzka zachowała się po świńsku, jak zawsze, i nie chciała ze mną rozmawiać. Rozmawiali tylko z nim. Udało mi się wreszcie wyciągnąć go na korytarz. Zapytałem, co wyprawia. Zostałem przez niego zbluzgany, między innymi za to, że wymontowałem z samochodu skrytkę i nie posłałem do Polski radiostacji.

Ten wyjazd nie przyniósł nam nic poza stratą pieniędzy. Dostałem nauczkę, że nie powinienem słuchać Świąckiego, bo nie odpowiada mi jego temperament. Tym kierowałem się też później.

„Solidarność” odradza się na Zachodzie

Po 13 grudnia 1981 roku rzucało się w oczy, że większość polskich środowisk emigracyjnych prostuje kręgosłup. Polska emigracja powojenna to byli ludzie, którzy ciągle wierzyli, że któregoś dnia ojczyzna będzie niepodległa i spełnią się ich marzenia sprzed czterdziestu lat. Teraz doczekali się następców. Parę takich osób z Polski ciągle żyło na Zachodzie.

W Europie jak grzyby po deszczu powstawały komitety poparcia „Solidarności”. Panował jednak chaos. Ludzie „Solidarności”, którzy znaleźli się na Zachodzie przypadkowo, nie bardzo wiedzieli, co ze sobą zrobić. Takim przykładem była delegacja „Solidarności” w Bremie, która po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce została tam na dłużej jako przedstawicielstwo związku. W Brukseli natomiast znaleźli się Józef Przybylski, jeden z pierwszych członków komitetu strajkowego w 1980 roku w Stoczni, i Krystyna Ruchniewicz z Komisji Krajowej „Solidarności”. Oboje pracowali później w Biurze Koordynacyjnym „Solidarności” w Brukseli.

Ludzie „Solidarności” za żelazną kurtyną

Po 13 grudnia wszystkie gazety zachodnie pisały o „Solidarności”. Od „Solidarności” i sytuacji w Polsce zaczynał się każdy dziennik telewizyjny.

A najbardziej rozpoznawalnym na Zachodzie człowiekiem „Solidarności” był Mirek Chojecki, znany tu już wcześniej, bo udzielał wywiadów zachodnim gazetom od 1977 roku jako dyrektor NOW-iej. Poza tym w grudniu 1980 roku był w Sztokholmie na wręczeniu Nagrody Nobla Miłoszowi, gdzie poznał wielu znanych ludzi i oni poznali jego. Mirek był takim latającym Holendrem. Pod koniec 1981 roku wyjechał z Polski do USA i dopiero na początku 1982 roku wrócił do Europy.

Drugą ważną osobą na Zachodzie był Seweryn Blumsztajn, dla nas Blum, który jesienią 1981 roku przyjechał do rodziny w Paryżu i tam pozostał po

13 grudnia. Jego nazwisko już od 1968 roku krążyło w polskich politycznych środowiskach emigracyjnych. Był jednym z nieugiętych antykomunistów, nazywanych „komandosami” marcowymi.

Blumsztajn był współzałożycielem paryskiego Komitetu Poparcia „Solidarności”. Kierował nim razem z Jackiem Krawczykiem, mając do pomocy człowieka, który w tym czasie przeprowadził się do Paryża z Holandii, a nazywał się Krzysztof Apt. Był on matematykiem, naukowcem na Sorbonie – człowiekiem bezcennym, bo po pierwsze znał francuski, a po drugie był też przedstawicielem NOW-ej. Spotkałem go wcześniej na jesieni 1981 roku. Wymieniliśmy się doświadczeniami, a potem od pierwszego dnia stanu wojennego kontaktowałem się z nim nawet częściej niż z Sewkiem. Drugim pomocnikiem Blumsztajna był nieoceniony Tomasz Łabędź, mieszkający w Paryżu, mówiący świetnie po francusku i posiadający znakomite kontakty we francuskich mediach. Apt nie bardzo miał czas na wszystkie sprawy, bo miał zajęcia na Sorbonie, więc załatwiał je Łabędź, zwłaszcza z Francuzami, którzy uznają tylko język francuski jako najważniejszy na świecie i dlatego nie uczą się innych. Mirek Chojecki w tym czasie był w drodze z Ameryki do Europy.

„Czerwonemu” udawało się zdusić „Solidarność” w kraju, ale nie na Zachodzie. Jest faktem, że nawet kłamiący bez przerwy gen. Czesław Kiszczak nie może się pochwalić, że udało mu się umieścić jakiegoś swojego agenta w strukturach, które powołaliśmy – ja, Chojecki i inni – tj. w późniejszym Biurze Koordynacyjnym „Solidarności” w Brukseli, Komitecie „Solidarności” w Paryżu i paru innych komitetach. Pracujący tam ludzie tworzyli zamknięty krąg, znali się latami. Bezpieka nie była w stanie kogoś „lewego” nam wkręcić. Nie wierzę w tym względzie Henrykowi Piecuchowi, który twierdzi w swoich książkach, że było inaczej.

Po 13 grudnia 1981 roku żyliśmy z „paryskich pieniędzy”

Ogłoszenie stanu wojennego w Polsce zbulwersowało całą Francję. Jest historycznym faktem, że w 1939 roku Francja zdradziła Polskę. Gdyby Francuzi wypełnili wtedy swoje zobowiązania sojusznicze wobec Polski, to powojenna historia Europy wyglądałaby inaczej. Teraz na czele wielkiego ruchu pomocy dla „Solidarności” stanęły socjalistyczne związki zawodowe François

Miterranda, czyli lewacy, a nie prawicowe związki gaullistowskie. Znany aktor Yves Montand, który kiedyś był lewakiem, dawał koncerty na rzecz Polski. Jego żona, Simone Signoret, pojechała na fałszywym paszporcie do Polski. Na wiosnę 1982 roku z Francji do Polski dotarło półtora tysiąca ciężarówek z pomocą humanitarną. Simon chciała to wszystko zobaczyć na własne oczy, a bała się, że nie dostanie wizy od władz PRL.

Naród francuski w ciągu dwóch miesięcy 1982 roku wpłacił na konto „Solidarności” 8 mln franków, czyli ponad milion ówczesnych dolarów. Była to realna i natychmiastowa pomoc dla podziemnej „Solidarności”.

Tych ponad 8 mln franków, które Francuzi zebrali na rzecz „Solidarności”, wpłynęło na specjalnie założone konto bankowe. To była ogromna suma jak na ówczesne czasy. Muszę pochwalić Sewka Blumsztajna, który od razu zdecydował, że nie możemy z tych pieniędzy wydawać miesięcznie więcej niż 150 tys. franków. Z jednej strony to było dużo, a z drugiej przeokropnie mało. Dobry używany offset kosztował wtedy 10 tys. franków, a offset troszkę przechodzony 5–6 tys. franków.

Suma 150 tys. franków miesięcznie była przeznaczona dla całego podziemia w Polsce, a ono ciągle domagało się od nas środków na swoją działalność, bo jeszcze nie ruszyły zbiórki w zakładach pracy.

Komitet paryski „Solidarności” był jedynym, który od razu po 13 grudnia 1981 roku miał pieniądze na bieżące wydatki. Ale zebrany przez Francuzów milion dolarów to nie były wcale duże pieniądze w stosunku do zgłaszanych nam z kraju potrzeb. Część pieniędzy wydawaliśmy więc na zakupienie tego, czego potrzebowało podziemie, a część na pokrycie kosztów szmugłu zakupionych rzeczy.

Przez pierwsze dwa lata stanu wojennego, do 1983 roku, żyliśmy z „paryskich pieniędzy”. Dopiero potem korzystaliśmy z funduszy Biura „Solidarności” w Brukseli – była to dotacja amerykańskich związków zawodowych AFL-CIO.

Do Paryża jak do ula z miodem ciągnęli ludzie z listami polecającymi od prominentów podziemia z zapotrzebowaniem na różne rzeczy. Nikt nie brał pod uwagę, że nasz budżet jest bardzo skromny – tylko 150 tys. franków francuskich na miesiąc, podczas gdy nasze potrzeby przekraczały 300 tys. franków. Sytuacja była ciężka. Niestety, Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności” nad tym nie panowała i dlatego podziemie

nie dostawało od nas pomocy, której się spodziewało. A winą za to nieśluszenie obarczono Chojeckiego, wyznaczonego do kierowania pomocą dla związku w kraju.

Na zaproszenie rządu londyńskiego

Na początku 1982 roku odbyłem podróż Kopenhaga–Londyn–Paryż–Kopenhaga. Ten wyjazd miał zdecydować, co i jak będziemy robić w najbliższym czasie. Rząd londyński zafundował mi bilet w samolocie linii lotniczych SAS w klasie biznesowej. Uważali słusznie, że sytuacja jest tak dramatyczna, że nie należy w tym wypadku oszczędzać – trzeba korzystać z wszystkich dostępnych środków, żeby pewne sprawy załatwić jak najszybciej.

Wsiadałem do samolotu tylko z jedną niedużą torbą na osobiste rzeczy. Uznałem, że nie należy się obciążać walizkami, bo nie wiadomo, co mi się w czasie tej podróży może przytrafić. Bez żadnych komplikacji wylądowałem na lotnisku Heathrow w Londynie.

Odebrał mnie Genek Smolar. Na rozmowy mieliśmy tylko jeden dzień. Powiedział mi, co wie, a wiedział sporo. Do Londynu przyjeżdżało wielu Polaków, mimo restrykcji paszportowych z powodu stanu wojennego w Polsce. Paszporty na Zachód dostawali od Jaruzelskiego bez większych kłopotów emeryci, różne babcie w podeszłym wieku. I te babcie przewoziły do Londynu pochowane na sobie pod ubraniem podziemne gazetki i konspiracyjne adresy. Genek jako jedyny dysponował nimi i to był jakiś konkret.

Pomagamy przede wszystkim „Solidarności”

Po przespaniu jednej nocy u Genka następne dwie noce spędziłem na Zamku, czyli na Eaton Place w budynku należącym do rządu londyńskiego. Na samej górze znajdowały się apartamenty, gdzie można się było spokojnie i elegancko przespać, chociaż zarówno u Genka, jak i w tych „rządowych” apartamentach było cholernie zimno. Żeby ogrzać jakiś dom w Londynie, trzeba mieć majątek, a fundusze polskiego rządu emigracyjnego nie wyglądały najlepiej.

Byłem osobą cieszącą się zaufaniem tego rządu. Doceniałem jego wielkość, a on przeżywał swoją drugą młodość. Wiedziałem, że jego członko-

wie będą się dwoić i troić, żeby zebrać jak najwięcej pieniędzy. Dostałem do kieszeni sporą sumę, półtora albo dwa tysiące funtów. Umówiliśmy się, do kogo mam dzwonić w Londynie. Nie dzwoniło się już wtedy na dowolne telefony, ale na te, które przekazali mi ludzie z rządu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że lepiej być ostrożnym i nie dać się podsłuchiwać.

Ustaliliśmy, że wszystkie pieniądze pójdą do wspólnej kasy, czyli będziemy popierać w dalszym ciągu niezależne polskie wydawnictwa podziemne, ale priorytet będzie miała „Solidarność”. Kiedy dowiedzieliśmy się, że NOW-a przekazała swoje maszyny drukarskie do dyspozycji „Solidarności”, to nie było co dyskutować ani się zastanawiać dlaczego.

Przez śniegi i lody Europy do Maisons-Laffitte

Po paru dniach znalazłem się znowu na Heathrow. Miałem tzw. bilet otwarty, wystarczyło zgłosić, że chcę lecieć. Miejsca były, bo pogoda była fatalna – śnieg i mróz. Nikt, kto nie był wariatem, w taką pogodę nie latał. Trzeba pamiętać, że w całej Skandynawii niezależnie od tego, czy jest śnieg i lód, samoloty latają. W Anglii natomiast ostrzejsza zima jest śmiertelnym wrogiem samolotów. Ta śnieżna i mroźna pogoda sprzyjała w Polsce Jaruzelskiemu, ułatwiając mu rozprawę z „Solidarnością”.

Najpierw czekałem jakieś cztery godziny w hali odlotów, następnie wpuszczono nas do samolotu. Po raz pierwszy się przekonałem, jak wspaniale jest podróżować w klasie biznesowej. Natychmiast zostałem otoczony przez bardzo miłe stewardesy SAS-u. Zażyczyłem sobie obiad, kawę, koniak, Bóg wie co jeszcze. To wszystko było w cenie mojego biletu. Zdążyłem się najeść, napić, a samolot stał na lotnisku dalej. Poprosiłem więc znowu o jakąś kawę i koniak, żeby wreszcie po prawie czterech i pół godziny siedzenia w samolocie dowiedzieć się, że teraz, niestety, nie polecimy, bo jest śnieg i samolot nie może wystartować.

Powiedzieli mi, że autobus zawiezie nas na Victoria Station, gdzie mamy się zgłosić do kasy, odebrać darmowe bilety, a potem płynąć promem do Calais i dalej jechać do Paryża. Było cholerne zimno, trząśłem się przez cały czas. Na Victoria Station zdążyłem kupić jakiegoś sandwicza, byłem naprawdę głodny. Wsiadłem do pociągu i zasnąłem. Potem usadowiłem się na pro-

mie do Calais, który miał płynąć godzinę, a płynął prawie trzy. Znowu ktoś mnie obudził, żeby wsiadać do pociągu do Paryża. Gdzieś około czwartej nad ranem wylądowałem na słynnym dworcu Gare du Nord w Paryżu, skąd miałem następny pociąg do Maisons-Laffitte.

Około godziny siódmej rano zastukałem do drzwi Maisons-Laffitte. Powitała mnie pani Zosia Hertz. W drzwiach zadała mi pytanie: panie Marianie, gdzie pan był, tak strasznie pan wygląda? Zobaczyłem w lustrze, że faktycznie nie wyglądam zachęcająco, na pewno nie jak pasażer klasy biznesowej. Wylądowałem w łóżku, w jednym z budynków należących do „Kultury”, po drugiej stronie podwórka. Poprosiłem, żeby obudzono mnie na śniadanie. Tak się też stało, chociaż tego zwyczaju w „Kulturze” nie było, nawet Adam Michnik musiał sobie nastawiać budzik i przychodzić na śniadanie punktualnie. Zdążyłem się tylko opłukać i zmienić koszulę. Zasiadłem przy stole, gdzie siedział redaktor Giedroyc, jego brat Henryk, pani Zosia i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu – prof. Zbigniew Brzeziński.

Limuzyną profesora Brzezińskiego

Nazwisko profesora znałem z różnych wydawnictw emigracyjnych. Wiedziałem, że był doradcą do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA Jimmy’ego Cartera. Czułem się troszeczkę onieśmielony. Ale profesor okazał się bardzo rozmownym człowiekiem. Bardzo szybko nawiązaliśmy kontakt, rozmawialiśmy o tym, co się ewentualnie może zdarzyć w Polsce i jak należy pomóc podziemiu „Solidarności”.

Opowiedziałem o nielegalnym przerzucie jachtem do kraju w lecie 1981 roku trzech offsetów dla NOW-iej, które trafiły do dużych zakładów pracy, żeby miał kto ich bronić, gdyby bezpieka chciała je zabrać – tak więc NOW-a na pewno nie straciła swojego sprzętu. Od tego się zaczęła nasza rozmowa. Dodałem, że równie ważny jak sprzęt jest papier do drukowania. Powiedziałem o wielkich zakupach papieru dokonanych na Zachodzie przez Marka Borowika. Na tym zakończyliśmy rozmowę o kraju. Profesor wybierał się samolotem do Waszyngtonu, a ja też samolotem do Kopenhagi.

Pogoda pokrzyżowała nasze plany. Jak jest minus kilka stopni w Paryżu – a tak właśnie było – to zaczyna się katastrofa, bo oni wszystkie rury

wodociągowe montują na wierzchu, to wszystko pęka, woda zalewa ulice, a w domowych toaletach jej nie ma, do tego przestaje funkcjonować komunikacja miejska. Jednak po południu wspaniałą limuzyną pana profesora, z proporczykami amerykańskiego rządu, zostałem podwieziony na lotnisko. Profesor pojechał na swój terminal, ja na swój.

Z cennym ładunkiem naokoło zamrożonej Europy

Poinformowano mnie, że samolotu Paryż–Kopenhaga nie należy się spodziewać przez najbliższe dwa dni, a podróżni zostaną podwiezieni na dworzec Gare du Nord, skąd odchodzą pociągi do Europy. Wieczorem na tym dworcu nie było jednak ani widu, ani słyhu o pociągu do Kopenhagi. Wreszcie zapowiedzieli, że będzie podstawiony za parę godzin.

Miałem na sobie puchową kurtkę zimową z kapturem, do tego dość wysokie buty, tak że zimy się specjalnie nie bałem. Ale bałem się czegoś innego. Otóż przewoziłem trochę pieniędzy, bo spotkałem się jeszcze w Paryżu z Sewerynem Blumsztajnem, od którego dostałem pewną sumę, żeby wysłać ją do kraju, bo ktoś do niego zadzwonił z prośbą o 500 dolarów. Oprócz tego otrzymałem ładnych parę tysięcy franków od Giedroycia. W ten sposób stałem się osobą „w cenie”. Stale sobie jednak tłumaczyłem, że nie rzucam się w oczy – nikt nawet nie spojrzy na takiego długowłosego typu z wąsami, w okularach, w puchowej kurtce, typowej dla Skandynawów.

Pociąg z Paryża do Kopenhagi podstawiono około północy. Wsiadłem do niego i od razu zasnąłem. Obudziłem się po paru godzinach na dworcu w Brukseli. Chociaż pociąg wcale nie miał jechać przez Brukselę, to tam właśnie dotarliśmy. Znowu zasnąłem. Obudziłem się w Amsterdamie. Ten pociąg próbował jechać w kierunku Kopenhagi, ale zamiast się do niej zbliżyć, to się oddalał.

Po kolejnych paru godzinach pociąg zaczął jechać w kierunku Niemiec. Muszę przyznać, że Niemcy mi zaimponowali. Wylądowaliśmy w Kolonii, gdzie na dworcu stali przedstawiciele Niemieckiego Czerwonego Krzyża i rozdawali za darmo słynne niemieckie wursty z bułką, gorącą kawę i herbatę. Na ten dworzec, o czym wtedy nie wiedziałem, zajechało takich dziwnych pociągów około dziesięciu. Znowu upłynęło parę ładnych godzin, zanim

udaliśmy się w dalszą podróż. Ale przynajmniej już nikt nie był głodny i nikomu nie chciało się pić.

Takie same tęgie mrozy panowały wtedy w Polsce, tylko że tam nikt zwykłym ludziom w podróży nie pomagał. Można się było później dowiedzieć o ofiarach śmiertelnych z powodu ograniczeń w łączności narzuconych przez „WRON-ę”, czyli Wojskową Radę Ocalenia Narodowego z Jaruzelskim na czele, która proklamowała stan wojenny.

Około czwartej nad ranem wylądowałem w Hamburgu, po podróży pociągiem trwającej już półtorej doby. Wysiadłem naprzeciwko dworca. Stał tam wielki elegancki hotel. Pomaszerowałem do tego hotelu i wynająłem sobie pokój. Spałem chyba dobrą. Obudziłem się koło południa.

Minoksy dla Białołęki

Padał śnieg, było szaro, postanowiłem zrobić sobie małą przechadzkę, zjeść coś ciepłego, jakiś ludzki obiad, w trzecim dniu mojej podróży z Paryża do Kopenhagi. W drodze do restauracji, znajdującej się bardzo blisko dworca, minąłem sklep z aparatami fotograficznymi. Zobaczyłem na wystawie aparaty Minox. Cieszyły się one wielką popularnością ze względu na swój mały rozmiar – 10×5 cm. Wszedłem do sklepu i poprosiłem o dziesięć takich aparatów. Zrobiło się zamieszanie, przylecieli sprzedawcy, zdjęli nawet ostatni aparat z wystawy. Do tych aparatów były dodatkowo filmy i materiały do wywoływania zdjęć.

Kupiłem wszystko, żeby przemycić to do Białołęki. Liczne zdjęcia z internowania ludzi „Solidarności” w Białołęce, które do dziś się zachowały, były zrobione tymi właśnie minokсами.

Sprzedawca, który patrzył na mnie bardzo zdziwionym wzrokiem, zrobił z tych aparatów zgrabną paczkę. Kiedy przyszło do płacenia, pojawił się w sklepie sędziwy staruszek, właściciel sklepu. Łamaną polszczyzną powiedział, że kiedyś był w Polsce, w Krakowie, i daje mi tutaj 10 proc. rabatu. Było to w sumie kilkaset marek. Ciekawe, czy służył w Wehrmachcie?...

Po zakupie minoksów w Hamburgu wsiadłem w najbliższy pociąg do Kopenhagi. Kiedy tam dojechałem, pomyślałem, że jestem wreszcie w domu. Okazało się jednak, że to nieprawda. Połączenie Kopenhaga–Malmö obsługi-

wały wodoloty kursujące co pół godziny. Po pięćdziesięciu minutach było się na miejscu. Ale jeśli była za duża kra, to wodoloty nie pływały – no i teraz kra była oczywiście za duża. Wobec powyższego musiałem wziąć prom do Limhamn, które jest przedmieściem Malmö. Podróż trwała zawsze około pięćdziesięciu minut. Tym razem płynęliśmy prawie trzy godziny.

W końcu znalazłem się w domu. Spałem podobno półtorej doby. Żona odbierała telefony. Były ich dziesiątki, z jednym pytaniem: gdzie jest Marian Kaleta?

Goły i bosy Mirek

Chojecki przyjechał do Europy na początku 1982 roku goły i bosy. Nikt z emigracji poza Giedroyciem nie zadawał pytania, z czego tacy ludzie mają żyć na Zachodzie. Pierwsze miejsce postoju Mirka było u Marka Franciszkowskiego w Paryżu, księgarza i wydawcy. To był mały pokój z łóżkiem do spania, toaleta znajdowała się na podwórku. Podobnie rozpaczliwie wyglądała sytuacja materialna Mirka.

Mirek nie miał z czego żyć, chociaż kiedy wyjeżdżał ze Stanów, różne babcie dały mu na drogę po parę groszy do kieszeni. Przyjechał do Europy ze swoją przyszlą żoną, Jolą Kessler, która kiedyś śpiewała w Alibabkach. Na szczęście przez odpowiednie rekomendacje, jak to w Paryżu, dostał amerykańskie stypendium Fundacji Forda. I to były dopiero jego pierwsze normalne pieniądze po kilku miesiącach tułaczki.

W połowie 1982 roku uratował go list Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, w którym Bogdan Lis powierzył mu organizowanie na Zachodzie pomocy materialnej i technicznej dla solidarnościowego podziemia w Polsce. W tym momencie rola szefa Komitetu „Solidarności” w Paryżu stopniała do zera, a kilka miesięcy później dokonano połączenia paryskiego Komitetu Poparcia „Solidarności” z brukselskim Biurem „Solidarności”.

O kolejnym jachcie z Polski nie było co marzyć

Zachowałem wszystkie stare kontakty z NOW-ą. Planowałem wysłać kogoś do żony Grzesia Boguty, której nie zamknęli, żeby kontynuować naszą działalność. Trzeba pamiętać, że pod koniec stycznia 1982 roku nadal w Pol-

sce istniał wielki opór wobec władzy Jaruzelskiego. Było dużą niewiadomą, co się stanie dalej.

Zdałem sobie sprawę, że to wszystko, co z takim trudem zbudowaliśmy przez ostatnie trzy lata, należy już do przeszłości. Wiedziałem, że podziemie „Solidarności” będzie potrzebować bardzo dużo maszyn drukarskich, farby drukarskiej, matryc białkowych do powielaczy, blach do offsetów i wielu innych rzeczy. Aby jednak to wszystko wysłać do Polski, trzeba było mieć jakieś adresy odbiorców. Pomoc humanitarną z zagranicy dla „Solidarności” odbierały parafie w kraju. Wiedziałem, że w te humanitarne transporty pakuje się również trefne rzeczy. Nie byłem tego zwolennikiem. Takie wysyłanie na łapu-capu ułatwiałoby robotę bezpiece. Poza tym przesyłka niekoniecznie musiała trafić do rąk adresata.

Ułożyłem sobie plan działania. Przede wszystkim zakup sprzętu. O nowych maszynach na razie nie było co myśleć. Nadal uważałem, że trzeba gromadzić maszyny używane i je naprawiać. Andrzej Świątek w Kopenhadze uruchomił swoich znajomych. Tak się to wszystko powoli odradzało na nowo.

Wspominałem już, że miałem wtedy dwupoziomowe mieszkanie, urządzone z myślą o ludziach przyjeżdżających z Polski, żeby mieli jakiś niekrępujący pokój z osobnym wejściem. Ten cały dół mieszkania powoli zaczął się zapełniać dzięki pieniądзом przywiezionym przeze mnie z Londynu i Paryża, chociaż nie wystarczyły one na długo. Nie miałem też konceptu, jak to, co zakupiłem, szmuglować do Polski. O jakimś jachcie turystycznym z kraju na razie nie było mowy.

Polski kuter rybacki z agentem SB na pokładzie

Mimo obostrzeń stanu wojennego przyływały do Szwecji kutry rybackie z Polski. W czerwcu 1982 roku taki kuter przypłynął do Malmö. Nazywał się „Nerr” czy jakoś tak. Na taki kuter można dużo rzeczy wpakować, jak się chce. Wszedłem na jego pokład, a tam spotykam znajomego. Poznałem go parę lat wcześniej przy okazji jednej z akcji szmuglerskich. On pływał wtedy na jakimś statku, może na „Pomeranii”. Pytam człowieka, czy wzięliby ode mnie do przewiezienia maszyny drukarskie dla podziemia w Polsce. Odpowiada mi: ależ tak, oczywiście, nie ma sprawy.

Zapłaciłem mu za to, bo zawsze płaciłem, 3 tys. koron szwedzkich i 1,5 tys. koron duńskich. Co się stało z tym sprzętem, do dzisiaj nie wiem. Nikt niczego w kraju nie dostał. Ostatnio się dowiedziałem się, że w IPN-ie w Szczecinie jest na ten temat masa esbeckich materiałów. Okazuje się, że ten człowiek, który wziął ode mnie sprzęt i pieniądze, był agentem SB. Te papiery odnalazł w Szczecinie kolega Marka Tarki, tego, co zszedł z promu „Pomerania” 15 grudnia 1981 roku i został w Szwecji. Kolega Tarki grzebał się w tych papierach, pisząc pracę magisterską „Działalność »Solidarności« w województwie szczecińskim”.

Dowiedziałem się z tych raportów na mój temat, że mam krzywe zęby i że nie jestem elegancki. Ten agent dzwonił parokrotnie do żony Marka Chi-miaka, jednego z dyrektorów NOW-ej. Bezpieka opisuje go jako natręta ciągle domagającego się pieniędzy albo tego, żeby pomogli mu załatwić mieszkanie.

To była jedyna moja wpadka, kiedy szmuglowałem sprzęt do kraju drogą morską. Dowiedziałem się o niej dopiero teraz, ale już wtedy czułem, że szmugiel maszyn przez Bałtyk nie będzie możliwy.

Sven Järn – bezcenny nabytek po Edku Waszkiewiczzu

Sven Järn, Szwed mieszkający w Sztokholmie, był bezrobotny, ale zarabował dorywczo jako kierowca, jeżdżąc swoją małą ciężarówką. Jego żona była Polką. W pierwszych dniach po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce Szwedzi dawali mu to, co tam kto miał, dla ciemniejących Polaków, może on także poszedł po dary do któregoś kościoła czy do swoich znajomych. Szybko uzbierał pełne auto rzeczy. Poza tym każdy otwierał portfel i dawał mu jakieś pieniądze, które Sven mógł przeznaczyć na benzynę i inne koszty transportu. I tak z własnej inicjatywy w styczniu 1982 roku pojechał pierwszy raz z pomocą humanitarną do Polski. Razem z tą pomocą wioził prywatne paczki od Polaków w Szwecji, którzy wysyłali je do swoich rodzin w kraju. To był taki wiązany interes – wioził pomoc humanitarną dla kraju, a oprócz tego przewoził paczki, za które pobierał regularną opłatę.

Z pierwszej takiej jazdy do Polski Sven wrócił z końcem stycznia 1982 roku. Zawiózł dary do kościoła św. Marcina w Warszawie. Tamtejsi ludzie posłali go do Jakuba Świącickiego w Sztokholmie, twierdząc, że on na pewno

będzie w stanie zorganizować dalszą pomoc humanitarną dla kraju. Święcicki zadzwonił do mnie. Klócił się wtedy w Sztokholmie ze wszystkimi, wydał własny solidarnościowy biuletyn równoległe z drugim, wydawanym przez Komitet Pomocy „Solidarności” kierowany przez Funia Trzcieskiego. Nie bardzo wiedział, co ze Svenem począć.

Po rozmowie ze mną Sven przyjechał do Malmö i zobowiązał się, że załatwi dla Polaków pomoc humanitarną, która podczas przewozu może przykryć trefne rzeczy przeznaczone dla „Solidarności”.

Chorwacki patent przemytniczy

Był w centrum Malmö taki bar z kiełbaskami przy ul. Södra Förstads-gatan, prowadził go Chorwat o imieniu Stipe. Bar miał wielkie powodzenie z tej przyczyny, że kiełbaski u Stipego nie były szwedzkie, nafaszerowane chemią, ale chorwackie, czyli bez takich dodatków. Były przez to wyśmienite. Ja się ze Stipem przyjaźniłem od 1974 roku. Pracowałem wtedy w Ystad, w sklepie u polskiego Żyda. Tam polscy marynarze przynosili codziennie wódkę, koniak, to i tamto, wszystko ze szmuglu promem „Pomerania”. Na tym się dobrze zarabiano. Zabieraliśmy to ze Stipem na auto i przywozili do Malmö. Towar sprzedawałem klubowi nocnemu, a Stipe był pośrednikiem.

Kiedy w Polsce nastał stan wojenny, zapytałem Stipego, jak by tu przeszmuglować coś większego ze Szwecji do Polski. Za parę dni Stipe mówi: Marian, Chorwaci szmuglują papierosy z Macedonii do Włoch bardzo prosto – trzeba mieć auto ciężarowe, takie, żeby jego paka nie była nakryta plandeką, tylko blachą. Wtedy można na takiej pacy dorobić z blachy drugą ścianę. Za tą ścianą da się schować wszystko, co się chce.

Odpowiedziałem mu, że jak będę miał takie auto, to je odpowiednio przerobimy. Po poznaniu Svena postanowiłem takie auto zakupić.

Sprzęt radiowy na planowany letni strajk podziemnej „Solidarności”

Na początku 1982 roku dowiedziałem się, że podziemna „Solidarność” postanowiła zorganizować w lecie strajk generalny, żeby rzucić Jaruzelskie-

go na kolana zgodnie ze słynnym solidarnościowym hasłem: „Zima wasza, wiosna nasza”.

Pod ten strajk ktoś z podziemnej „Solidarności” w Polsce opracował system łączności dla całego kraju z użyciem krótkofalówek. W systemie tym zakładano osiem wiodących regionów, o ile dokładnie pamiętam. Każdy region miał być wyposażony w 5–6 kompletów: radio krótkofalowe Kenwood, wzmacniacz oraz odpowiednią ilość radiotelefonów i skanerów do podsłuchu milicji.

Zakupu dokonano bezpośrednio u producenta w Szwajcarii, w firmie Kenwood, a następnie wszystkie zakupione rzeczy zostały ze Szwajcarii przewiezione do Francji.

Chojecki przedarł się do Malmö

I oto w pewien lutowy dzień zastukał do moich drzwi Mirek Chojecki, który przyjechał z Paryża z damą swojego serca, Jolą. Z jego samochodu wysypywał się sprzęt elektroniczny, chyba połowa tego, co zostało zakupione w Szwajcarii. Dowiedziałem się od Mirka, że kiedy wjeżdżał z Francji do Niemiec, to niemieccy celnicy bardzo podejrzliwie patrzyli na jego bagaż, a celnicy szwedzcy zupełnie nie wiedzieli, czy mogą go wpuścić.

Przy tym wjeździe do Szwecji, po godzinie czekania, Mirek się zdenerwował. To był chyba cud od Pana Boga, ponieważ szwedzcy celnicy normalnie nie przepuszczą przez granicę nawet szpilki. Nie ma z nimi żadnej dyskusji, czy wiezie się coś dla szwedzkiego premiera Olofa Palmego, dla „Solidarności” czy dla Pana Boga. Trzeba płacić MOMS, czyli szwedzki VAT, cło itd. A ci celnicy nagle sobie poszli. Straż graniczna nie wiedziała, co ma z Mirkiem zrobić, i go przez granicę przepuściła. W wyniku tego mój pokój na dole został zawalony niemal pod sufit sprzętem elektronicznym za wielkie pieniądze.

Sven Järn zawiózł to później do Warszawy. Borusewicz opowiadał mi na początku lat dziewięćdziesiątych, że tych krótkofalówek użyto w czasie strajku w 1988 roku w Gdańsku. Jedną taką radiostację zostawiłem w Malmö i zamocowałem na dachu domu, w którym wynajmowałem lokal, specjalną antenę BIM. Nic nie stało na przeszkodzie, aby się tą drogą porozu-

miewać z krajem, należało tylko zrobić to samo w Polsce. Niestety nigdy to nie nastąpiło.

Centrum pomocowe „Solidarności” w Sztokholmie nie powstało

W lutym 1982 roku odbyło się wielkie spotkanie ludzi „Solidarności” w Sztokholmie z udziałem Chojeckiego. Miał on wtedy jeszcze paszport służbowy z PRL. Wszyscy patrzyli na ten paszport z politowaniem, ale wbiłali mu wizy i Mirek mógł jeździć, gdzie chciał.

To spotkanie zorganizował Arne Ruth, wtedy wielkie nazwisko w sferach intelektualno-kulturalnych Szwecji, szef działu kultury czołowego do dziś dziennika szwedzkiego „Dagens Nyheter”. Chodziło zwłaszcza o to, by pomóc w gromadzeniu pieniędzy i załatwianiu spraw dla „Solidarności”. Miało to dać początek centrum pomocowemu, ale niestety tak się nie stało z powodu pragmatyzmu szwedzkich związków zawodowych i tamtejszej partii socjaldemokratycznej. Oni szli w zupełnie innym kierunku. Funkcjonowało biuro „Solidarności” w Sztokholmie, gdzie był Funio Trzeciński, w Sztokholmie działał też Jakub Święcicki i cała masa przyzwoitych ludzi. Ale rezultaty ich działań były bardzo dalekie od tego, czego należało się spodziewać.

Nie wtrącałem się absolutnie do tego, co się działo w Komitecie sztokholmskim „Solidarności”. Nie miałem najmniejszego wpływu na jego działalność. Ale z Józefem Lebenbaumem mieliśmy w ręku Komitet Pomocy „Solidarności” na południu Szwecji – w Lund, gdzie było paru ludzi godnych zaufania. Gdy potrzebowaliśmy ich pomocy, to zawsze się ktoś chętny znalazł. Z naszym komitetem rozmawiały też szwedzkie radio, telewizja i prasa.

Hojni Francuzi i Komitet Poparcia „Solidarności” w Paryżu

Po tej imprezie w Sztokholmie pojechałem z Mirkiem do Paryża na pierwsze duże spotkanie z ludźmi z tamtejszego Komitetu Poparcia „Solidarności”.

Siłą napędową tego komitetu był Krzysztof Apt, przede wszystkim dlatego, że znał francuski i miał ochotę pracować. Seweryn Blumsztajn, szef komitetu, nie miał zielonego pojęcia, co to jest Zachód, ani nie znał żadnego języka obcego. Był taką wizytówką „Solidarności” i nie zawsze dawało się

z nim coś załatwić tak, jak by się chciało. Najgorsze było to, że ludzie, którzy szeptali mu coś do ucha, bardzo często załatwiali swoje własne interesy, a niekiedy interesy „Solidarności”.

Do rozmów zasiadł jeszcze Sławek Czarlewski odpowiedzialny za dostarczanie poczty do kraju, przede wszystkim do Gdańska, do Bogdana Lisa, ewentualnie do Borusewicza. Mirek Chojecki był w Komitecie paryskim „Solidarności” organizatorem szmuglu sprzętu drukarskiego do Polski.

Dostałem 30 tysięcy franków na zakup szmuglerskiego auta

Będąc w Paryżu, wymolestowałem od Sewka Blumsztajna 30 tys. franków na kupno samochodu przystosowanego do szmuglowania maszyn drukarskich do Polski, którym pojedzie Sven Järn. Byłem bardzo rozgoryczony, bo 30 tys. franków, które dostałem, to było o wiele za mało. Dam prosty przykład: tyle kosztował używany osobowy volkswagen, a ja potrzebowałem kupić małą ciężarówkę.

Zdawałem sobie sprawę, że dysponując tak małymi pieniędzmi, nie mogę dać ogłoszenia do gazety, ale muszę jak ten pies milicyjny węszyć, aż znajdę odpowiednie auto. Moim pomocnikiem został Marek Tarka, marynarz zbiegły z „Pomeranii” w grudniu 1981 roku, którego Świącicki wykorzystał jako swoją wizytówkę w Sztokholmie, a kiedy już ta wizytówka nie była dla niego przydatna, to go po prostu zostawił na lodzie.

Marek przyjechał do Malmö. Na początku zatrzymał się u mnie, a następnie załatwiłem mu w urzędzie pomoc socjalną i pomogłem znaleźć mieszkanie. Zaczął dorabiać w warsztacie u Piotra Adamowa. Miałem do Marka stuprocentowe zaufanie i zawsze mogłem liczyć, że jak będzie coś trefnego do roboty, będę mógł mu to zlecić.

Raz na miesiąc w Paryżu, raz na kwartał w Londynie

Ustalania były jasne: raz w miesiącu odbywamy spotkanie w Paryżu. Były tam konsultacje z Giedroyciem. Raz na kwartał wyjeżdżaliśmy z Mirkiem do Londynu na spotkania z rządem londyńskim. Już prawie pół roku, bo od jesieni 1981, żyłem z zasiłku dla bezrobotnych, chociaż pracy miałem nie

na osiem godzin, ale właściwie na całą dobę. Urząd pracy w Malmö patrzył na mnie krzywym okiem, że nie mam zajęcia, ale musiał to tolerować, bo prawo było po mojej stronie. W branży optycznej rzeczywiście nie miałem już nic do zrobienia.

Co miesiąc znikiałem na tydzień z domu. Z reguły jechałem przez Kopenhagę do Paryża, gdzie z Mirkiem podejmowaliśmy decyzje na bieżąco. Odwiedzałem też co miesiąc „Kulturę” paryską, aby ustalić plan działań na miesiąc następny.

W tym czasie byłem bardzo nawiedzony i chciałem naprawdę zrobić wszystko, żeby pomóc ludziom w kraju. Ale też miałem szczęście. Napoleon powiedział kiedyś, że szczęście lubi maszerować za walecznymi batalionami. Ja zaś należałem do ludzi, którzy działali bez względu na warunki. Pomoc powstającemu podziemiu „Solidarności” uważałem za sprawę numer jeden. To podziemie dopiero w marcu–kwietniu 1982 roku się skonsolidowało. Zaczynał się tym samym nowy rozdział mojego życia.

Jest towar do przewiezienia, ale nie ma czym

W marcu 1982 roku wysłałem kuriera do żony Grzesia Boguty. Od niej dostaliśmy adres człowieka, który działał w parafii przy kościele św. Marcina na Starym Mieście w Warszawie, gdzie w 1977 roku odbywała się głośność kilku opozycjonistów domagających się uwolnienia aresztowanych robotników i działaczy KOR-u. Zacząłem organizować pierwszy transport z pomocą humanitarną dla Polski. Sven Järn miał w kwietniu zawieźć tę pomoc właśnie do kościoła św. Marcina.

Pojechałem na zakupy do Kopenhagi wypożyczoną półciężarówką. Kupiliśmy tam z Andrzejem Świątkiem masę żywności za około 100 tys. franków. Przede wszystkim były to konserwy. Kupiliśmy dużo puszek z najtańszym sokiem ananasowym, który potem wylewaliśmy, aby ukryć w nich nasz trefny towar. Najpierw ten sok rozdawałem znajomym, ale stało się podejrzane, że Kaleta rozdaje za darmo sok ananasowy, więc przestałem. Później się dogadałem z jednym przedszkolem, w którym moja sąsiadka była nauczycielką. Temu przedszkolu oddawałem wszystko, co było do picia i do jedzenia, a co usunęliśmy z puszek i butelek, żeby je opróżnić.

Suszyliśmy więc te puszki i napełnialiśmy czym innym: wkładaliśmy do środka tkaninę używaną do sitodruku, farbę, emulsję i zmywacz. Zrobiliśmy specjalny wykaz i oznakowanie kartonów, żeby było wiadomo, co i gdzie się znajduje. Poza tym w uzbieranej używanej odzieży, której mogłem mieć, ile tylko chciałem, wszywałem do kurtek i płaszczy po pięć metrów tkaniny do sitodruku. W dalszym ciągu szukałem jednak auta, aby przetransportować to wszystko do Polski. Ale gdzie kupić takie auto za 30 tys. franków?

Ślepi celnicy niemieccy – Alles klar!

Na początku kwietnia 1982 roku, tuż przed świętami wielkanocnymi, zadzwonił Mirek z informacją, że jest duża szansa przeszmugłowania do Polski dwóch offsetów i paru powielaczy, które mam zawieźć szefowi biura „Solidarność” w Amsterdamie, Jankowi Minkiewiczowi, do Holandii. On zadzwonił do Mirka, że jest okazja wysłania sprzętu drukarskiego do Polski z Holandii, ale to natychmiast, i że on ma człowieka, który to zawiezie samochodem. Później Mirek Chojecki się dowiedział, że ten człowiek miał kontakty z KGB.

Był to tydzień wielkanocny, moja żona popatrzyła na mnie z politowaniem. Załadowałem towar na przyczepkę. Miałem do przejechania kilkaset kilometrów.

Do przyczepki campingowej, oprócz dwóch offsetów i czterech powielaczy białkowych, napakowałem matryce białkowe, książki, farbę drukarską. Do pełna. Jechałem przez Kopenhagę do granicy duńsko-niemieckiej. Na promowym przejściu granicznym do Niemiec samochody osobowe nigdy nie były sprawdzane przez celników. Nigdy. Również kiedy się jechało z przyczepką campingową. Ale tego dnia akurat było inaczej.

Zbaraniałem. Zjechałem z promu i widzę, że tam się dzieją cuda – stoją w kolejce ciężarówki i auta osobowe, a każdemu kierowcy celnicy każą wysiąść i iść do budynku celnego. Jakaś akcja była. W tym momencie zrobiło mi się gorąco. Po pierwsze, nie znałem niemieckiego, żeby wytłumaczyć, co wiozę. Po drugie, nie miałem żadnego kwitu, czyj jest ten towar, ani żadnych papierów, co ja mam z nim wspólnego.

Podjechałem, tak jak kazali, do budynku służby celnej. Widzę, że tam wchodzi kierowcy, dają do podbicia deklarację celną, a potem wychodzą

z tymi papierami i niby pokazują je celnikowi do sprawdzenia, ale tak, że tylko machają nimi przed oczami celnika, krzycząc: *Alles klar!* i odjeżdżają.

Postanowiłem zrobić dokładnie to samo. Wszedłem do budynku cła jeszcze raz, posiedziałem tam parę minut, wziąłem plik jakichś gazet i papierów, wyszedłem, ryknąłem: *Alles klar!*, wsiałem do samochodu i odjechałem.

Przez granicę holenderską z towarem w rękach

Skóra mi cierpła, bo nie wiedziałem, czy po przejechaniu granicy nie dogoni mnie jednak niemiecka straż graniczna, żeby mnie skontrolować. Ale nic się nie stało.

Dojechałem w końcu do granicy holenderskiej, gdzie już czekał na mnie Minkiewicz. Zaczęły się kolejne kłopoty: Holendrzy nie bardzo mieli ochotę wpuścić mnie z moim towarem bez oclenia. Minkiewicz jakoś się z nimi dogadał. Stało na tym, że nie przejeżdżałem samochodem przez granicę holenderską, ale przenieśliśmy to wszystko przez tę granicę w rękach.

Zawsze w czasie każdego takiego wyjazdu były do mnie dziesiątki telefonów. Prowadziliśmy specjalny zeszyt, w którym żona zapisywała, kto i kiedy dzwonił, czy mam oddzwonić, czy on zadzwoni jeszcze raz. To funkcjonowało bardzo dobrze do momentu, gdy nie zebrało się tych telefonów za dużo. Tak też niestety się zdarzało, bo działałem sam. Marek Tarka nadawał się do pomocy w pakowaniu towaru, ale nie do odpowiadania na telefony, bo nikogo nie znał.

Trzyminutowy film o drukowaniu nielegalnej bibuły

Wziąłem w tym czasie udział w liczącym się programie telewizyjnym „Magasinet”, w którym opowiadałem o podziemnej „Solidarności”. Czesław Bielecki, wtedy szef podziemnego wydawnictwa CDN, nakręcił trzyminutowy film o drukowaniu nielegalnej bibuły w Polsce. Ten film bardzo szybko wyłądował u mnie na biurku. Sprzedałem go Programowi 2 Telewizji Szwedzkiej, jak dziś pamiętam, za 4,5 tys. koron.

Głupota Szwedów przy emisji tego filmu przekroczyła wszelkie granice. Wszyscy na Zachodzie bardzo chcieli zobaczyć, jak działa podziemie „Soli-

darności” w Polsce. Bielecki był jedynym człowiekiem w Warszawie, który zrozumiał, co jest grane. I zrobił taki film. To był prawdziwie artystyczny film. Zaczynał się od gruchania gołębi, gdy ktoś idzie po schodach na strych kamienicy, ciemno dookoła, te gołębie gruchają coraz bardziej, ten ktoś wchodzi na strych i tu następuje cięcie, pokazane są warszawskie kioski Ruchu pełne PRL-owskiej prasy, której nikt nie kupuje. Później jest pokazane składowisko makulatury, gdzie ta prasa, zwrócona przez kioski, jest wyrzucana, po czym następuje powrót na strych, gdzie zamaskowani chłopcy drukują nielegalną bibułę, pracuje powielacz, a z niego w pięciu językach wychodzi tekst: „U nas zwrotów nie ma”. Chodziło oczywiście o to, że wtedy były ogromne zwroty legalnej prasy reżimowej, a nielegalna prasa podziemna zwrotów nie miała.

Szwedzi tymczasem film skrócili. Pokazali tylko drukujących podziemnych drukarzy i wyskakujący z powielacza tekst: „U nas zwrotów nie ma”. Byłem wzburzony do zenitu takim chamstwem. Ale najważniejsze, że zapłacili mi 4,5 tys. koron.

Okazało się, niestety, że nie umiałem z nimi handlować. Otóż nie zastrzegłem w umowie, że prawo do emisji ma tylko telewizja szwedzka, wobec tego Szwedzi przyznali sobie wyłączne prawa autorskie do całej kasety. Posiadając te prawa, sprzedali film dalej. A ja straciłem dobrą okazję, żeby zarobić na kamerę filmową, którą posłałem do Polski do filmowania różnych rzeczy. Ta kamera kosztowała ponad 15 tys. koron.

Zaistnieliśmy jednak w opinii publicznej Skandynawii. Ten program został powtórzony przez telewizję w Danii i Norwegii. Mówiłem tam, czego naprawdę potrzebuje „Solidarność” w Polsce, że teraz należy pomagać przede wszystkim ludziom, którzy działają w podziemiu.

Miałem towar i kierowcę – brakowało auta

Nastąpił kolejny wyjazd do Paryża i kolejne dyskusje z Mirkiem Chojecim. Sytuacja stawała się poważna, bo tę całą zadekowaną od lutego u mnie w domu elektronikę należało zacząć przerzucać do kraju. Strajk generalny był planowany na jesień, a ja ciągle nie miałem odpowiedniego auta nadającego się do transportu.

Z Mirkiem ustaliliśmy, że stanę na głowie, żeby uruchomić jakiś kanał przerzutowy do kraju. Wszystko wskazywało na to, że najlepiej wysłać szmugiel ze Szwecji. Miałem już chętnego kierowcę Svena Järna, który zgodził się jeździć z trefnymi rzeczami do Polski. Dostałem od Blumsztajna 30 tys. franków na samochód, chociaż nie było łatwo kupić odpowiednie auto za tak małą sumę. Nie pozostawało jednak nic innego, jak je znaleźć.

Trafiłem mercedesa na wariackich papierach

Dowiedziałem się, że jakiś Polak ma do sprzedania auto dostawcze, którym woził kwiaty. Skontaktowałem się z tym człowiekiem. Rzeczywiście, miał na sprzedaż dziesięcioletniego dostawczego mercedesa z dobudowaną specjalną skrzynią do przewożenia kwiatów. Ten samochód miał też agregat chłodniczy. Jego właściciel zapewniał, że silnik jest w bardzo dobrym stanie, bo kwiaty nie są ciężkie, a kilometrów nie przejechał zbyt dużo. Samochód stał jednak w Holandii, a na dodatek nie miał ważnego przeglądu technicznego, nie opłacono za niego podatku drogowego.

W tej sytuacji Sven przyjechał ze Sztokholmu, skąd miał do Malmö 600 km, wsiedliśmy w prywatny samochód tego Polaka i pojechaliśmy do Holandii. Ten człowiek nie bardzo kojarzył moją osobę z wystąpieniami telewizyjnymi i radiowymi o podziemnej „Solidarności” w Polsce. Sądzę, że gdyby wtedy wiedział, z kim ma do czynienia, to by mi tego auta nie zaoferował. Miałem szczęście, że sprawy krajowe mało interesowały Polaków w Szwecji.

Po przybyciu na miejsce Sven rzucił okiem na auto i stwierdził, że jest idealne do naszych celów. Akumulator był wyładowany, ale jakoś je uruchomiliśmy. Sven dokładnie samochód pooglądał i powiedział – bierzemy. Nie zastanawiałem się długo. Zapytałem właściciela, ile chce. Usłyszałem, że 50 tys. koron i to jest minimum, ponieważ auto ma silnik w bardzo dobrym stanie. Ja miałem tylko 30 tys. franków, co stanowiło równowartość mniej więcej 30 tys. koron. Po wielkim targowaniu stanęło na tych 30 tys. koron, ale od razu na rękę. Zapłaciłem i wróciłem zakupionym mercedesem do Malmö. Po drodze wyklócałem się z celnikami i policją, bo samochód nie miał prawa poruszać się po drogach – nie miał żadnych szwedzkich papierów poza dowodem rejestracyjnym.

Schówek na maszyny w podwójnej ścianie auta

Zaczął się przystosowywanie do szmuglu zakupionego mercedesa, który został zarejestrowany na Marka Tarkę. Był kwiecień 1982 roku. Najpierw auto miało przegląd techniczny, po czym Piotr Adamow doprowadził je do porządku. Mirek dał pieniądze na nowe gumy. Wreszcie zaczęliśmy przerabiać wewnątrz. Podwójną ścianę robiliśmy we trzech: ja, Tarka i Piotr.

Na dachu szoferki był zamontowany agregat dmuchający zimne powietrze do wnętrza paki, gdzie wchodziła druga część tego agregatu. To był obłęd zupełny. Ta część agregatu miała 47 cm długości, a podwójna ściana powinna dać schówek o szerokości 45 cm, bo tak szeroki był offset. Musieliśmy więc zrobić tę ścianę tak, żeby dwa centymetry agregatu zza niej wystawało.

Schówek był duży, na wysokość prawie dwóch metrów. Wchodziło do niego 6–8 maszyn plus inne rzeczy. Ale był problem z załadunkiem. Auto było za stare, żeby część tej dobudowanej ściany się otwierała. Trzeba było wejść za tę ścianę i ułożyć tam rzeczy do szmuglu, jedne na drugich. Nie było to proste ani łatwe, jedna z najgorszych czynności do wykonania.

Układaliśmy ponad tonę ładunku na jednej dziesiątej części auta, co wymagało przebudowy jego zawieszenia, żeby się po drodze samochód nie rozkraczył. Na koniec maja 1982 roku auto było gotowe.

Sven wykonał próbną jazdę na pusto, czyli bez żadnego ładunku. Za dorobioną ścianę napchaliśmy styropianu. Postarzyliśmy go odpowiednio, tak że nawet gdyby bezpieka czy straż graniczna skrytkę otworzyły, mogło to wyglądać naturalnie.

Wznawiamy przerzut sprzętu drukarskiego do kraju

Pierwszy ładunek sprzętu ukryty w schowku za podwójną ścianą naszego samochodu pojechał do Polski w czerwcu 1982 roku. Było to pięć powielaczy M4, bo chcieliśmy zacząć od maszyn małych, dużo farby drukarskiej, były też książki. Skrytka nie była do końca wypełniona. Oprócz tego Sven zdobył i załadował na auto pomoc humanitarną, z którą formalnie jechał.

Nasze auto przeszło przez kontrolę graniczną bez najmniejszych trudności. Właściwie jedyną metodą wykrycia ukrytego w nim schowka było zmierzenie auta od wewnątrz i na zewnątrz.

Wymyśliłem, że kolejnymi transportami trzeba wysyłać pakiety. Składały się na nie z reguły 2 offsety, 6 powielaczy, zszywki, zszywacze, farba drukarska, książki, sita, radionadajniki, radiotelefony. Cały ten sprzęt był przeznaczony na obsługę jednego regionu.

Zapakowanie go też było sztuką. Pamiętam z książek o II wojnie światowej, że ludzie, którzy przygotowywali słynne angielskie zrzuty dla Armii Krajowej w Polsce, pakowali tzw. gary – to była taka rura – tak, że nie zostawiali nawet jednego wolnego centymetra. Specjalistą od tego był u mnie Marek Tarka. On rzeczywiście dokonywał cudów. Wchodził za tę podwójną ścianę w aucie i układał paczka po paczce, od podłogi do sufitu. Kiedy już wszystko było ułożone, blokowaliśmy tę podwójną ścianę w specjalny sposób. Wtedy należało napakować na auto jeszcze dużo innego dobra, o które z reguły martwił się Sven. Była to przykrywająca wszystko pomoc humanitarna, której potrzebowaliśmy bardzo dużo, bo paka auta była naprawdę wielka.

Chojecki nie starał się mną rządzić

W lipcu 1982 roku decyzją podziemnej TTK „Solidarności” zostało formalnie powołane Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za Granicą z siedzibą w Brukseli. Najpierw mieściło się w pomieszczeniu udostępnionym przez centralę chrześcijańskich związków zawodowych w Belgii, a od grudnia 1982 roku – w należącej do tej centrali całej kamienicy przy Avenue de la Joyeuse Entrée 9 w Brukseli.

Dzięki tej pomocy z końcem 1982 roku Biuro zorganizowało się ostatecznie i zaczęło normalnie funkcjonować. Brałem udział w jego spotkaniach. Chojecki pełnił w nim funkcję koordynatora pomocy finansowej i technicznej dla „Solidarności” w kraju, a ja tę pomoc współorganizowałem. Ustalaliśmy tam wszystko na miesiąc do przodu.

Moja praca z Mirkiem układała się wspaniale. Formalnie byłem jego współpracownikiem od połowy 1982 roku. Mirek nie stawiał mi żadnych

warunków, nie starał się rządzić, tylko raczej dopasowywać się w miarę naszych możliwości finansowych do tego, co ja robiłem.

W brukselskim Biurze „Solidarności” trzy osoby były ważne: Jurek Milewski, szef biura, Henio Jagiełło, księgowy, i Joasia Pilarska, rzecznik prasowy. Nie wszyscy we wszystko byli wtajemniczeni. Pilarska na przykład nie uczestniczyła nigdy w naszych naradach. Aby omawiać szmugiel sprzętu drukarskiego do Polski, szliśmy za każdym razem do innej restauracji, uważając, czy nikt nas nie obserwuje, czy ktoś się za nami wlecze.

Jak wyglądała nasza praca na co dzień? Tak jak dotychczas, raz w miesiącu miałem spotkanie z Mirkiem w Paryżu, gdzie rozmawialiśmy również z Giedroyciem. Co jakiś czas wyjeżdżaliśmy razem do Londynu, żeby poinformować rząd londyński o tym, co robimy.

Legalnie – łóżka szpitalne, a nielegalnie – powielacze

Sven zaczął być znany z tego, że często jeździ z pomocą charytatywną do Polski. Szło mu to dość łatwo. Drugi, już duży transport zawiózł do Polski na jesieni 1982 roku. Wtedy zapakowaliśmy nasze auto jak należy.

Nasz mercedes jeździł też do Polski bez szmugłu. Wówczas do skrytki za podwójną ścianę pakowaliśmy styropian.

Jako pomoc humanitarną zdobywaliśmy u Szwedów łóżka szpitalne, których w Polsce brakowało. To był priorytet, a oprócz tego lekarstwa. Sven dostawał wizę z ambasady polskiej w Sztokholmie czy z konsulatu polskiego w Malmö, i jeszcze mu za te transporty bardzo dziękowano. Pakowaliśmy tych łóżek do naszego auta, pamiętam, około trzydziestu, jedno na drugie, od podłogi do sufitu. Z tym wszystkim Sven wjeżdżał do Polski prawie niekontrolowany. To był nasz psychologiczny numer, z którego jesteśmy dumni do dziś. Polscy celnicy otwierali auto i widzieli wyłącznie łóżka. Kontrola kończyła się na tym, że Sven zostawiał im jeszcze całe opakowanie zagranicznych papierosów, w którym było dziesięć pojedynczych paczek, do tego parę kilogramów pomarańczy albo butelkę whisky, i jechał spokojnie dalej. Gdy dojeżdżał do Warszawy, bo najczęściej tam jeździł, zaczynała się następna akcja: samochód należało rozładować tak, żeby nie podpaść milicji lub bezpiece.

Rozładunek w Polsce organizuje „grupa Jacka”

W latach 1982–1983 zebrało się przy Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarności” Regionu Mazowsze kilku odważnych ludzi skupionych wokół Wojciecha Fabińskiego. Dziś to jeden z największych deweloperów w Polsce. Sven przywiózł od niego list, ja natychmiast mu odpisałem, że biorę ich pod opiekę, co oznaczało, że biorę ich na miesięczną pensję. Dałem im też pieniądze na jakiegoś przechodzonego żuka, żeby mieli własny transport. Nazwali się sami Grupami Oporu Solidarni. Ci ludzie zorganizowali w kraju meliny na szmuglowany sprzęt. Ustalali ze Svenem, co, gdzie i jak będą rozładowywać.

Wyposażyłem ich też w radiotelefony i pistolety gazowe, tak na wszelki wypadek. Ci chłopcy byli bardzo z tego zadowoleni. Na całe szczęście nigdy nie byli zmuszeni do użycia broni. Współpracowałem z nimi aż do 1989 roku, nazywając ich „grupą Jacka”, choć Fabiński miał pseudonim „Janusz”.

Opowiadali mi, że wtedy kontrole drogowe były częste. Oni w żuku, na którego dałem pieniądze, obniżyli podłogę tak, że jak wpakowali do niego offset albo powielacz, to go prawie nie było widać. A co ładowali na wierzch? Obsrane skrzynki kurze i indycze. Sypały się te skrzynki z żuka, jak ich drogówka zatrzymywała do kontroli. Po zdjęciu z góry dwóch skrzynek milicjant zwykle kłął jak szewc: k..., jak ja śmierdę, spieprzajcie! I chłopcy jechali dalej.

Część sprzętu gdzieś w Polsce wsiąkała

Pierwszy miałem specjalnie przebudowane auto, które w latach 1982–1985 ze szmugłem dla solidarnościowego podziemia ze Szwecji regularnie jeździło po całej Polsce. Oficjalnie były to transporty z pomocą charytatywną.

Zakupiony przez nas mercedes okazał się wielkim sukcesem, dlatego że dostarczałem nim sprzęt drukarski pod wskazany adres, jak piekarz świeże bułeczki. Regionalna Komisja Wykonawcza „Solidarności” Regionu Mazowsze przy pomocy „grupy Jacka” odbierała ten sprzęt, a potem przekazywała do innych regionów. Chociaż dzisiaj dowiaduję się, że jakaś część tych maszyn gdzieś wsiąkała po drodze.

Transport dwóch offsetów i sześciu powielaczy przesłałem do Krakowa w lipcu 1983 roku, na miesiąc przed wpadką Władka Hardka, szefa podziemnej RKW „Solidarności” Małopolska. Mam ten cały spis. Hardek przysłał list z podziękowaniami dla Mirka Chojeckiego, bo był przekonany, że to mu Mirek posłał. Dla mnie nie grało roli, kto posłał, ale czy posłane rzeczy dotarły na miejsce.

Mam ten list od Hardka o przyjęciu transportu w Krakowie przywiezionego z Warszawy przez chłopców z „grupy Jacka”. Dziś wiem, że żadne podziemne pismo krakowskie nie dostało z tego transportu ani jednej maszyny. Potwierdzają to ludzie blisko wtedy współpracujący z Hardkiem, który się w tym czasie ukrywał, np. Wojciech Marchewczyk, ówczesny redaktor krakowskiego podziemnego „Hutnika”. Hardek mówił mi, że sprzęt odebrał i wkrótce go dostarczy.

Posłane przeze mnie maszyny zostały wyładowane w Krakowie pod adresem, który dostaliśmy. To był podobno adres jakiejś ciotki Hardka – na niej ślad się urywa. Męczy mnie pytanie: gdzie się to podziało?

To pytanie dzisiaj trzeba by też zadać Zbyszkowi Bujakowi czy Konradowi Bielińskiemu. Co się stało ze 150 maszynami, które przeszmygnowałem do Warszawy? Kto te maszyny dostał? Region „Solidarności” Mazowsze nie przedstawił nikomu żadnego rozliczenia sprzętu otrzymanego od nas. Inne ośrodki to robiły. Jeśli przykładowo wysyłano offset adresowany dla wydawnictwa Krąg, to Krąg po otrzymaniu go potwierdzał odbiór.

Krajowy czarny rynek maszyn drukarskich dla podziemia

Rozmawiałem niedawno ze Zbyszkiem Bujakiem. Mówił mi, że rozdział sprzętu to była bardzo kłębna sprawa, bo w kolejce po offset czy powielacz ustawiali się ludzie, którzy nawet na tzw. ramce nie wydrukowali ani jednej ulotki. Ale to w dalszym ciągu nie wyjaśnia, kto te maszyny faktycznie dostawał.

Powiedział mi wspomniany już Wojciech Marchewczyk, że w 1987 roku, po wpadce drukarni „Hutnika”, wziął 600 dolarów pożyczki od Stanisława Handzlika, wtedy członka Komisji Robotniczej Hutników NSZZ „Solidarność” w Hucie im. Lenina, na zakup offsetu dla „Hutnika”. I taki używany offset

został przez niego zakupiony, oczywiście nielegalnie, ale trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy pochodził on z zagranicznego szmuglu.

Rozmawiałem też z drukarzem „Hutnika”, Leszkiem Jaranowskim, który twierdzi, że w 1988 roku po strajkach majowych w Hucie pojechał z kolegami do Gdańska na Zaspę, gdzie zakupili dwa offsety Rotograf za 1100 i 1300 dolarów. Maszyny były używane, a na miejscu doprowadzali je do porządku dwaj mechanicy, którzy je sprzedawali. Tych maszyn było około piętnastu. Cały wolno stojący trzypiętrowy dom, wyglądający na przeznaczony na biznes, był nimi zastawiony.

Słuchając takich opowieści, ciągle nie dopuszczam myśli, że przeszmuglowanymi przeze mnie do Polski maszynami drukarskimi niektórzy ludzie w kraju mogli handlować, zamiast przekazywać je w dobre ręce nieodpłatnie, bo płaciła za to przecież „Solidarność” pieniędzmi otrzymanymi ze związkowej pomocy zagranicznej. Handel taki mógł się jednak zacząć gdzieś koło 1985 roku. Wyobrażam sobie, że jacyś ludzie dostali powielacz, robili na tym powielaczu bibułę przez miesiąc, dwa, trzy. Później gazetka przestawała się ukazywać, a powielacz lądował na czarnym rynku. Ale też bezpieka przez swoich podstawionych ludzi mogła sprzedawać podziemiemu maszyny różnego typu. Oni przecież szli coraz bardziej w biznes.

Mimo to nie mogło się zdarzyć, aby wysłane przeze mnie offsety zostały sprzedane „Hutnikowi” w 1988 roku. My nigdy nie szmuglowaliśmy do Polski offsetów Rotograf. Ja w ogóle nie znałem takiej marki.

Częste naprawy i garaż w stodole

Mieliśmy duży kłopot z eksploatacją naszego mercedesa. Żeby prowadzić auto ciężarowe, trzeba było mieć odpowiednie prawo jazdy, a ja go nie miałem. W Malmö było też bardzo ciężko z jego parkowaniem.

W Szwecji na ulicy w ogóle nie ma miejsc parkingowych dla ciężarówek. Tak więc znalezienie miejsca, gdzie by ta ciężarówka mogła stać, nie było proste. Nie mieliśmy pieniędzy na wynajęcie garażu, dlatego postanowiliśmy garażować auto w stodole w odległości około 10 km od Malmö, u zwykłego chłopca na wsi. Ta stodoła też musiała spełniać pewne warunki: nie mógł całkiem zamarznąć silnik, nie mogły zginąć opony, przecież życie jest

życiem. Za to suto temu właścicielowi gospodarstwa płaciliśmy, bo on się domyślał, że tu chodzi o jakąś lewiznę.

Ten chłop na pewno się czegoś domyślał – przecież przyjeżdżali na wieś cudzoziemcy, co dla Szweda już jest podejrzane, po czym wsiadał do ciężarówki szwedzki kierowca, zabierał auto, wracał po paru dniach i na długo znowu je zostawiał. Nie było to normalne w Szwecji. Kosztowało nas to jakieś 3 tys. koron miesięcznie.

Stare auto, niestety, często się psuło. W jego naprawy pakowaliśmy dziesiątki tysięcy koron. No bo auto, które mogło zabierać 3–4 tony maksimum – tak zostało skonstruowane – zabierało 5–6 ton. Po drugie, na jego małym skrawku, tam gdzie był schowek za podwójną ścianą, nacisk osiągał ponad tonę. Poza tym samochód nie mógł być za bardzo obciążony z przodu, bo wtedy tył poszedłby do góry, co jest podejrzane. Musieliśmy z tego powodu przebudować zawieszenie. Wymieniliśmy tylne resory, ale mimo to awarie były częste.

Miałem naśladowców

Nigdy nie robiłem tajemnicy z mojego wynalazku, żeby do szmuglu maszyn drukarskich do kraju przystosować specjalne auto. Skorzystał z tego Mirek Chojecki, który poszedł do Księcia, dostał od niego 60 tys. franków, za co w 1983 roku kupił odpowiednią ciężarówkę, w której zrobili podwójną ścianę według moich wskazówek. Kierowcą u Mirka był Jacky Challot, taki nawiedzony Francuz. On jeździł przez Danię. Był tą ciężarówką w Polsce siedem razy, zanim wpadł w Świnoujściu w 1984 roku. Przesiedział cztery miesiące w polskim więzieniu, aż francuskie związki zawodowe go wykupiły. Były piosenki na jego temat, stał się we Francji wielkim bohaterem. W jego obronie występowało wielu sławnych Francuzów, m.in. aktorzy Simone Signoret i Gerard Depardieu.

Specjalne auto do szmuglu maszyn drukarskich zorganizował jeszcze Ryszard Szulkin, działający w Biurze „Solidarności” w Sztokholmie. On jest w tej chwili wielkim profesorem socjologii na Uniwersytecie Sztokholmskim, a wtedy miał kontakty ze szwedzkimi trockistami. Zrobili to samo co ja, tylko – po pierwsze – ich auto było za małe, a po drugie, po partacku przerobione i z tego powodu wpadli z hukiem w Świnoujściu już za drugim razem

w 1983 roku. Tym autem jechali do Polski dwaj Szwedzi, Göran Jacobsson i Niklas Holm, którzy po kilku tygodniach zostali zwolnieni z PRL-owskiego aresztu za kaucją.

Na temat wpadki Lennarta Järna, która wydarzyła się trzy lata później, nikt nie napisał piosenki. Szwedzkie związki zawodowe nie dały ani korony na jego wykupienie z polskiego więzienia, a ze mnie zrobiły w Szwecji małego bandytę i terrorystę.

Dziwna wpadka-niewpadka Svena

Muszę się przyznać lojalnie, że w 1983 roku zaliczył wpadkę również mój kierowca Sven Järn, o czym dowiedziałem się po wielu, wielu latach, w 2012 roku. Otóż w październiku 1983 roku bezpieka przyczepiła się do niego na przejściu granicznym w Świnoujściu. Chodziło im o paczkę, którą miał na wierzchu w aucie, a którą dał mu w Sztokholmie pewien człowiek, żeby zawiózł ją do Polski. Był to – jak teraz wiem – etatowy pracownik wywiadu PRL. Celnicy, którzy Svena kontrolowali na granicy, dokładnie wiedzieli, jaką paczkę wiezie w swoim samochodzie, a były w niej zakazane w Polsce książki. Zaczęły się przesłuchania, co i gdzie robi. Przesłuchiwali go w Gdańsku i w Warszawie. Razem z nim była taka starsza pani, przedstawicielka Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Od niej odczepili się szybko, bo zobaczyli, że nic nie wie. Svena zaczęli straszyć, co mu grozi, a nie wiedzieli, że za podwójną ścianą w jego mercedesie jest kolejny transport maszyn drukarskich do rozładunku w Warszawie. On zgodził się na wszystko, co mu zaproponowali. Podpisał zobowiązanie do współpracy, bo zobaczył, że im o to tylko chodziło.

Sven dostał od nich zadanie: zbliżyć się do Biura „Solidarności” w Sztokholmie. Powiedział wtedy, że potrzebuje na to trochę czasu. Oni się zgodzili. A tymczasem Sven, zgodnie z planem, wyładował cały transport maszyn, który przywiózł. „Grupa Jacka” wszystko od niego odebrała. Sven wrócił do Szwecji, ale nic mi o całym zdarzeniu nie powiedział. Ta jego „współpraca” z polską bezpieką trwała do maja 1986 roku, kiedy został wyrejestrowany.

Dopiero teraz w 2012 roku dowiedziałem się o wszystkim, kiedy Janusz Ramotowski wyciągnął z IPN-u papiery o tej wpadce. Zapytałem od razu Sve-

na: czemuś mi nic o tym nie powiedział? A on na to: bobyś mi nie pozwolił jeździć z maszynami do Polski. Pewnie, żebyśmy nie pozwolili.

Dołącza do nas brat Svena – Lennart Järn

Ze szmugłem z Malmö jeździł też brat Svena – Lennart, mieszkający w Helsingborgu, 50 km od Malmö, bardzo rozważny człowiek. Nigdy nie szarżował.

Zdarzyło mu się, kiedy jechał ze szmugłem, że w naszym aucie pękła półośka, gdzieś koło Sosnowca. Przyjechała milicja. Lennart wytłumaczył im, że to pomoc charytatywna dla Polaków – nie wiem w jakim języku, bo przecież polskiego nie znał. Auto zostało odholowane na milicyjny parking.

Lennart zatrzymał się w hotelu i zadzwonił bez namysłu do mnie. Ja uspokajałem go, że wszystko załatwimy, że mu pomożemy. A on sobie zażyczył przyjazdu Svena z tą półośką. Nie było prosto ją kupić, ale jakoś wszystko się udało. W końcu, trzęsąc się ze strachu, Sven pojechał z nową półośką do Polski. Wtedy okazało się, że Lennart załatwił to tak, jak od początku powinien – mechanicy z milicyjnego warsztatu zespawali półośkę, Lennart wsiadł spokojnie do auta i pojechał do Warszawy. Po wyładowaniu wszystkiego wrócił do Szwecji. Jednak Sven ścigał go w tym czasie po Polsce z dokupioną w Szwecji półośką. I takie rzeczy też się zdarzały.

Nasze auto, jak mówiłem, zostało kupione za 30 tys. koron, ale nie przesadzę, jak powiem, że dwa razy tyle kosztowały jego naprawy. A każda naprawa to był przestój. Tego mercedesa używaliśmy do roku 1985, aż się rozleciał na kawałki i nie dało się nim już dłużej jeździć.

Roneo-vickersy od firmy Alcatel Berg-Bolinder za pół miliona koron

Równie ciężkie było zdobywanie sprzętu, żeby mieć to auto czym załadować. Są ludzie, którzy uważają, że wysyłanie używanego sprzętu drukarskiego do Polski było błędem, że należało wysyłać sprzęt fabrycznie nowy. Ale ci ludzie nie zastanowili się, że mieliśmy miesięcznie na wszystkie wydatki 150 tys. franków francuskich, a nowy offset kosztował 35 tys.

Poza tym tych offsetów było coraz mniej na rynku. Firma Roneo-Vickers przestawała je produkować, bo Zachód funkcjonuje na tej zasadzie – i ci ludzie też o tym nigdy nie pomyśleli – że na produkowany towar musi być popyt. Jeżeli były zamówienia, to uruchamiali taśmę i produkowali, a gdy ich nie było, to przestawali. Już zaczynała się nowa era poligrafii – kserokopiarki, z biegiem czasu coraz lepsze, coraz mniejsze, coraz sprawniejsze. A ja nie mogłem wysyłać do kraju kserokopiarek, bo one na początku były bardzo drogie. Dobra duża kopiarka kosztowała 80–90 tys. koron, a do niej jeszcze był potrzebny specjalny papier. To odpadało zupełnie.

Na jesieni 1983 r. udało nam się kupić wszystkie roneo-vickersy, które miała firma Alcatel Berg-Bolinder w całej Europie. Kupiliśmy za 250 tys. koron około 11 offsetów i 30 powielaczy, części zamienne do nich i farbę drukarską. Znowu powstał problem, gdzie to wszystko przechować.

Zakupione maszyny dostarczone do Malmö zalewał deszcz, ponieważ zostały wyładowane i złożone na placu pod gołym niebem. Alcatel Berg-Bolinder w ogóle się nie zainteresował, jak my to zabierzemy. Ściągnąłem zaufanych ludzi z Lund, z tamtejszego Komitetu „Solidarności”, żeby pomogli mi to pozbierać. Miałem do dyspozycji tylko swoje auto z przyczepką. Jakos przewieźliśmy to wszystko do magazynu. Ale nie udało się już zamknąć drzwi. Musiałem wykorzystać prywatne piwnice i garaże ludzi, do których miałem zaufanie. Ciągłe nie dysponowałem prawdziwym, dużym magazynem, gdzie mógłbym zakupiony sprzęt trzymać.

Po dużym zakupie u Berg-Bolindera ktoś rzucił pomysł, żeby zamówić większą liczbę offsetów u Roneo-Vickersa. Tak się też stało. Złożyliśmy zamówienie na 50 maszyn. Było to największe zamówienie w historii Biura „Solidarności” w Brukseli. Z tego zamówienia 20 offsetów przesłaliśmy Mirkowi Chojeckiemu do Paryża, 30 zabrałem ja do Malmö.

Nie sposób dogodzić wszystkim

Pojawiły się nieprzyjemne dla mnie opinie, że nie wiemy, co robimy, że Kaleta zwarłował, bo posyła do kraju offsety, których nikt nie zna, które są większe i cięższe. Do dziś mnie to irytuje. Brało się to stąd, że każdy region podziemnej „Solidarności” miał swoich domorosłych ekspertów. Oni

przyjeżdżali na Zachód do swoich kolegów intelektualistów i potem pisali raporty, że nowe offsety można kupić wszędzie, a Kaleta ich nie kupuje, bo woli kupować używane, nie wiadomo dlaczego.

W tym czasie przerzuciłem do kraju już około setki maszyn. Na część tych transportów są potwierdzenia złożone przeze mnie w archiwum Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie. Są również listy pisane do mnie przez Zbigniewa Bujaka, Wiktora Kulerskiego i innych, są listy z zamówieniami. To nie było tak, jak sobie niektórzy ludzie siedzący na sofie w Warszawie wyobrażali.

Mam na myśli dawne środowisko KOR-owskie: pana Michnika, pana Kuronia, pana Romaszewskiego i całą resztę. To byli wielcy teoretycy rewolucji. Oni, za przeproszeniem, na na temat sprzętu drukarskiego niewiele wiedzieli. Ale dawali dobre rady, na przykład żeby nie kupować maszyn używanych, bo te maszyny bardzo szybko się psują, a wydane na nie pieniądze są stracone. Pisałem do nich, że nowy offset kosztuje 40 tys. koron, a używany dziesięć razy mniej. Odpowiedź na tę moją korespondencję nie przyszła do mnie nigdy. Oni wszystko wiedzieli lepiej, ale nic konkretnego z tego nie wynikało. Nic. Ich wiedza opierała się na plotkach, których cała masa krążyła po Warszawie, a które esbecja puszczała w miasto dla dezinformacji. Do dziś mam do nich pretensje, że zamiast nam pomagać, to kopali pod nami dołki.

Byli też ludzie na Zachodzie nieprzychylni brukselskiemu Biuru „Solidarności”, Mirkowi i mnie. Nawet jak spełnialiśmy ich życzenia, zawsze mieli nam coś do zarzucenia.

Sprytna akcja serwisowa

Któregoś dnia Mirek dostał telefon – to był rok 1983 – że zepsuł się składopis Regionu Mazowsze. Bez tego składopisu nie było szans, żeby wydrukować „Tygodnik Mazowsze”. Składopis kosztował wtedy bardzo dużo pieniędzy, chyba ze 12 tys. dolarów. Mirek zadzwonił tu i tam. Okazało się, że firma IBM w Sztokholmie ma taki składopis. Mirek przywiózł do Sztokholmu te 12 tys. dolarów na jego zakup, co wywróciło cały budżet Biura „Solidarności” w Brukseli. Szwedzi dociekali, dla kogo ma być ten składopis, więc

kupiłem go od nich na swoje nazwisko, jako Marian Kaleta. Oświadczyłem, że zakładałem własne wydawnictwo książkowe.

Tak się szczęśliwie złożyło, że był przygotowywany kolejny transport charytatywny Svena do Polski. Wpakowaliśmy ten składopis za podwójną ścianę naszego auta. Wpadłem wtedy na pomysł, żeby zepsuty składopis Regionu Mazowsze Sven zabrał w drodze powrotnej z Warszawy do Szwecji, a my go naprawimy i wyślemy z powrotem.

Piotr Jegliński, przedstawiciel „Spotkań” w Paryżu, robił to samo co ja, czyli starał się za wszelką cenę pomóc swoim kolegom i innym ludziom, którzy się do niego zgłaszali. Dostałem od niego sygnał, że musimy się spotkać w Paryżu. Pojechałem natychmiast. Okazało się, że podziemne pismo „Niepodległość”, które w pewnym momencie wziął pod opiekę Genek Smolar, chce wynająć jacht na szmugiel do kraju. Ja miałem przygotować dla nich sprzęt drukarski, którego zakup miał pokryć Jegliński.

Zaczęło się zwykle bieganie. Jacht przyplłynął we wrześniu 1984 roku do Simrishamn odległego o jakieś 85 km od Malmö. Cumował tam bardzo krótko, dosłownie 3–4 godziny. Przyjechał Jegliński ze swoimi ludźmi. Jako moje wynagrodzenie za pomoc w organizowaniu wysyłki zażyczyłem sobie, żeby dostarczyć do Warszawy składopis przywieziony stamtąd przez Svena, teraz już u nas naprawiony. Załadowaliśmy na jacht ten naprawiony składopis. Ale mieliśmy pecha, bo na trasie Gdańsk–Warszawa część transportu „Niepodległości” została zatrzymana przez milicję. W ten sposób straciliśmy składopis odstawiony do kraju po naprawie w Szwecji. A szkoda, bo to była taka sprytna akcja serwisowa.

Darmowi kurierzy z tajną pocztą

W tym czasie, choć nie powinno tak być, wykorzystywaliśmy Svena nie tylko do przewozu poligraficznej kontrabandy, ale też do przewozu poczty dla Bujaka i innych ludzi podziemia solidarnościowego. Takich rzeczy nie wolno robić. Nie należało mieszać szmuglu maszyn drukarskich z przesyłaniem poczty. Ale nie było innego wyjścia – nie mieliśmy pieniędzy na wysyłanie specjalnych kurierów z tajną pocztą. Sprawa była banalnie prosta: mało kto był gotów narażać się za darmo. Poza tym powinni to być zaufani ludzie.

Znalazło się jednak parę takich osób, np. Joanna Majerowa w Sztokholmie i jej mąż Piotr Majer, który zmarł w 2006 roku. Kurierem była Joanna Beto z Malmö, dobra znajoma mojej żony. Jeździła do Grzesia Boguty, a on naszą pocztę dystrybuował dalej. Była też Maja Lageröf z Kopenhagi i parę innych osób, cztery czy pięć. Maja mieszka teraz w Warszawie, gdzie prowadzi szkołę języka angielskiego.

Przewożenie poczty do kraju było dość proste. Udało mi się kupić jednorazowe termosy z plastiku, idealne do tego celu, bo niezwracające niczyjej uwagi. Te termosy były rozkręcane na dwie połowy, ale tego połączenia nie było za bardzo widać. Kupiłem tych termosów chyba z pięćdziesiąt. Swoje listy do ludzi z kraju zawsze fotografowałem i zmniejszałem do rozmiarów 5×5 cm. Fotografuję przyklejałem do obudowy termosu od środka w nieprzemakalnej folii. Wtedy go zakręcałem na kleju tak, że już nigdy go nikt nie rozkleił. Trzeba było go rozbić, co oznaczało jego zniszczenie. Na miejscu w Warszawie termos rozbijano. Gdyby jednak rozbił go ktoś niewtajemniczony, to płyn w środku termosu niszczył pocztę. Używałem też rozmaitych mniejszych walizek i toreb, do których pocztę wszywałem.

Zamierzałem zminiaturyzować przesyłki, bo były takie możliwości – klatki filmowe 4×4 mm. Sprawa upadła, ponieważ do tego potrzebna była fotograficzna obróbka w kraju, żeby te miniaturowe klatki filmowe fachowo powiększać.

Jurek Milewski przysyłał swoją pocztę z Brukseli na dyskietkach albo nagrywał ją na kasetę magnetofonową. Nie bardzo miałem ochotę na jakieś złożone zabiegi, bo ludzie przyjeżdżający z Polski tłumaczyli, że nie ma sensu komplikować sprawy.

Kontakt radiowy został zmarnowany

Cały czas przypominałem ludziom w kraju, że wysłane przez nas do Polski odbiorniki krótkofalowe powinny być nastawione na nasłuch, a wtedy będą przysyłać wiadomości od siebie tą drogą. To byłoby najprostsze, bo przecież alfabet Morse'a służący do takiej komunikacji można zaszyfrować. W 1983 roku korzystałem już z największej anteny krótkofalowej BIM, jaką może mieć nadajnik-odbiornik krótkofalowy. Ale jakoś odzewu z kraju nie było.

Taka antena ma z dziesięć metrów rozpiętości i musi się kręcić w koło. Zamontowaliśmy ją na dachu domu, w którym wynajmowaliśmy lokal na nasze potrzeby. Mieliśmy tam silnik, który tą anteną kręcił. To było konieczne, ponieważ w Malmö są okropne wiatry.

Kilka lat później, w 1986 czy 1987 roku, przyjechał z Warszawy krótkofalowiec Andrzej. Pokazałem mu cały sprzęt, którym dysponowałem. On był zszokowany, jak wspomniałem aparaty dla podziemnej „Solidarności” kupiliśmy. Tłumaczył, że nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za jej uruchomienie i użycie, bo „czerwony” podciągnąłby to pod szpiegostwo. Andrzej włączył tę radiostację i kazał mi przyjść za pół godziny. Usłyszałem takie słabe sygnały pi, pi, pi, pi, pi, pi. „Słyszysz? – mówi do mnie. – To polscy krótkofalowcy trenują”.

A mogliśmy jeszcze większe kuku zrobić „czerwonemu”, jeśli chodzi o łączność. W Ameryce ktoś skonstruował taki amatorski zestaw – wyczytaliśmy to w „Newsweeku” – za pomocą którego można było wysyłać obrazy krótkofalówką. Wieszano się na ścianie kartkę z tekstem, filmowało kamerą wideo, a później ten obraz zamieniany był na fale radiowe. Taki list można było skomasować do jednej sekundy transmisji radiowej do odbiorcy, który w kraju ten sygnał radiowy odbierał, a następnie za pomocą specjalnego aparatu przetwarzał na pierwotny tekst. To nie była żadna szpiegowska zabawa, żadne sztuczki CIA. Taka aparatura była dostępna na Zachodzie w zwykłym sklepie z elektroniką. Kupiłem ją od razu za zgodą Mirka.

Była jeszcze realna możliwość użycia przeze mnie tej aparatury w czasie solidarnościowych strajków w 1988 roku. Ale wtedy cały sprzęt elektroniczny, który miałem u siebie na składzie, wysłałem już do kraju, czyli krótkofalówki i wzmacniacze, a antenę ukradli mi z dachu złodzieje.

Celnicy szwedzcy gorsi od polskiej bezpieki

Trzeba wiedzieć, że 90 proc. sprzętu, który jechał do Polski w latach 1982–1985, było szmuglowane w transportach pomocy charytatywnej. Ta pomoc kurczyła się zastraszająco, zwłaszcza pochodząca ze Szwecji. O wiele lepiej było pod tym względem we Francji i we Włoszech, gdzie działała Nelka Norton. Włosi, Francuzi, Niemcy zawsze coś Polakom podawali. Ale

nie Szwedzi. Oni patrzyli nam na ręce bardziej niż polska bezpieka, żeby przypadkiem czegoś trefnego do transportu humanitarnego nie wepchnąć. Już nie mówiąc o szwedzkich związkach zawodowych, które publicznie dyskredytowały takie akcje.

Szwedzi nigdy nie pomagali nam w szmuglu sprzętu drukarskiego do Polski, a wręcz przeciwnie – byłem z tego powodu gnębiony. Wymagali ode mnie przestrzegania wszystkich przepisów, które u siebie mieli. Miałem wypełniać jakieś eksport-licencje, podawać w papierach, do kogo wysyłam transporty. To było po prostu komiczne. Przecież podziemnie solidarnościowe w kraju nie miało oficjalnych adresów, a maszyny drukarskie przekraczające nielegalnie granicę PRL nazywano w Polsce oficjalnie „sprzętem służącym do wzniecania niepokojów społecznych”. Szwedzi nie byli w stanie pojąć tego nigdy. Po pierwsze, musieliby naprawdę orientować się, co się w Polsce dzieje. Po drugie, Szwecja starała się być bardziej papieska niż sam papież. Nikt jednak w tym wolnym i demokratycznym kraju nie mógł mi zabronić tego, co robię, dopóki nie przekroczyć jakichś przepisów. Najbardziej się obawiałem wpadki na granicy szwedzkiej.

Któregoś razu zatrzymali mnie szwedzcy celnicy, bo miałem w aucie różne rzeczy przeznaczone do wysyłki do Polski. Poszedłem wtedy do urzędu celnego i chciałem się z nimi jakoś ułożyć. Zaproponowałem, że mogą być nawet obecni przy tym, jak będziemy ładować sprzęt za podwójną ścianę w naszym samochodzie, aby stwierdzić, że to nie jest żadne złodziejstwo – bo według szwedzkich przepisów taki przewóz przez granicę nie był zabroniony. Na nic się jednak nie zgodzili. Uważali, że wszystko ma być załatwione tak, jak Pan Bóg przykazał, czyli tak, jak tego wymaga szwedzka biurokracja. Szwedzi obawiali się tego naszego szmuglu, nie chcieli go mieć u siebie, chociaż nie mogli formalnie mi go zabronić. Ale nie chcieli iść na żadne ustępstwa. Któregoś dnia to się musiało skończyć źle. I tak się skończyło.

Lufa policyjnego pistoletu przy moim nosie

W czasie załadunku kolejnego transportu zostałem zatrzymany przez policję. Nasza ciężarówka stała na parkingu Ikei w Sztokholmie, skąd Sven lub Lennart wyjeżdżali z moim szmuglem do Polski. Zasada była taka, że

ładujemy naszego mercedesa zawsze gdzieś poza Malmö. Nigdy na miejscu. Sven znalazł właśnie takie ustronne miejsce.

Sytuacja była taka: stoi furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami, w środku znajduje się to, co ma być zabrane do Polski, a przy niej stoi mercedes, też z otwartymi drzwiami. W środku mercedesa siedzę ja za podwójną ścianą, a Marek Tarka podaje mi rzeczy z furgonetki, które upycham i ustawiam w schowku. Nagle wychodzę zza podwójnej ściany, bo coś tam musiałem podtrzymać, i widzę lufę policyjnego pistoletu przy swoim nosie. Okazało się, że przechodził obok nas jakiś staruch z psem i nie spodobało mu się to, co robimy. Zadzwoił na policję i ona natychmiast przyjechała. Policjant z odbezpieczonym pistoletem, bardziej chyba przestraszony ode mnie, zapytał, kim jestem i co robię.

Numer telefonu do szwedzkiej policji politycznej

Byłem jednak w tej szczęśliwej sytuacji, że mogłem podać numer tajnej policji w Malmö. Pod tym numerem oficer dyżurny potwierdzał, że człowiek dysponujący nim to Marian Kaleta, współpracownik zdelegalizowanej „Solidarności” w Polsce, a nie żaden złodziej i bandyta, nie należy do niego strzelać, tylko dać mu święty spokój.

Ten kontakt był ważny, ponieważ nigdy nie miałem przy sobie żadnych rachunków na zakupiony przeze mnie sprzęt. Oddawałem je do Biura „Solidarności” w Brukseli, żeby się rozliczyć. Jeśli cokolwiek kupiłem, to musiałem wysyłać rachunek do Henia Jagiełły. Dlatego jak miałem jakiś sprzęt drukarski w samochodzie, można mnie było natychmiast posądzić, że go gdzieś ukradłem. Zdarzyło mi się raz czy dwa, że mnie policja zatrzymała. Na szczęście uwierzyli mi, że to sprzęt dla „Solidarności” w Polsce.

W końcu się jednak wnerwiłem i poszedłem do tamtejszej tajnej policji SAPO w Malmö. Powiedziałem, że chcę rozmawiać z jakimś oficerem dyspozycyjnym. No i przyszedł taki pan, który wiedział, kim jestem i co robię. Powiedziałem mu: muszę od was dostać jakąś pomoc, bo na przykład kiedy jadę samochodem z różnymi rzeczami dla „Solidarności” i zatrzymuje mnie policja drogowa, to byłoby bardzo dobrze, gdybym się mógł na was powołać, mając od was numer telefonu do jakiegoś waszego oficera dyżurnego,

który potwierdzi, że Marian Kaleta to nie żaden złodziej. Przekonałem go, że musi mnie uwiarygodnić, bo gdy będę wiózł autem kilkanaście używanych maszyn drukarskich i zatrzyma mnie policja drogowa, nie mam szans, by w środku nocy się z tego wytłumaczyć, nie mając kwitu zakupu.

Policjant zadzwonił za parę dni, mówiąc, żebym przyszedł, i dał mi numer telefonu, o który go prosiłem. Ten numer zawsze miałem przy sobie i posłużyłem się nim wtedy na parkingu Ikei w Sztokholmie, co zadziałało. Policjanci zatelefonowali pod podany im numer, potem powiedzieli „dziękuję” i odjechali.

Choć wtedy policja szwedzka nas puściła, ale zbuntował się Sven, który kazał nam wszystko z mercedesa wyładować, bo on dalej nie pojedzie. Zapytał podejrzliwie, skąd on może wiedzieć, czy któryś z tych szwedzkich policjantów nie współpracuje z KGB.

Przez Borusewicza do Solidarności Walczącej

W 1983 roku w którąś niedzielę zadzwonił do mnie człowiek, który przedstawił się jako Adam od Bogdana Borusewicza. Zawyłem z radości, ponieważ bardzo zależało mi na bezpośrednim kontakcie z Borsukiem. Był on przecież członkiem podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności”. Rozumieliśmy się dość dobrze, bo nie był teoretykiem gderającym na sofie, opowiadającym bajki, ale praktykiem podziemia. Na takiej osobie bardzo mi zależało. Z Adamem spotkałem się zaraz. Był on pracownikiem na promie „Pomerania” i aż do wpadki w 1987 roku spisywał się bez zarzutu.

„Adam” to pseudonim Krzysztofa Szymańskiego, marynarza z Gdańska, bardzo tragicznej postaci polskiego podziemia. Pracował jako marynarz ładnych parę lat, przede wszystkim na statkach dalekomorskich. Pływał między innymi do Indii i stamtąd przywiózł sobie żonę z Madrasu. Nie wiem, skąd znał Borusewicza. Dzięki niemu skutecznie nawiązałem kontakt z Bogdanem po grudniu 1981 roku. Ten kontakt był wart dla mnie wszystkie pieniądze, zwłaszcza że mój kontakt z Bujakiem w Warszawie działał coraz gorzej. Po prostu Zbyszek przestał odpowiadać na listy, które do niego wysyłałem.

„Adam” był bardzo ostrożny i wzbudzał zaufanie. Był radykałem, który uważał, że i tak dojdzie do starcia siłowego podziemia z komuną i dlatego

trzeba się do tego przygotować. Nie podzielałem do końca jego poglądów, ale biblijne nadstawianie komunistom drugiego policzka uważałem za błąd „Solidarności”, który tylko rozzuchwała SB. „Adam”, gdy pływał na „Pomeranii”, raz spędził swój urlop u mnie w domu w Malmö. Zrobił między innymi sześć skrzynek do pierwszego transportu tirem w czerwcu 1986 roku. Nasz specjalista nauczył go podrabiać dokumenty, robić lewe pieczętki, wywoływać blachy offsetowe.

Po powrocie do domu zdał sprawozdanie Borusewiczowi, a równocześnie nawiązał kontakt z Andrzejem Kołodziejem, szefem Solidarności Walczącej w Gdańsku. Nie miałem żadnych uprzedzeń do SW, dlatego ten kontakt uważałem za bardzo wartościowy. Jednak SB uznała SW za organizację terrorystów. Jest faktem, że byli dużo lepiej zorganizowani niż „Solidarność”. Po wpadce Borusewicza w styczniu 1986 roku wszystkie moje kontakty w Gdańsku przeniosły się na SW.

Byłem podejrzewany o terroryzm i narkobiznes

Miałem się spotkać w Berlinie Zachodnim z Andrzejem Wirgą, przedstawicielem Solidarności Walczącej, oraz specjalnym kurierem z kraju od Kornela Morawieckiego. Termin spotkania, jego temat i to, co ja na to spotkanie przywiozę, ustalaliśmy z Wirgą przez telefon. Zabrałem ze sobą książeczkę wydaną po angielsku przez CIA, w której opisywano, jak należy prowadzić wojnę partyzancką, np. gdy Amerykę zaatakują komuniści. Było tam wszystko: jak robić maszyny drukarskie, jak samemu wykonać broń, jak skonstruować bombę i aparaty podsłuchowe. Wirdze bardzo zależało na tej książce. Sfotografowałem ją. To były dwa filmy 36-klatkowe, czyli 72 klatki – pocięte i odpowiednio zapakowane.

W ustalonym dniu siedziałem spokojnie na lotnisku do samolotu Kopenhaga–Berlin, gdy ktoś nagle bierze mnie pod rękę i wrzuca do toalety. Nikt mi się nie przedstawił. Domyśliłem się, że to duńska tajna policja. Zabrali mi natychmiast paszport i bilet na samolot. To wszystko trwało sekundy. Przekopali moją torbę podróżną, ale niczego podejrzanego nie znaleźli. Trafili jednak na filmy. Tu konsternacja. Pytają, co to jest. Ja odpowiadam, że sfilmowana książka. Oni byli całkowicie zaskoczeni, bo nie znaleźli u mnie

nic zabronionego. Zrobili jeszcze jedno przesłuchanie. Dyskutowali, jeden z nich rozmawiał przez telefon: puścić go czy nie puścić? Wreszcie po dwudziestu pięciu minutach oddali mi film, samolot zaczął, wpakowali mnie do niego i poleciałem do Berlina.

Przypomniałem sobie wtedy mojego znajomego – Jasia. Nie powiem na jego temat nic więcej, oprócz tego, że żyje w dalszym ciągu na Zachodzie. W tym czasie chciałem skonstruować taką specjalną walizkę do przewozu do kraju podziemnej poczty. Na temat tej walizki przegadaliśmy z Jasiem przez telefon wiele godzin. Duńska policja, która Jasia podsłuchiwała, doszła do wniosku, że chodzi o walizkę do przemytu narkotyków. Kiedy Duńczycy mnie zatrzymali na lotnisku, okazało się, że w mojej torbie nie ma żadnych narkotyków, tylko jakaś sfotografowana książka. Dlatego mnie puścili. Już wcześniej parę razy byłem zaskoczony, że niesamowicie mnie kontrolowali na cle przy wyjeździe z Danii albo przy wjeździe do Danii ze Szwecji.

Któregoś dnia zapukali do Jasia szwedzcy policjanci. Wzięli go na posterunek, gdzie aresztowała go duńska policja. Okazało się, że jeden z jego kolegów operował w Danii. No i oni, słysząc o tych walizkach, o których rozmawialiśmy przez telefon, byli przekonani, że ja i Jasiu współdziałamy z tym gangsterem.

Tajniacka współpraca Wschód–Zachód

W samolocie od razu wrzuciłem film do toalety, żeby się pozbyć trefnego towaru. Miałem z tym kłopot, bo nie bardzo chciał się zmieszać z wodą. Doszedłem do prostego wniosku, że mogę zostać zatrzymany też przez Niemców, którzy będą węższy dalej. To był okres po zamachach Baader-Meinhof, a książka tego typu nie jest normalnemu człowiekowi do niczego potrzebna. A jeszcze na okładce stało jak byk: CIA.

Po przylocie do Berlina opowiedziałem Wirdze, co spotkało mnie na lotnisku w Kopenhadze. Był zdziwiony. Potem przedstawił mnie temu kurierowi Morawieckiego z kraju. Wieczorem wybraliśmy się na piwo. Kiedy Wirga poszedł spać, zostałem sam na sam z tym człowiekiem. Nie wszystko mi się w nim podobało. Opowiedziałem mu historię z lotniska i zadałem pytanie: jak to się stało, że zostałem zrewidowany przez duńskie służby, skoro

o moim wyjeździe do Berlina wiedział tylko Wirga i ewentualnie tajna policja szwedzka, która mogła rozmowę podsłuchać. Dostrzegłem zmieszanie na jego twarzy, potem zaczął się mętnie tłumaczyć. Odpowiedziałem sobie sam, że zapewne polska bezpieka poinformowała Szwedów i Duńczyków o moim planowanym przyjeździe do Berlina na spotkanie z wielkiej klasy terrorystą, dodając, że będę miał przy sobie broń. Później Henryk Piecuch w książce *Służby specjalne atakują* ujawnił, że ten specjalny kurier Morawieckiego był etatowym pracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Diodor”. Stąd polska SB znała termin spotkania i mogła się podzielić tą wiedzą z kolegami po fachu z Danii i Szwecji.

Wiem dziś na sto procent, że polska bezpieka współpracowała ze służbami specjalnymi na Zachodzie w tępieniu takich ludzi jak my.

Firma MSM Transporter AB – wielki szmugiel maszyn drukarskich tirami (1983–1986)

Odkąd zaczął się szmugiel sprzętu poligraficznego dla podziemia w Polsce, byłem przekonany, że pakowanie rzeczy do transportów z pomocą humanitarną szybko się skończy wraz z zanikiem tej pomocy. Doświadczenie ze szmuglowania maszyn jachtami mówiło mi, że równie trudno przemycić sto maszyn jak jedną. Potrzebowaliśmy dużych przerzutów drogą lądową, a najlepsze do tego były tiry. Zacząłem więc robić przymiarki, żeby wysyłać do Polski tiry jadące nie z pomocą charytatywną, ale pod przykrywką zleconego transportu normalnych towarów. Cały czas wierzyłem, że któregoś dnia wreszcie takim tirem wyruszymy.

Z mercedesa i busa scanii przierzucamy się na tira

Przygotowania do przejścia z mercedesa i busa na tira trwały prawie dwa lata. Tir, który planowaliśmy wysyłać ze szmuglem do Polski, musiał mieć formalnego właściciela. Dlatego postanowiliśmy założyć firmę transportową. Firma taka powstała w lecie 1983 roku, za zgodą Biura „Solidarności” w Brukseli, które dało na nią pieniądze. Firma nazywała się MSM Transporter Aktiebolag (AB) – skrót na początku utworzony został od naszych imion: Maniek Kaleta, Sven Järn, Mirek Chojecki.

Mercedes, którego używaliśmy tylko do szmugłu, rozleciał się – jak wspominałem – w 1985 roku. Kiedy nie było czym jeździć, bo tira jeszcze nie mieliśmy, Sven wykombinował skądś na własną rękę busa scanię. To auto nic nas nie kosztowało, ale była przy nim straszna robota, żeby zrobić w środku skrytkę. Ono miało z tyłu jedną oś i miejsce na drugą – to tę wolną prze-

strzeń wykorzystaliśmy na ukrycie skrytki. Tym busem pojechały w latach 1985–1986 cztery transporty maszyn drukarskich – jeden, pamiętam, do NOW-uj, odebrany przez Chimiaka i Borowika.

Poprzedni samochód, stary mercedes, przetransportował do Polski około 150 maszyn drukarskich różnego typu oraz mnóstwo innych rzeczy, których potrzebowało podziemie. Bus scania przewiózł około 12 maszyn. To by nie było możliwe, gdyby nie grupa odbiorcza w Warszawie, tj. Wojtek Fabiński i Janusz Ramotowski. Nasze sukcesy zawdzięczałem wtedy ich zmysłowi organizacyjnemu i przedsiębiorczości.

Szmulglerska spółka biznesowa

Nasza firma transportowa MSM Transporter Aktiebolag (AB) to była spółka prawa handlowego podobna do polskiej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Kapitał zakładowy wynosił 50 tys. koron, które wpłaciliśmy w jeden dzień. Pieniądze na założenie MSM Transporter AB dało Biuro „Solidarności” w Brukseli. To było w sumie 200–250 tys. koron, bo z tych pieniędzy nowo założona firma kupiła auto ciężarowe do świadczenia usług transportowych. Miała ona swój adres, telefon i pieczętę, płaciła podatki. Należało unikać amatorszczyzny. Zatrudniliśmy oficjalnie Lennarta Järna, brata Svena, jako kierowcę i zaczęliśmy mu płacić regularną pensję.

Jak to w biznesie, robiliśmy różne sztuczki. Na przykład wyjmowaliśmy pieniądze wpłacone do banku na kapitał zakładowy, żeby mieć środki na zakup maszyn, ale przed końcem roku kalendarzowego wpłacaliśmy je z powrotem, bo na koniec roku należało zadeklarować, ile spółka zarobiła, ile straciła, i jeżeli zużyła 80 proc. swojego kapitału zakładowego, to była zmuszona do samolikwidacji. Księgowy, który prowadził nasze księgi rachunkowe, wpisywał na koniec roku, że spółka ma w banku kapitał w wysokości 50 tys. koron, czyli tyle co na początku, i gra toczyła się dalej.

Firma miała fikcyjny adres – najwyższy numer na ulicy, gdzie znajdowała się formalnie jej siedziba, to był numer 7, a my podaliśmy do rejestracji numer 9. Tak samo numer telefonu – podaliśmy numer życzliwej osoby, która nie uczestniczyła w naszym szmulglerskim interesie.

Ale żeby mieć co wozić i żeby zarobić naszym nowo zakupionym samochodem ciężarowym parę groszy, tośmy za zgodą Biura „Solidarności” w Brukseli i Mirka Chojeckiego, który był wtedy odpowiedzialny za cały szmugiel do Polski, wnieśli – jako firma MSM Transporter – opłatę 10 tys. koron do innej firmy, która się zajmowała spedycją towarów. Ona nie miała własnych samochodów, dawała towar do przewiezienia innym. Nasz wkład finansowy gwarantował nam zlecenia na przewóz, czyli pracę Lennartowi oraz jego pensję.

Auto nowe, ale kłopoty stare

Dopiero po uruchomieniu „własnej” firmy transportowej zdałem sobie sprawę, jakiego strupa wziąłem sobie na głowę. Przede wszystkim trzeba było zarabiać pieniądze. Świadczyliśmy więc usługi przewozowe na terenie Szwecji. Znowu zaczęły się problemy eksploatacyjne. Nawalały gумы, działały cuda, nie było gdzie auta garażować. Lennart nie nadawał się na zawodowego kierowcę ciężarówki, który wstaje o ósmej rano i siada na cały dzień za kierownicę. Jak chciał, to jechał, a jak nie chciał, to nie jechał.

Miałem plan, że musimy zdobyć wreszcie własnego tira do transportu międzynarodowego, którym będziemy szmuglować maszyny do Polski – a kupimy go za pieniądze zarobione przez pierwsze auto MSM Transporter. Później się okazało, że to była tylko teoria. Przecież ja nie byłem żadnym ekspertem od transportu, nie miałem bladego pojęcia, jak to funkcjonuje. Mirek mnie trochę hamował i teraz rozumiem, czemu to robił. Uważał – i miał chyba rację – że nie należy brać sobie za dużo na głowę, bo jeżeli się zdarzy coś złego, to dostaniemy za to baty nie od Szwedów, nie od Francuzów, ale przede wszystkim od swoich kolegów z kraju.

Pozbywamy się pierwszej firmowej ciężarówki

Nasza firma transportowa funkcjonowała raz lepiej, raz gorzej. Mądrzy ludzie doradzali mi, żeby nie mieszać szmuglu z legalnym transportem. Dlaczego? Bo legalny przewóz towarów, czyli wożenie czegoś na zlecenie spedytora, np. na trasie Szwecja–Austria przez Polskę, było banalnie proste, ale taki transport musiał być ubezpieczony. To kosztowało sporo pieniędzy.

Jeśli zaś polscy celnicy otworzyliby auto na granicy i zamiast albo oprócz zgłoszonego do przewozu i ubezpieczenia towaru znaleźli powielacze, to skonfiskowaliby wszystko, łącznie z autem – narzędziem przestępstwa. To były już straty na setki tysięcy koron.

Mimo to udało mi się z czasem przekonać Milewskiego – bo Mirek był temu absolutnie przeciwny – że musimy kupić drugie auto, prawdziwego tira, przynajmniej na jakiś czas, żeby zrobić naprawdę wielką wysyłkę sprzętu do Polski: jedenaście ton, bo tyle mniej więcej można było zapakować na tira. To musiał być tzw. ciągnik z naczepą. Żeby dostać tabliczkę „TIR”, trzeba było spełnić pewne warunki. Naczepa musiała mieć określone wymiary. Pierwsze auto ciężarowe, które mieliśmy w firmie, tych warunków nie spełniało.

Wtedy nastąpiło moje pierwsze małe starcie z Mirkiem, bo on się na to nie zgadzał. Mirek nie był taki głupi. Dobrze wiedział, czym to grozi, jak będzie wpadka takiego wielkiego transportu, że mu za coś takiego urwą głowę w Warszawie.

Wkrótce jednak firma MSM Transporter – za zgodą Milewskiego, Chojeckiego i innych – sprzedała swoje pierwsze auto, którym zaczęliśmy prowadzić usługi transportowe na terenie Szwecji.

Kupujemy prawdziwego tira – „traktor” scanię 110 i naczepę

Kupiliśmy „traktor”, jak to się fachowo nazywa, czyli ciągnik Scania 110 z wielką naczepą ze stałymi ścianami, o ładowności 20 ton. Wzięliśmy na to auto pożyczkę z banku. Umowę pożyczki na 100 tys. koron podpisaliśmy ja i Sven Järn. To drugie auto było w znacznie gorszym stanie niż pierwsze. Też było używane, tyle że ciągnik chodził dobrze, ale naczepa miała jeden minus – była trochę za krótka.

Tir, który kupiliśmy, miał wozić tylko i wyłącznie szmugiel. Zakładaliśmy, że pojedzie ze sprzętem do Polski dwa razy w roku, na co mieliśmy dostać pieniądze. Oprócz tego miał jechać do Polski ze cztery, pięć razy, ale pusty, że niby jedzie dopiero po towar, żeby uspić czujność naszych celników.

Gdy w 1985 roku rozleciał się nasz mercedes, zapadła ostateczna decyzja o rozpoczęciu szmuglowania do Polski sprzętu drukarskiego zakupionym przez nas tirem. Podjęliśmy tę decyzję wspólnie, ale decydujący głos nale-

żał do Milewskiego. Wiedzieliśmy wszyscy, że duże transporty to większe ryzyko wpadki i większy kłopot przy rozładunku w kraju, ale Milewski chciał dużych transportów.

Specjalne zamówienie dla AB Dicka

Trwały przygotowania do pierwszego wielkiego transportu sprzętu drukarskiego naszym tirem do Polski. Zacząłem prace nad największym transportem w historii „Solidarności”. Korzystałem z pomocy Piotra Adamowa, który poprzednio pomagał nam naprawiać naszego mercedesa.

Robiłem jeszcze dziesiątki różnych rzeczy. Kupiłem 50 fabrycznie nowych offsetów firmy AB Dick po 25 tys. koron za sztukę, w sumie za prawie półtora miliona koron. Wtedy nie produkowano już na Zachodzie małych offsetów, bo szeroko weszły na rynek kserokopiarki. Ale AB Dick robił jeszcze takie offsety dla misjonarzy w Afryce. Skorzystaliśmy z tej okazji i złożyliśmy specjalne zamówienie. Offset AB Dicka był większy i cięższy od innych, ponieważ miał zespolony moduł farbowy z napędowym, ale cieszył się dobrą opinią krajowych drukarzy podziemnych.

W tym czasie kupowaliśmy nie tylko offsety, ale też powielacze duże i małe. Gromadziłem wszystko jak chomik. Udało mi się kupić tanio prawie dwie tony farby offsetowej i farby drukarskiej. Zakupiłem puszki do konserw, wydrukowałem etykiety. Wymusiłem na Milewskim kupno maszyny do zamykania konserw. Puszki napełnialiśmy farbą drukarską. Zaczęło się wielkie pakowanie.

Magazyn sprzętu w dawnej fabryce szczotek

Udało mi się wynająć całą, starą, nieczynną już fabrykę szczotek w Malmö, przerobioną na wielką stolarnię. Podlewając dobrą whisky jednego z ludzi na co dzień zajmujących się tą fabryką, wynająłem tam całe piętro – około 600 metrów kwadratowych. Kłopot był tylko jeden: że to było właśnie piętro. Żeby cokolwiek tam robić, musieliśmy dokonać przebudowy.

Mieliśmy halę o powierzchni 200 metrów kwadratowych. Musieliśmy jednak zrobić kołowrotek do wciągania na górę cięższych rzeczy. Piotr Adamow

załatwił potem auto z dźwigiem i tym dźwigiem pakowaliśmy wszystko do środka. Mniejsze rzeczy, jak offset czy powielacz, nie było rady, musieliśmy wnosić w rękach po schodach.

Oprócz wynajętej wielkiej fabryki miałem wtedy 3–4 mniejsze lokale. Przyjąłem zasadę, że nie mogę mieć tylko jednego lokalu, bo jak go stracę, to stracę wszystko, na przykład gdyby był pożar czy trzęsienie ziemi. Więc rzeczy najdroższe, całą elektronikę, tranzystory itp., trzymałem w mieszkaniu wynajętym na nazwisko mojego dobrego znajomego, Szweda. Również w wynajętej piwnicy trzymałem książki. Mieliśmy też malutkie mieszkanie – to nawet nie było mieszkanie, tylko lokal sklepowy z małym pokoikiem i ubikacją. Tam była zamontowana radiostacja krótkofalowa z wielką anteną na dachu budynku, z której odchodziły te wszystkie kable. W tym lokalu przeglądaliśmy każdą maszynę przed wysyłką.

Ja biegałem, a magazynier pakował

Bóg mi zesłał z nieba Romana Giniewskiego, studenta i działacza Niezależnego Zrzeszenia Studentów, który przyjechał do Malmö w 1983 roku jako emigrant solidarnościowy. Nie był on żadnym „lewusem”, co mi zaczęli podpowiadać niektórzy ludzie. Ja miałem dobrego nosa, czy ktoś jest, czy nie jest agentem. Giniewski nigdy nie zachował się jak agent. Dopuszczałem go kawałek po kawałku do wszystkiego, co robiłem. Najpierw w wynajętej piwnicy pakował książki do wysyłki do kraju. Później wziąłem go do noszenia i pakowania offsetów i powielaczy. Jeśli się z jego powodu nic złego nie wydarzyło przez rok, to chyba można było uznać, że facet „lewy” nie jest.

Stał się on moją prawą ręką, bo ja nie byłem już w stanie zajmować się wszystkim. Tym bardziej że Marek Tarka zaczął chodzić na kurs szwedzkiego, zajął się czym innym, chociaż na tyle, na ile mógł, wciąż pomagał. W 1984 czy 1985 roku dołączył do głódówki w Sztokholmie, po czym wypuszczono z Polski jego żonę i córkę. Osiedlili się w Malmö, wynajęli normalne, trzypokojowe mieszkanie.

Giniewski został przeze mnie zatrudniony. Dostawał ode mnie jakieś małe pieniądze, właściwie żadne. Ja biegałem i załatwiałem, a on siedział w wynajętej fabryce i pakował.

Jaruzelski zdobywa nad nami przewagę

W latach 1982–1983 panował na Zachodzie zachwyt nad podziemną „Solidarnością”. Wszyscy starali się nam pomóc. Jednak powoli zaczęło się to zmieniać.

Lata 1984–1985 to okres, kiedy już nasze fundusze bardzo się skurczyły, wszystko szło siłą bezwładności. Wpadłem więc na pomysł, żeby zorganizować wyjazd mój albo Mirka na lewych papierach do Polski i wytłumaczyć „Solidarności”, że coś musimy wykombinować, bo Jaruzelski zaczyna mieć nad nami przewagę.

Tę dziesięć milionów członków „Solidarności”, którymi chwaliła się ona na plakacie w 1981 roku, stopniały w latach 1984–1985 do paru tysięcy aktywistów. To było zjawisko typowe. Na przykład podczas II wojny światowej w konspiracji uczestniczyło bezpośrednio zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, nic po za tym.

To samo działo się z podziemną „Solidarnością”. Po kolejnych, głośnych wypadkach Bogdana Lisa, Władka Frasyniuka czy Józefa Pinióra chętnych do pracy w TKK „Solidarności” nie było wielu. Podziemna działalność więdła. Ludzie zajmowali się sobą, jedni płacili składki, drudzy nie. Należało zrobić coś radykalnego.

Próba generalna wywozu Bujaka z Polski

Zacząłem kombinować, jak tu Zachód podbechtać, aby nadal dawał pieniądze na „Solidarność”, aby nie tracił nadziei na to, że w Polsce się coś jeszcze wydarzy. Wyszedłem z pomysłem, żeby ukrywającego się Zbyszka Bujaka wywieźć z Polski, co byłoby szokiem dla Jaruzelskiego, a przede wszystkim byłoby nadzwyczajnym sukcesem „Solidarności”. Zacząłem to forsować i czynić przygotowywania. Jak z nieba spadła okazja, która mogła umożliwić zrobienie takiej sztuki. W połowie 1985 roku podczas wyjazdu do Paryża dowiedziałem się od Mirka Chojeckiego, że musimy z Polski wywieźć rosyjskiego dezertera i że to musi być fachowo zrobione, bo jak on wpadnie, to z nim koniec – dostanie karę śmierci.

Muszę się pochwalić. Otóż zawsze udawało mi się dotrzeć do ludzi, których potrzebowałem. Jednym z nich był wspomniany już Jasiu, z którym uzgadnia-

łem, jak zrobić specjalną walizkę do przewożenia tajnej poczty do kraju. Jasiu bardzo lubił kryminologię i dość szybko nauczył się podrabiać pieczętki i fałszować paszporty.

Był w stanie podrobić wszystko. Wykonywał dla nas blankiety praw jazdy, dowodów rejestracyjnych, kartki na benzynę i inne druki. Prowadziliśmy wtedy bardzo zaawansowane prace nad wyprodukowaniem PRL-owskiego dowodu osobistego. Takie przyszło zapotrzebowanie od ludzi z podziemia. Szło nam to bardzo powoli, ale krok po kroku dowiadywaliśmy się wszystkiego, np. że materiał na okładkę i papier można zdobyć w Jugosławii. Koszty były jednak bardzo duże. W pewnym momencie ktoś w TTK puknął się w głowę, że nie ma sensu inwestować dziesiątek tysięcy dolarów, jeżeli im potrzeba tylko kilku lewych dowodów osobistych.

Jasiu miał jakichś swoich kontrahentów, przede wszystkim Jugoli. Miał kontakty z gangsterami z Polski. On mnie poznał ze Stefanem, nagrał ludzi z Chorwacji do wywiezienia z Polski na Zachód sowieckiego dezertera i Andrzeja Słowika – o czym za chwilę.

Dragan i Zlatan przyjmują zlecenie

Sowiecki żołnierz, szeregowy Aleksander Janyszew, który oświadczył, że jest dezerterskim z Armii Czerwonej, zgłosił się do Regionu „Solidarności” we Wrocławiu dzień przed ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce. Nazajutrz był już stan wojenny. Ludzie z „Solidarności” zaczęli Janyszewa ukrywać i tak dochował się jakoś do 1985 roku. Na dalsze ukrywanie właściwie nie miał już szans. Opisuje to dość dokładnie w swojej książce *Służby specjalne atakują* Henryk Piecuch.

Zgłosiłem się więc do wspomnianego już Jasia i zapytałem: Jasiu, nie masz jakichś kontaktów, bo musimy wywieźć sowieckiego dezerterskiego z Polski? On mówi: Pogadam ze Stefanem.

Potrzebował na to trochę czasu. Stefan to był prawdziwy gangster, którego grupa zajmowała się szmuglowaniem ludzi, handlem bronią i wszystkim innym. Tylko z narkotykami nie mieli nic wspólnego. Przede wszystkim to byli dobrej klasy złodzieje. Stefan mieszkał w Niemczech, jeździł cały czas po Europie. Jakiś czas mieszkał w Szwecji i w Danii.

Kiedy się z nim spotkałem, Stefan zapytał, czy będziemy gotowi zapłacić podwójnie. Pytam, dlaczego. Bo to jest sprawa polityczna – odpowiedział – nie bardzo są chętni do takiej roboty. Skontaktowałem z Mirkiem. On zwrócił się do redaktorki z tygodnika „Russkaja Mysl” w Paryżu, bo za wywóz miała płacić redakcja tej gazety. Powiedziała, że zapłacą. Nie pamiętam już dokładnie, ale to było jakieś 8–9 tys. dolarów.

Któregoś dnia pojawili się u mnie dwaj Jugosłowianie. Byli to Dragan i Zlatan. Powiedzieli krótko, że oni tego sowieckiego dezertera z Polski wywiozą. Powiedzieli też, ile to będzie kosztowało. Ja miałem wykonać pewne ruchy. Ruska trzeba było przetransportować w ustalone przez nich miejsce w Polsce, gdzie miał czekać, aż po niego przyjadą.

Wiedząc, jak funkcjonuje polskie podziemie, robiłem w portki na myśl, co będzie, jak ci Jugosłowianie po Ruska przyjadą, a się okaże, że tam czeka bezpieka polska albo sowiecka. Ale wszystko odbyło się zupełnie inaczej.

Sowiecki dezerters z Polski przekazany adresatowi w Paryżu

Jugosłowianie pojechali do Polski po Ruska. Stefan przyjechał do mnie do domu, gdzie na nich czekaliśmy. Minał dzień – zupełna cisza. Drugiego dnia dostajemy telefon, że Dragan jest już z Rosjaninem w Berlinie Wschodnim. W tym momencie rura mi zmięła. Z Berlina Wschodniego jeszcze trzeba było przejechać do Berlina Zachodniego. Stefan dostał amoku, bo plany były zupełnie inne: że Dragan albo Zlatan wsiądzie z Ruskiem na prom Świnoujście–Ystad i przyplynie do Szwecji. Nie wiedziałem, z jakiego powodu oni wybrali inną drogę – do Berlina Wschodniego, później do Zachodniego, skąd ja i Stefan mieliśmy go odebrać i odstawić do Paryża.

Stefan zadecydował, że w Berlinie Zachodnim mają wsiadać do samolotu lecącego do Frankfurtu, żeby skrócić tę całą aferę. Na przeszkodzie stanął wybuch bomby we Frankfurcie, którą podłożyli jacyś terroryści. Wobec tego mieli wsiąść w pociąg z Berlina Zachodniego do Monachium. Tam też pojechałem ze Stefanem.

W Monachium radości było wiele. Rusek nie bardzo wierzył, że rzeczywiście jest wolny. Zostaliśmy zamelinowani w jakimś hotelu, z którego korzystała tamtejsza mafia. Wiadomo było, że nic nam się nie stanie. Urządzono bankiet, za który oczywiście ja musiałem zapłacić.

Następnego dnia pożegnałem się ze Stefanem i wsiałem z Ruskiem w pociąg Monachium–Paryż. Mirek był na bieżąco informowany, co się dzieje.

Już w pociągu skóra mi ścierpła, bo w wagonie sypialnym kuszetkowy był Jugosłowianinem i koniecznie chciał sobie porozmawiać ze swoim pobratymcem, czyli z moim Rosjaninem, który jechał na podrobionym jugosłowiańskim paszporcie. Jakoś udało mi się mu wytłumaczyć – po jugosłowiańsku trochę mówiłem – że to nie wchodzi w grę, bo mój kolega jest strasznie pijany. Tak wylądowaliśmy w Paryżu, co było wielkim naszym sukcesem. Przekazałem Rosjanina Mirkowi, a Mirek przekazał go adresatom.

Korzystając z okazji – to były wakacje 1985 roku – pojechałem do „Kultury” na kolejne spotkanie. Pamiętam, że był tam Herling-Grudziński. Opowiedziałem mu całą historię wywiezienia ruskiego dezertera z Polski. Herling przyznał: no, muszę was pochwalić, bo myśmy takie rzeczy robili w AK podczas wojny, a okazuje się, że teraz „Solidarność” też do tego jest zdolna.

Zamiast Bujaka – przyjeżdża na Zachód Słowik

W odpowiedzi na mój pomysł wywiezienia z Polski Bujaka dostaliśmy cynk z kraju, że on nie chce przyjechać na Zachód albo nie może, natomiast chęć przyjazdu wyraził Andrzej Słowik z Łodzi, do 13 grudnia 1981 przewodniczący łódzkiego Regionu „Solidarności”, członek Prezydium Komisji Krajowej odpowiedzialny za poligrafię związkową, więziony do lipca 1984. W roku 1981 został namaszczony przez Lecha Wałęsę do odbierania z Zachodu kolosalnych ilości sprzętu drukarskiego, który miały do Polski przysłać szwedzkie związki zawodowe, ale nigdy tego nie zrobiły. Kiedy zaczęli coś przysyłać, ogłoszono stan wojenny. Jedynie Region Dolnośląski „Solidarności” dostał od Szwedów offset Romayor, który 13 grudnia 1981 ZOMO rozbiło na kawałki.

13 grudnia 1981 roku Słowik nawoływał do strajku. Bezpieka weszła do budynku Zarządu Regionu i aresztowała go. Poszedł siedzieć. W tym czasie powstał podziemny Region „Solidarności” z nowymi ludźmi. Słowik wyszedł w lipcu 1984 roku i wtedy zaczęła się straszna kłótnia o to, kto jest szefem Regionu. Słowik cały czas się upierał, że szefem jest on, bo przecież został wybrany na zjeździe. Jak się rozeszła wiadomość, że jest możliwość wyjechania na Zachód, żeby w jakiś sposób podeprzeć „Solidarność”, a potem wrócić,

Słowik był jedynym człowiekiem, który się zgłosił. Parę dni przed wyjazdem przyjechał do Warszawy, spotkał się z Kundziem Bielińskim i powiedział mu, że jedzie. I na tym się zakończyły rozmowy w kraju na ten temat.

Powiedziałem sobie – niech będzie Słowik. Zwróciłem się do moich Jugosłowian. Wszystko odbyło się tak samo jak z ruskim dezserterem, ale tym razem mieli absolutnie przykazane przyjeżdżać prosto do Szwecji, a nie włóczyć się po Europie.

Bez wiedzy TKK „Solidarności” i Wałęsa

Wtedy mniej kontrolowano promy Świnoujście–Kopenhaga i dlatego mieli płynąć do Kopenhagi. W Święta Bożego Narodzenia w 1985 roku dostałem telefon, że oni ze Słowikiem już są. Podali nazwę hotelu.

Byłem przekonany, że czekają na mnie w Kopenhadze. Ale oni wybrali bardziej kontrolowany prom Świnoujście–Ystad i wylądowali w Malmö. Ja tymczasem wsiałam na wodolot, przyjeżdżam do Kopenhagi, biegam jak idiota, a w Kopenhadze nie ma takiego hotelu. Wtedy nie było jak dziś telefonów komórkowych i nie można się było kontaktować z minuty na minutę. Zadzwoiłem na wszelki wypadek do domu. Żona rozbawionym głosem powiedziała mi, że oni są już u nas.

Przy powitaniu nasza radość nie miała granic. Mirek od razu wsiadł w Paryżu w samolot i do mnie przyleciał, przyleciała też do Malmö Joanna Pilarska, przyleciał Jurek Milewski. Należało ustalić jakiś plan, z kim Słowik ma się spotkać, czego ma dla „Solidarności” żądać. Trochę nam szczeka opadła, bo się okazało, że wyjazdu Słowika z Polski nie firmowała TKK, nie namaścił go Wałęsa. Słowik usłyszał od kogoś, że jest taka możliwość, więc z niej skorzystał.

„Solidarność” – organizacja, na którą warto dać pieniądze

Plany były takie, że Słowik po załatwieniu wszystkiego, co miał do załatwienia, wróci tą samą drogą do Polski. No cóż, planować można dużo, a rzeczywistość okazuje się zupełnie inna. Jedno jest pewne: niezależnie od tego, w jaki sposób Słowik wyjechał z Polski, po dwóch i pół miesiącach pobytu na Zachodzie załatwił „Solidarności” pieniądze na najbliższe dwa lata działalności.

Jego przyjazd pokazywał, co „Solidarność” potrafi. Jeżeli „Solidarność” potrafiła wywieźć zza żelaznej kurtyny sowieckiego dezertera, jeżeli potrafiła wywieźć Słowika, który potem – też nielegalnie – wrócił do kraju, to znaczy, że jest to organizacja, na którą warto dać pieniądze.

Ale zanim Słowik wrócił do Polski, objechał kawał świata. Przede wszystkim spotkał się w Szwecji z wicepremierem Ingvarem Carlssonem, spotkał się z papieżem Janem Pawłem II, był w Stanach Zjednoczonych, spotkał się z wieloma ludźmi, o których mogliśmy dotąd tylko pomarzyć. Problemy zaczęły się pod koniec stycznia 1986 roku, kiedy dostałem wiarygodną wiadomość z kraju, że bezpieka jest poinformowana o pobycie Słowika na Zachodzie. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale na wszelki wypadek zdecydowałem, że powrót Słowika do kraju musi się odbyć inaczej. Ale jak?

Słowikowi użyczył paszportu komunista z Lund

Słowik wyjechał z Polski na paszporcie jugosłowiańskim. To był stary numer, który wykonywali przemytnicy: podrabiali paszport na miejscu w Polsce. Zrobili Słowikowi zdjęcie i wkleili je do oryginalnego, jugosłowiańskiego paszportu. Na tym jugosłowiańskim paszporcie i pod jugosłowiańskim nazwiskiem podróżował nawet do Ameryki. Gdy dostałem wiadomość, że bezpieka już wie, że on jest na Zachodzie, to wiedziałem jedno: ten paszport trzeba schować na pamiętkę do sejfu bankowego.

Aby wysłać Słowika nielegalnie z powrotem do kraju, znowu należało zaangażować Jugosłowian i im za to zapłacić. Wtedy wymyśliliśmy z Jasiem inny sposób: że Słowik na drogę powrotną dostanie inny paszport, a na dodatek, że będzie odjeżdżał z Berlina Zachodniego po przejechaniu przez Niemcy Wschodnie. Dopiero w Berlinie Zachodnim miał wsiąść do pociągu Paryż–Berlin–Poznań–Warszawa–Moskwa. Zakładaliśmy, że jeśli Słowik przeprawi się przez NRD, to już nie będzie sprawdzania na granicy z Polską. NRD-owskie służby były najlepsze na świecie, jeżeli chodzi o kontrolowanie ludzi przekraczających ich granicę.

Słowik miał jedną wadę – prawie 190 cm wzrostu. Skąd wziąć paszport do przerobienia dla człowieka o takim wzroście? Jak zwykle pomógł przypadek. Spytałem Andrzeja Koraszewskiego, czy nie zna kogoś, kto by

pożyczył szwedzki paszport na parę dni. Andrzej rozpuścił wici i taki człowiek się znalazł – jak na ironię, prawdziwy szwedzki komunista z Lund. Pożyczył swój paszport, a miał 189 cm wzrostu, był o 3 cm wyższy od Słowika. Jasiu odpowiednio paszport dopieścił, przeklejając zdjęcie Słowika, który miał jechać z tym paszportem do Polski, a potem „Adam” miał go przywieźć z powrotem do mnie.

Szwedzki paszport był wtedy w Europie najłatwiejszy do podrobienia. Miał przyklejane zdjęcie, a na nim okrągłą pieczętkę (jugosłowiańskie paszporty na przykład miały już takie metalowe nity, którymi zdjęcie było przytwierdzone do okładki). Szwedzi to naród bez wyobraźni. Po zwróceniu mi paszportu wykorzystanego przez Słowika można było z powrotem zamienić w nim zdjęcie Słowika na zdjęcie prawowitego właściciela. Tak się też stało.

Teoretycznie bezpieka mogła się dowiedzieć, że Słowik będzie wracał do Polski na szwedzkim paszporcie. Gdyby płynął promem, to być może. Ale on jechał pociągiem. W pociągu oni patrzyli tylko na numer paszportu, bo wykaz trefnych paszportów to jedyne, co przy sobie w pociągu mieli. A numer paszportu Słowika nie był trefny.

Podnoszą szlaban – jesteśmy w NRD

W marcu 1986 roku ruszyłem ze Słowikiem w drogę pożyczonym przeze mnie samochodem. Nie chciałem ryzykować własnego samochodu. Zawiadomiłem Giedroycia, żeby się zaopiekował moją żoną i rodziną, gdyby mi się coś przytrafiło. O tym, że Słowik wracał do Polski, wiedziały oprócz mnie tylko dwie osoby: Milewski i właśnie Giedroyc.

Andrzej dostał do ręki wspaniale podrobiony szwedzki paszport. Umówiliśmy się, że w razie czego będziemy mówić, że spotkaliśmy się na promie ze Szwecji, on jedzie do Berlina Zachodniego i tyle. Tak dotarliśmy do Hamburga. Jechaliśmy prawie nowym saabem. Po raz pierwszy miałem samochód z przednim napędem. Szczęście dopisywało mi zawsze. Zaczął padać śnieg z deszczem. Oczywiście nie miałem gum zimowych, ale jakoś dało się jechać. Z Hamburga skręciliśmy na Berlin w stronę słynnej granicy między Niemcami Zachodnimi i Wschodnimi.

Podjechałem pod szlaban i budkę, Słowik podał swój paszport, a ja swój. Obydwa szwedzkie. Zaczęliśmy odliczać sekundy. Wreszcie młody NRD-owski pogranicznik podniósł szlaban, wsadził nasze paszporty do jakiejś rury i kazał jechać. Dojechaliśmy do wyjazdu z tej granicznej strefy. Znowu przyszedł człowiek, kazali nam wysiąść z samochodu, znowu oddaliśmy paszporty. Pytają, czy mamy bomby i granaty. Słowik zaczął tłumaczyć, że nie mamy, na co mnie nagła krew zalała, bo uważałem, że należy siedzieć cicho. Podjechali z tymi lusterkami do zaglądnienia pod spód samochodu. W końcu oddali nam paszporty i pozwolili jechać. Byliśmy w NRD.

Za nami ciemność – przed nami setki świateł

W tym momencie wiedziałem jedno: połowę sukcesu już mamy. Śnieg padał coraz bardziej. Wjechałem na główną drogę wiodącą w kierunku Berlina Zachodniego. Po prawej i po lewej stronie ciągnęły się kilometrami koszary okupacyjnych wojsk sowieckich. Było już dobrze po północy, kiedy znaleźliśmy się na przejściu granicznym do Berlina Zachodniego. Zbliżył się jakiś człowiek, popatrzył na Słowika, popatrzył na mnie, wziął nasze paszporty, poszedł do jakiegoś baraku, skąd za chwilę wrócił, po czym oddał nam paszporty i podniósł szlaban graniczny. Za nami była jedna wielka ciemność, ani jedna lampa się nie paliła. Przed sobą mieliśmy dziesiątki świateł Berlina Zachodniego.

Po lewej stronie znajdowała się restauracja. Byliśmy potwornie głodni, nerwy robiły swoje. Szybkie przełknięcie piwa i sety w ogóle nie podziałało. Podjechaliśmy pod najbliższy hotel, gdzie wypiliśmy jeszcze butelkę koniaku. Poczujęm się strasznie zmęczony, nerwy mi puściły, wylądowałem w łóżku. Obudziłem się następnego dnia, było południe. Zastukałem do Andrzeja. On jeszcze spał.

Dziecko się już urodziło, pół litra wypite

W Berlinie Zachodnim mieszkała pewna wspianiała osoba, Niemka, która wyemigrowała z Polski w 1952 roku i osiedliła się w Berlinie. Miała na

imię Dorota. Zadzwoiłem do niej. Polegałem na Dorocie w stu procentach, parokrotnie nam pomogła w różnych sytuacjach. Działała w organizacji zajmującej się szmuglowaniem ludzi z Berlina Wschodniego do Berlina Zachodniego. Mówiła perfekcyjnie po polsku. Powiedziałem jej prawdę i poprosiłem o wykupienie Słowikowi biletu z Berlina Zachodniego przez Poznań i Warszawę do Moskwy. Wydawało mi się, że taki bilet będzie absolutnie działał. Dorota go wykupiła. Pożegnałem się ze Słowikiem i ruszyłem w drogę powrotną.

Pogoda była fatalna. Padał śnieg, nic nie było widać. Jechałem nie szybciej niż 20 km na godzinę, ale moje szczęście nie miało granic. Udała mi się jedna z największych podziemnych akcji, i to w stu procentach.

Do domu dotarłem późnym wieczorem. Słowik miał jechać do Gdańska i złożyć sprawozdanie pierwszemu po Bogu, czyli Wałęsie. Dostałem numer telefonu, pod którym miał potwierdzić, że wszystko jest w porządku. Hasłem było zapytanie: czy dziecko się już urodziło, czy jeszcze trzeba czekać? Zadzwoiłem gdzieś koło jedenastej wieczorem, na wszelki wypadek. Ktoś mi powiedział, że dziecko się już urodziło i że z tego powodu zdążyli już wypić pół litra.

Zadzwoiłem zaraz do Brukseli i do Paryża – do Księcia, że jestem cały i zdrowy. Księżę zapytał, czy ma gratulować. Odpowiedziałem, że tak, i prze szczęśliwy walnąłem się do łóżka.

Zamiast gratulacji dostaliśmy po łbie

Po powrocie Słowika do kraju wszyscy się od niego odwrócili. Bujak podobno nie mógł się z nim spotkać czy nie chciał. Później była wersja, że Bujak chciał, ale Słowik nie mógł. W każdym razie na Słowiku nie pozostawiono suchej nitki. Solidarnościowe podziemie zareagowało jak obrażona dziewica po sto pierwszym razie. Zarzucali mu, jak mógł wyjechać bez zgody Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej.

Zamiast gratulować nam sukcesu, zażądano specyfikacji, ile ta historia kosztowała. Polecały gromy na głowę Milewskiego i moją, że Kaleta marnotrawi pieniądze. Później były pretensje, że za te pieniądze można było kupić offsety i Bóg wie co jeszcze.

21 wielkich skrzyń na tira

Tymczasem Romek Giniewski od rana do wieczora działał w fabryce. Wydrukowaliśmy dwa rodzaje etykiet na puszki konserwowe: jedne do farby offsetowej, drugie do farby sitodrukowej. To wszystko zaczęliśmy pakować. Najważniejsza rzecz – skrzynie.

Standardem dzisiejszego transportu jest paleta o ustalonych wymiarach. Takim standardem są też skrzynie pasujące do tych palet. Nas na kupienie skrzyń nie było stać. To był absurd. Wielka „Solidarność” podziemna nie miała, pamiętam jak dziś, 4 tys. dolarów, żeby kupić gotowe skrzynie do transportu. Wobec tego trzeba było je zrobić domowym sposobem.

Ściągnąłem w trybie alarmowym z Polski Marka Kasprzaka. Nazywaliśmy go Władziu. Musiałem kupić solidną piłę i Marek zaczął robić 21 skrzyń o wymiarach typowej palety 80×80 cm i wysokości 165 cm. Dlaczego on? Po pierwsze, był wtedy w Warszawie bezrobotny, powodziło mu się bardzo kiepsko, po drugie, miałem do niego pełne zaufanie, a po trzecie, on umiał zrobić te skrzynie.

Któregoś dnia, ku mojej radości, jeszcze te skrzynie zmodyfikowaliśmy. Były one tak skonstruowane, by po zdjęciu z palety dało się je rozmontować. Okazało się to genialne, bo odbiorcy naszego transportu nie bardzo wiedzieli, gdzie te skrzynie po rozładunku schować, co z nimi zrobić.

Nie chciała Warszawa – pojawił się Gdańsk

Poinformowałem TKK „Solidarności”, że przygotowuję wielką dostawę maszyn tirem, co nie spotkało się z żadnym odzewem. Usiłowałem ten transport skierować do Warszawy. Uważałem, że jeżeli Bujak dostanie maszynę do ręki, to uspokoi wszystkich, którzy siedząc na sofie, obrzucają mnie błotem. Warszawa zaczęła jednak stawiać warunki, że to, że tamto, że owo. Usiłowałem sprawę załatwić przez NOW-ą, przez moich dobrych kolegów, ale oni też nie bardzo się do tego palili. Nie dziwię się temu, bo to był odbiór wielkiego auta. Wobec powyższego Milewski podjął decyzję: kończymy dyskusje z Warszawą, postaramy się, żeby transport odebrał Gdańsk.

W tym czasie łącznikiem między Biurem „Solidarności” w Brukseli a TKK i Wałęsą był Jacek Merkel. Z nim sprawa okazała się prosta. Wysłałem więc

wszystkie dane do Merkla, jak to będzie wyglądać, i otrzymałem odpowiedź, że w ciągu miesiąca on przygotowuje zrzutowisko. Należy tylko dać mu znać 24 godziny wcześniej.

Jazda próbna na lewy tir-karnet

Gdy tirjechał w międzynarodową trasę, to miał przeważnie tzw. tir-karnet, taki jakby paszport dla tira. Tir z takim dokumentem był plombowany po odprawie celnej w kraju, z którego wyjeżdżał. Zaplombowanego auta nie otwierali już po drodze celnicy na żadnej granicy. Miałem lewe plombownice szwedzkie i polskie. Lennart je zabierał i miał przy sobie. Dzięki temu mógł w każdej chwili auto rozplombować, a później założyć nowe plomby.

Tir-karnet nie leżał na ulicy, wydawał go firmie transportowej jakiś tam urząd za solidną opłatą. Był wiele razy wpisywany do księzek spedycji, że posiadający go samochód wiezie to i to, tu i tu. Ja się jednak bałem wziąć na siebie ryzyko, że nasz tir dostanie tir-karnet, my go napakujemy sprzętem, a potem polskie służby celne go otworzą. Zostałbym wtedy z milionem długu, bo za podanie nieprawdziwych danych co do przewożonego towaru groziły spedytorowi duże konsekwencje finansowe. Dlatego kupiłem czysty blankiet tir-karnetu na lewo. Chcieli za taki blankiet bajońską sumę. Zapłaciłem 20 tys. koron.

Miałem nad sobą w Biurze „Solidarności” w Brukseli księgowego Henia Jagiełłę, który kompletnie nie wiedział, jak to wszystko funkcjonuje. Jak on usłyszał, że za pięć kartek tir-karnetu kupionych na lewo trzeba zapłacić 20 tys. koron, to ja tylko czekałem, kiedy powie: a ile ty bierzesz z tego? Ja bym mu odpowiedział: gównu, panie Heniu, jak pan chcesz się o tym przekonać, to przyjeźdź z Brukseli do Malmö i sam pan zapłać za ten tir-karnet mniej. To była główna przyczyna zrezygnowania przez nas później z tir-karnetów.

Żeby być już absolutnie pewnym, wysłałem Lennarta tirem na próbę. Był zaopatrzony w tir-karnet, ale pojechał bez żadnego ładunku. Bez najmniejszych trudności przejechał ze Świnoujścia pod Wrocław, wjechał wracając do NRD – i dalej przez Niemcy Zachodnie do Szwecji. Wszystko było w porządku. Pojechał tak jeszcze 2–3 razy.

Dwa zestawy formularza CMR – na wyjazd i na powrót

Mniejsze ryzyko finansowe niż korzystanie z tir-karnetu dawało użycie formularza CMR – międzynarodowego samochodowego listu przewozowego. To było potwierdzenie przez nadawcę, przewoźnika i odbiorcę, że towar jedzie na przykład docelowo do Austrii, a tylko tranzytem przez Polskę. Tir nie był wtedy plombowany przez celników. Poza tym Lennart po pierwszym kursie z tir-karnetem na pusto stwierdził, że ryzyko – czy się jedzie tirem zaplombowanym, czy niezaplombowanym – jest takie samo.

Przygotowaliśmy z Jasiem dwa komplety formularzy przewozowych CMR. W pierwszym komplecie – podaję według formularza, który zachował się z drugiego transportu w listopadzie 1986 roku – zadeklarowaliśmy, że 21 skrzyń z tzw. drobnicą metalową, przez co należało rozumieć np. części zamienne do samochodów, jedzie wysłane przez firmę ASG AB z Malmö do firmy Auto-Spedition Hevbert, Häller Lacknerg 10 w Wiedniu. Komplet takich blankietów CMR składał się z trzech kartek o identycznej treści – oryginał plus dwie kopie. Na polskiej granicy w Świnoujściu Polacy wyrwali i zostawiali sobie jedną kopię. I załatwione.

Ale Lennart na drogę powrotną miał w kieszeni gotowy drugi formularz CMR, podstemplowany naszymi rękami. Nasze lewe pieczętki celników szwedzkich i Urzędu Celnego Świnoujście wyglądały zupełnie jak prawdziwe. Tak podstemplowany formularz CMR potwierdzał, że samochód wjechał ze Szwecji do Polski pusty. Dlatego nie mógł wracać przez Świnoujście, gdzie zostawił przy wjeździe pierwszy formularz CMR. Wracał przez Sassnitz w NRD promem do Trelleborga.

Fabiński z „grupy Jacka” chciał to inaczej zorganizować. Proponował, żeby cały przewożony towar podmienić, czyli przygotować w Polsce taką samą liczbę skrzynek o tym samym wymiarze i gdzieś na Dolnym Śląsku w lesie zamienić jedne skrzynki na drugie. To było sprytne, ale jakoś do tego nie doszło.

Wielki tir wyrusza z maszynami do Polski

Tydzień wcześniej wysłałem człowieka do Jacka Merkla. Umówiłem się z nim na telefon z ustalonym tekstem. W wyznaczonym dniu wszystko ruszyło.

Lennart jak zwykle tryskał optymizmem. Spotkaliśmy się przed terminalem w Ystad. Zmieniliśmy tablice rejestracyjne w naszym tirze. Mając do dyspozycji tylko jedno auto, ciągle zmieniałem mu tablice rejestracyjne. Zakładałem, że nie należy pojawiać się na polskiej granicy tym samym autem i na tych samych numerach rejestracyjnych za często, bo jeżeli jest prowadzona jakaś komputerowa statystyka, to szybko wyjdzie, że to auto się za często kręci.

Zadałem pytanie moim kolegom w kraju, czy przy wjeździe aut ciężarowych do Polski sporządzane są statystyki tego typu. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Szwedzi prowadzili taki rejestr – każdy tir, który wjeżdżał do Szwecji lub z niej wyjeżdżał, był rejestrowany w komputerze. Polacy nie rejestrowali tego. Wpisywali wjeżdżające do Polski samochody do jakichś książek, ale nie do komputera. To się jednak okazało dopiero później, wobec czego za każdym razem dawałem naszemu autu inne tablice. Muszę przyznać uczciwie, że Mirek był temu przeciwny. Uważał, że tak daleko nie powinniśmy iść, a jak wpadniemy, to na całego. Ja byłem innego zdania.

Udała mi się sztuka!

O tym, że tak wielki transport ma jechać do kraju, wiedzieliśmy tylko ja i Milewski. Mirek Chojecki był już wyłączony z takich spraw. Miał za dużo na głowie. Wydawał miesięcznik „Kontakt”, założył firmę Video-Kontakt, musiał się zajmować swoją żoną. Milewski podjął decyzję, że osobą odpowiedzialną za wszystkie zakupy i cały szmugiel do kraju będę ja. W kraju wiedzieli o transporcie tylko Merkel i jego najbliżsi.

Któregoś czerwcowego dnia 1986 roku Lennart podjechał w Ystad naszym tirem do budki celników. Wjechał tam celowo w ostatniej chwili, mówiąc, że wiezie „transport solidarnościowy”. Celnicy na parę minut przed dziesiątą wieczorem zwykle już kończyli pracę i nie bardzo sprawdzali, co się wiezie. Podbili stemple. Lennart wjechał na prom i nastąpiła cisza.

Zaczęło się jak zwykle czekanie. Okazało się, że poszło genialnie. Wszystko zadziało, jak powinno. Lennart przekroczył polską granicę w Świnoujściu bez najmniejszych problemów. Przyjechał do Gdańska, zaparkował auto tam, gdzie miał zaparkować. Chłopcy Merkla to obserwowali. W ciągu jednej nocy auto zostało wyładowane na jakiejś kurzej fermie. Lennart wsiadł do pustego

samochodu, zadzwonił, że jest cały i zdrowy, a mnie kamień spadł z serca.

Udała mi się sztuka. Spełniło się moje marzenie, żeby wyjechać do Polski tirem wyładowanym sprzętem dla podziemia. To było dość normalne – tirów na polskiej granicy nikt dokładnie nie kontrolował.

W Brukseli Heniu Jagiełło przywitał mnie w drzwiach szampanem. Zapytałem, czy by mnie tak powitał, jakbyśmy wpadli. Heniu potraktował to jako dobry żart. Milewski był cały w skowronkach, Merkel też. TKK „Solidarności” miała wreszcie co rozdawać podziemnym drukarzom w kraju.

Zaszły jednak drobne komplikacje

Ludzie od Merkla spisali się rewelacyjnie. Szybko rozładowali i rozwieźli 21 wielkich skrzyń z naszego tira. Pojawiły się jednak pewne komplikacje: na tej kurzej fermie, gdzie był wyładunek, ktoś coś zauważył. Już po zabranii przez ludzi Merkla wszystkich skrzyń z przywiezionym przez Lennarta sprzętem wpadła tam bezpieka i zabrała sześć powielaczy, które były przewożone luzem. Wepchali mi je chłopcy ze Sztokholmu dla OKN, czyli struktury „Oświata-Kultura-Nauka”. Nie chcąc robić sobie wrogów – narazić się na zarzuty, że Kaleta wozi maszyny tylko komu chce, wziąłem te powielacze do przewiezienia.

Wpadło jeszcze dwadzieścia powielaczy z tego transportu. Po rozładowaniu skrzyń z tira wiozł je swoją furgonetką człowiek, który się nazywał Szablewski. On mieszkał w Toruniu. Były wtedy milicyjne łapanki na drogach i zatrzymali go pod Toruniem do kontroli drogowej. Otworzyli pierwsze pudło i domyślili się, co jest grane. Szablewski chciał ich jeszcze przekupić, za co mu potem dołożyli dodatkowe pół roku odsiadki.

Te wpadki nie świadczyły jednak o jakimś zagrożeniu dla całego transportu. Wszystko zostało zachowane w tajemnicy. Odbiór towaru organizował prof. Piotr Kwiek z Gdańska. Dzień przed przyjazdem Lennarta zebrał grupę swoich zaufanych studentów i powiedział im: Panowie, bierzecie udział w jednym z największych numerów „Solidarności”. Mam nadzieję, że będziecie milczeć. A dlaczego? Dlatego, żebyście dalej mogli studiować.

Obstawę rozładunku robił Jan Krzysztof Bielecki, późniejszy premier. Miał zorganizowany nasłuch milicji w Gdańsku, zainstalowany w kilku małych fiatach jeżdżących po mieście. Chłopaki mieli skanery do nasłuchu radiowego

i podsłuchiwali, co milicja mówi między sobą. Milicja i ubecja nic nie wiedziały, że nasz transport jedzie, bo w nasłuchu nie było ani śladu rozmów na ten temat.

Zawiaduję całym szmugłem maszyn do Polski

Mimo pewnych strat wjechało naszym tirem do kraju osiemdziesiąt maszyn oraz pięć ton innych potrzebnych w podziemiu rzeczy, jak komputery Tandy. To był prawdziwy rekord. Po raz pierwszy TKK „Solidarności” czymś konkretnym dysponowała, mogła dyrygować ruchem, a nie tylko pisać patykami na wodzie.

Wielkie spotkanie Biura „Solidarności” w Brukseli nastąpiło w lipcu 1986 roku. Oficjalnie zostałem przedstawicielem Biura odpowiedzialnym za cały szmugiel sprzętu drukarskiego do Polski. Mirka Chojeckiego ostatecznie wykasowano z tego stanowiska. Myślę, że wtedy już mu na nim specjalnie nie zależało. Zajmował się Video-Kontaktem i innymi rzeczami. Ja pojechałem na zasłużone wakacje.

Kupiłem sobie dom

W 1986 roku poznałem w Malmö dziewczynę, która mieszkała w pustym domu. To był stary, przedwojenny dom, ruina totalna. Jego właścicielem był polski Żyd, który wyjechał do Ameryki. Dom został wystawiony na sprzedaż. Skorzystałem z okazji i go kupiłem. Kosztował mnie 350 tys. koron. Wziąłem na to z żoną kredyt z banku.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, co z tego będzie: pójdzie wieść, że Kaleta nakradł w „Solidarności” i za to kupił sobie dom. Ale ci, co najbardziej krzyczeli, nie wiedzieli, że nie dałem jak oni za normalny dom 600 tys. koron, ale połowę tego ze względu na jego stan techniczny. No i nie był zbyt wielki – tylko około 100 metrów kwadratowych.

Zakup drugiego tira dla firmy sprawą życia i śmierci

Czy miałem przeczucia, że coś złego się wydarzy? Nie. Zdawałem sobie sprawę, jak człowiek, który zdobył Mont Everest, że wyższej góry do zdo-

bycia już nie ma. Jeżeli już, to będzie to tylko powtórka. Nawet nie bardzo nas było na nią stać. Pieniądzy znowu brakowało. Jako nowy szef od szmuglowania sprzętu z Zachodu napisałem list do TKK związku, że mogą się spodziewać maksimum dwóch takich transportów rocznie, bo na więcej nie ma funduszy.

Czułem się znakomicie, ale z drugiej strony zaczęło do mnie docierać, jak wielka sprawa mi się udała i co będzie, jeżeli to wszystko pęknie.

W tym czasie zjawił się w Szwecji Jan Nowak-Jeziorański z odczytami. Oczywiście spotkałem się z nim. O jedno go prosiłem, a właściwie przez niego służby specjalne Stanów Zjednoczonych – bo on, będąc szefem Radia Wolna Europa, pracował w końcu dla Departamentu Stanu USA – o to, że jeżeli chcemy uniknąć wpadki, to musimy kupić drugiego tira. Przecież łamaliśmy wszelkie reguły konspiracji. Nie wolno było jednym autem wozić szmuglu i tajnej poczty. Ale bieda, i jeszcze raz bieda, zmuszała nas do tego.

Moje prośby w tym wypadku były trochę nieporozumieniem, bo wielki „kurier z Warszawy” możliwości miał mocno ograniczone, sam mi to powiedział. Tymczasem dla mnie sprawa posiadania drugiego auta pozostawała sprawą życia i śmierci.

Wielka wpadka i po niej (1986–1987)

W czasie wakacji 1986 roku, zaraz po wysłaniu do Polski pierwszego transportu tirem, zaczęliśmy przygotowywania do drugiego. Znowu trzeba było jedenaście ton sprzętu wnieść do naszego magazynu na pierwszym piętrze starej fabryki. Tym razem podpatrzyłem, jak pakowano towar w innych firmach transportowych, co ułatwiło pracę mnie i Romanowi Giniewskiemu. Nie robiliśmy już skrzynek na maszyny. Można je było pakować w ten sposób, żeby robić tylko taki drewniany szkielet, dawać cztery kanty na każdy róg palety, a później owijać to wszystko specjalną metalową taśmą. I to się dobrze trzymało. Po wypakowaniu maszyn zostawało tylko trochę śmieci i nic poza tym.

Niespodziewanie zaczęły się kłopoty

28 listopada 1986 roku Lennart Järn podjechał tirem do przystani promowej w Ystad. W ostatniej chwili zmieniliśmy tablice rejestracyjne w naszym aucie. Lennart podstemplował papiery na niby, bo lewe papiery na powrót z Polski podstemplowane przez nas miał już w kieszeni. Podjechał do budki, gdzie odbywało się ostateczne sprawdzanie dokumentów. Byłem przekonany, że to potrwa jak zwykle minutę, po czym Lennart wjedzie na prom. Ale tym razem trwało to bardzo długo. Minuty zaczęły się ciągnąć. Prom już miał odpływać – zbliżała się godzina 22, bo to był kurs nocny.

Nagle widzę, że do tej budki podjeżdża auto policyjne. Wiedziałem, że coś się musiało wydarzyć. Nie czekałem ani chwili, podjechałem do nich moim autem i wzięłem na bok jednego z policjantów. Dałem mu mój taj-

ny numer policyjny, żeby zadzwonił, gdzie trzeba, i dowiedział się, że chodzi o transport dla polskiej „Solidarności”. On nie bardzo chciał to zrobić. Zacząłem wrzeszczeć. Celnik wyrzucił z budki mnie i policjanta. W końcu ten policjant poszedł do budynku portowego i zadzwonił. Wrócił i uspokoił celnika, że wszystko jest w porządku. Lennart wjechał na prom, a ja poczułem, że zabawa się skończyła.

Lennart, zamiast uciec, bezmyślnie wjechał na prom

Jak do tego doszło? Celnik, który siedział w budce, chciał pokazać swojemu synowi, jak działa komputerowy system kontroli pojazdów na granicy. Wpisał w komputer numery naszego auta i mu wyszło, że nie są to numery naszej ciężarowej scanii, ale osobowego volkswagena passata.

Zaczęła się dyskusja między Lennartem i celnikiem. Lennart przeszarżował. Mówiłem mu zawsze, że gdyby cokolwiek nieprzewidzianego wydarzyło się przy przekraczaniu granicy, ma zostawić auto i uciec, a ja załatwię resztę. W tym wypadku powinien zawrócić tym autem i absolutnie nie wjeżdżać na prom. Tak uniknęlibyśmy jednej z największych wpadek solidarnościowego podziemia. Ale Lennart wziął już pieniądze za ten przejazd i je przepułał. Liczył na to, że jak zwykle szczęście mu dopisze. Dlatego wjechał na prom.

Zrobiłem jeden błąd. Później pukałem się w czoło, że trzeba było te tablice rejestracyjne, które przyczepiliśmy do naszego auta, oderwać od jakiejś ciężarowej scanii, a nie od auta osobowego. Można było takie tablice albo ukraść, albo podrobić, ale z tym był kłopot. Ja chciałem mieć tablice oryginalne, jakie wydawało szwedzkie ministerstwo transportu, których dla scanii nie miałem. Dlatego wzięliśmy oryginalne tablice z jakiegoś porzuczonego osobowego volkswagena passata. Kradzież oryginalnych tablic od scanii mogła zwrócić uwagę policji. Powinienem takie tablice podrobić. Ale mądry Polak po szkodzie.

Po odjeździe Lennarta miałem bardzo złe przeczucia. Jechałem do domu jak na ścięcie. Wiedziałem, że tym razem to się nie może skończyć dobrze. Obawiałem się, że widzieli to całe zamieszanie ludzie z promu i z przedsiębiorstwa Pol-Line, polskiego armatora promu. Jak się później okazało, były to obawy bezpodstawne. Pies pogrzebany był gdzie indziej.

Halo, Jurek – jest wpadka!

Lennart pojechał, a ja czekałem na umówiony sygnał od niego przez dwa dni. Jeszcze miałem jakieś złudzenia, a może jednak się uda. Złudzenia te przysły trzeciego dnia. Dostałem telefon od szwedzkiej policji, że mam natychmiast się u nich zjawić, bo będzie ze mną bardzo źle. Domyślałem się, o co chodzi. Pierwsze pytanie, jakie mi zadali, to dlaczego w transporcie do Polski, który wpadł w Świnoujściu, była broń. W tym momencie o mało nie spadłem z krzesła. Zacząłem wrzeszczeć, że broń, jak będzie „Solidarności” potrzebna, to kupimy ją w Polsce, i że w żadnym naszym transporcie nie było broni.

Przyjemny nawet oficer w dwóch słowach wyjaśnił mi, że Lennart został w Polsce zatrzymany. Wykręciłem numer do Milewskiego. Powiedziałem krótko: Jurek, jest wpadka. Zapanowała grobowa cisza. Potem Milewski spokojnym głosem powiedział: no, Mańku, musisz przyjechać do Brukseli.

Władziu nie dotarł do Merkla na czas

Kiedy wsiadłem w pociąg do Brukseli, telewizja polska pokazała już wszystko. Prasa szwedzka zaczęła walić we mnie jak w kaczy kuper, że posłałem do Polski Szweda, który nie wiedział, co wiezie, że naraziłem go na więzienie. Pani konsul w Szczecinie, Suzanne Malmberg, uzałała się, że Lennart to taki porządny, uczciwy i przyzwoity człowiek.

Zaczęły wychodzić też inne rzeczy. Okazało się, że Lennart nie miał prawa jazdy, które mu zabrano w Szwecji za prowadzenie po alkoholu. Posługiwał się kopią, którą sobie zrobił wcześniej. Pisano, że jeździł do Polski tylko po to, żeby się upijać i korzystać z tanich dziewcząt. To było smutne.

W tym czasie był u mnie Władziu, czyli Marek Kasprzak, który pomagał załadować ten transport. Opowiedziałem mu wszystko, jak było, prosząc, żeby pojechał do Gdańska, spotkał się z Merkle i wytłumaczył mu, że wpadka łączyła się prawdopodobnie z wykryciem przez szwedzkiego celnika naszych lewych numerów rejestracyjnych, a nie z tym, że mamy u siebie jakąś wtykę bezpieczeństwa. Na posiedzeniu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności” od razu pojawiła się wiadomość, że Kaleta ma agenta SB bardzo blisko siebie.

Kasprzak pojechał do Polski, ale z Merkleem nie spotkał się natychmiast, tylko dopiero po paru dniach. Dlatego Merkel na posiedzeniu TKK nie mógł mnie bronić, że był to po prostu przypadek, wpadka przez lewe tablice rejestracyjne, a nie przez donos agenta.

Handel z PRL-em o Lennarta

Lennart siedział w polskim więzieniu. Obiecaliśmy mu, że go stamtąd wydobędziemy. Odbyła się rozprawa sądowa. Jerzy Urban obwieścił, że Lennart może opuścić więzienie, jeżeli zapłaci 225 tys. koron szwedzkich. Taki handel nie był niczym nowym, jeżeli chodzi o komunistów. Przecież NRD sprzedawało swoich obywateli Zachodowi na tysiące, ratując w ten sposób swój budżet.

Kwota wymieniona przez Urbana była potężna, a do tego doszły następne jeszcze większe straty. Lennart stracił transport o wartości prawie 1,5 mln koron, skonfiskowali nam tira, który kosztował nas 100 tys. koron, a tu jeszcze należało zapłacić następne 225 tys. koron. Brukselskie Biuro „Solidarności” znalazło się w okropnej sytuacji finansowej. Milewski zębami zgrzytał, ale ja mu powiedziałem: Jurek, żartów nie ma, płacić trzeba, bo nas Szwedzi zjedzą bez przypraw. Kiedy jednak daliśmy sygnał, że zapłacimy, to Urban podniósł kwotę grzywny jeszcze o 25 tys. koron. Ja się wtedy naprawdę zirytowałem. Wysłaliśmy oficjalny teleks do Polski, że jeśli pan Urban chce handlować ludźmi, to polecamy Murzynów, bo są tańsi, lecz my nie damy ani dolara więcej.

Jakiś bogaty Szwed chciał dopłacić te 25 tys. Ale jak narobiłem szumu, że Polska handluje ludźmi, to władze PRL wróciły do pierwotnej kwoty 225 tys. koron. Lennarta zwolniono po sześciu miesiącach, z końcem maja 1987 roku. W sumie jego wyjazd kosztował „Solidarność” ponad 1 800 000 koron szwedzkich, tj. ok. 300 tys. dolarów. To była dla nas bardzo duża strata. Roczny budżet Biura „Solidarności” w Brukseli wynosił wtedy pół miliona dolarów. Z uwzględnieniem obecnej siły nabywczej dolara straciliśmy ok. 650 tys. dolarów.

Duży transport – duże ryzyko – duży zysk

Po wpadce Lennarta podziemie w Polsce zachowało się bardzo dziwnie, to znaczy milczało. A przecież Lennart wioził to wszystko dla podziemia, żeby

mieli na czym drukować, żeby mieli czym sobie umyć ręce, bo śmierdzieli farbą drukarską, żeby była herbata dla podziemnych drukarzy. Pani Zosia Hertz z „Kultury” zawsze mówiła do mnie: panie Marianie, niech pan postara się wysłać dla drukarzy trochę herbaty czy kawy. Mam nawet rachunek na dużą ilość wysłanej do Polski herbaty. Podziemie uważało, że mu się to należy.

Muszę z przykrością powiedzieć – bardzo smutne było dla mnie to, że żadna gazeta podziemna w Polsce nie broniła Lennarta. Nikt nie ujął się za człowiekiem, który dostarczał solidarnościowemu podziemi to, czego najbardziej potrzebowało. Dopiero pół roku później, tj. w połowie maja 1987 roku, w „Tygodniku Mazowsze” ukazała się informacja, że Lennart Järn jest więźniem politycznym PRL-u, oraz większy artykuł *Historia jednego przetrwania*, w którym szczegółowo opisano wpadkę Lennarta.

Dziennikarka „Tygodnika Mazowsze”, Joanna Szczęśna, zadzwoniła wtedy do mnie, żeby przeprowadzić ze mną wywiad. Powiedziałem jej: posłuchaj mnie, dziecko kochane, mój telefon jest na podsłuchu szwedzkiej tajnej policji i jeszcze nie wiadomo kogo. Ja ci ani słowa na ten temat nie powiem.

Szczęśna w swoim artykule, do którego nie zgodziłem się niczego powiedzieć przez telefon, *Historia jednego przetrwania*, przypominała to, co w grudniu 1986 roku, dwa tygodnie po wpadce Lennarta, napisała szwedzka gazeta „Arbetet”. Jej redaktor ubzdurał sobie, że tego całego transportu nie organizowała „Solidarność”, ale szwedzka tajna policja SAPO. Pisali, że Lennart został przez SAPO wystawiony, żeby zepsuć poprawiające się właśnie stosunki polsko-szwedzkie. Dlatego kazali na granicy auto przepuścić, mimo że miało fałszywe tablice rejestracyjne. To była nieprawda. Wszystko wzięte z powietrza, żeby ludzie ich czytali. Było to łatwe, bo policja szwedzka utajniła śledztwo.

Takie są te pomyłone Svenssony z „Arbetet”. Svensson to w polskim slangu przeciętny Szwed – jak w Polsce Kowalski. Ci z „Arbetet” pięć lat wcześniej, na początku 1981 roku, dali Wałęsie nagrodę za działalność społeczną, a teraz umniejszali znaczenie „Solidarności”, jak tylko mogli. Robili też wielką sensację z tego, że nasza firma miała fikcyjny adres siedziby i że nasz telefon firmowy był telefonem osoby prywatnej, która w firmie nie pracowała.

„Tygodnik Mazowsze” napisał, że błędem było wysyłanie tak dużego transportu, bo im większy transport, tym większe ryzyko wpadki. Ale też, według mnie, tym większy zysk. Joanna Szczęśna z „Tygodnika” o jednej rzeczy nie

napisała: wtedy dlatego się zdecydowaliśmy na tira, że nie było już żadnych innych możliwości wysyłki maszyn drukarskich do kraju. Mogło być mniejsze auto, ale co byśmy tym mniejszym autem zrobili? Zapakowali do środka maszyny drukarskie i na granicy krzyczeli, że to kosiarki do trawy? Po prostu małe samochody były o wiele bardziej kontrolowane na granicy niż tiry.

Tylko Giedroyc przyzwoity i uczciwy do końca

Zeświniły się szwedzkie związki zawodowe, które odcięły się od wszystkiego. Ich przedstawiciel, niejaki Thorbjörn Karlsson, sekretarz ds. międzynarodowych centrali związkowej LO, zajmujący się sprawami zagranicznymi, kazał przekazać mi po cichu, że jestem nieodpowiedzialnym człowiekiem. Zrobił to przez Biuro Pomocy „Solidarności” w Sztokholmie, gdzie urzędowali Ryszard Szulkin i Marek Michalski. Ci dwaj niby się solidaryzowali ze mną, ale faktycznie tak nie było. Znalazłem się w bardzo przykłej sytuacji. A Karlssonowi wygarnąłem prosto w twarz – panie Karlsson, jest pan *kuk*. Ci, co znają szwedzki, mogą ocenić, jak bardzo go chciałem obrazić.

Jedyną osobą do końca uczciwą i przyzwoitą okazał się Giedroyc. Powtarzał, że niezależnie od tego, co się stało, trzeba nadal robić to samo, bo podziemie w Polsce potrzebuje pomocy. Zamieścił w „Kulturze” wywiad ze mną, który ukazał się dość późno, nie od razu po wpadce Lennarta, ale półtora roku po niej, w pierwszym numerze z 1988 roku. Po tekście wywiadu dopisał komentarz od redakcji, że nie należy walić w tych, którzy pracują dla kraju, bo i bez tego jest im ciężko.

Giedroyc uważał, że wpadki w podziemiu były i będą. Powiedział do mnie wprost: panie Marianie, w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej wpadek było aż za dużo, a mogło ich nie być, gdyby nie gadatliwość Polaków. Niestety, konspiratorami to my jesteśmy dobrymi tylko w teorii, lecz nie w praktyce.

Lennart – bohater za pieniądze

Z Lennartem zaczął się kolejny cyrk. W połowie 1987 roku, po półrocznym pobycie w polskim więzieniu, wracał do Szwecji promem. Wypił na promie sporo wódki. Ja go jakoś z tego promu zgarnąłem na konferencję

prasową następnego dnia. Nikt nie chciał słuchać, że pomagamy podziemnemu związkowi zawodowemu w kraju za żelazną kurtyną, a jedyną metodą, żeby skutecznie dostarczyć podziemiu sprzęt drukarski, jest szmugiel.

Większość Szwedów tego nie rozumiała, co świadczy o ich dziecinnej naiwności. Pojmowali to tylko niektórzy. Taką wypowiedź dał do sztokholmskiej gazety „Aftonbladet” Göran Jacobsson, Szwed związany z Ryszardem Szulkinem, działającym na rzecz „Solidarności” w Sztokholmie. Podobnie jak Lennart, przesiedział w Polsce sześć miesięcy w 1983 roku za szmugiel maszyn drukarskich ze Szwecji. Po wpadce Lennarta mówił, że nawet jeśli dla Szwedów jest to dziwne, to nielegalny przewóz sprzętu poligraficznego przez granicę jest skutecznym sposobem popierania walki polskich robotników o ich prawa związkowe.

Ale na konferencji prasowej szwedzcy dziennikarze pytali przede wszystkim o to, dlaczego Lennart pojechał do Polski bez prawa jazdy i dlaczego ja go w takiej sytuacji wysłałem. Wygarnąłem im, co myślę: że Lennart dobrze wiedział, co wiezie. Nie powiedziałem, że za każdy transport inkasował odpowiednią sumę pieniędzy, bo trudno było robić z bohatera świnię.

Każdy człowiek ma prawo do obrony. Ja nigdy tego prawa nie miałem. Musiałem milczeć i koniec. Kiedy Lennart mówił, że nie wiedział, co jest w skrzynkach, które tirem przewoził, że jechał za darmo, że mu nikt nie zapłacił za szmugiel dla „Solidarności”, to on mógł opowiadać wszystko, a ja nie miałem prawa powiedzieć ani słowa.

Gazeta „Kvällsposten” podała, że bankructwo naszej firmy transportowej unieruchomiło tajny nadajnik zamontowany w jednym z moich lokali wynajętych w celu magazynowania sprzętu do wysyłki. Dorobili do tego historyjkę, że przez radio kontaktowaliśmy się z „Solidarnością” w Polsce i że polska bezpieka rozszyfrowała nasz przekaz, dlatego czekała na Lennarta w Świnoujściu. Gazety wypisywały różne głupoty na nasz temat. Ja dla dobra sprawy musiałem milczeć.

Wystawił nas szwedzki celnik z Ystad

Zaraz po wpadce Lennarta wysłałem swojego człowieka do znajomej celniczki ze Świnoujścia. Ona zaciągnęła języka na miejscu, tj. zapytała na

drugi dzień kolegów, czy się coś ciekawego zdarzyło poprzedniego dnia. Któryś z nich czy ktoś ze straży granicznej odpowiedział, że jakiś szwedzki celnik dużo zamieszania narobił.

Potem poinformowała nas, że za Lennartem do Świnoujścia przyszedł teleks z Ystad. Okazało się, że szwedzki celnik, który zatrzymał Lennarta w Ystad, dwadzieścia minut po odpłynięciu promu posłał teleks do Świnoujścia, do firmy Pol-Line, podając numery naszego samochodu, z prośbą o sprawdzenie, co to za transport. O czwartej rano zjawiła się na promie specjalna ekipa bezpieczeństwa i było po balu.

W listopadzie 1987 roku, po roku od wypadki, napisała to wprost największa gazeta na południu Szwecji „Sydsvenska Dagbladet”. Potwierdziła się w końcu moja wersja, że ta wypadka to nie była robota żadnego agenta SB. Także inny dziennik, „Kvällsposten”, opisał, jak szwedzki celnik zwrócił się teleksem do polskiego urzędu celnego w Świnoujściu, żeby sprawdzili nasze auto.

Jednak do dzisiaj są ludzie, którzy twierdzą, że do wypadki największego transportu „Solidarności” doprowadził Kaleta przez swoją niefrasobliwość i nieroztropność, przez co naraził „Solidarność” na wielkie straty finansowe. Prawda jest taka, że to nie była moja lekkomyślność, tylko zbieg okoliczności wynikający z tej naszej przysłowiowej biedy solidarnościowej – że nie było nas stać na drugie auto. Wtedy nie zmienialibyśmy tak często tablic rejestracyjnych.

Szwedzka czkawka

Szwedzi niby chcieli wiedzieć, co się w tej Polsce naprawdę dzieje. Tak się Polsce przyglądali, że w 1980 roku szwedzkie związki zawodowe uznały „Solidarność” jako ostatnie w Europie. Jakaś zmiana nastąpiła, kiedy w roku 1985 do Szwecji przyjechał Andrzej Słowik na lewym paszporcie. Rozmawiał z nim wtedy szwedzki wicepremier Ingvar Karlsson, który traktował go oficjalnie jako reprezentanta „Solidarności”. Ale to nie miało absolutnie żadnego znaczenia dla nas – niewygodnych politycznie emigrantów.

Inny przykład to gazeta „Arbetet”, która w lutym 1981 roku przyznała Wałęsę nagrodę za działalność społeczną. Wałęsa przyjechał po nagrodę do Malmö. Czy na spotkaniu z nim był ktoś ze szwedzkich związków zawodo-

wych? Nie było nikogo, tylko redaktor naczelny „Arbetet”. Czy był ktoś ze szwedzkiej partii socjaldemokratycznej? Nie było nikogo.

Tak było aż do momentu ogłoszenia, że w Polsce „Solidarność” jest z powrotem legalna. Wtedy jako jeden z pierwszych pojechał do Gdańska, do Wałęsy, przewodniczący szwedzkich związków zawodowych Stig Malm. Szkoda że go wtedy Wałęsa nie zapytał: proszę pana, czy wyście coś zrobili po uwięzieniu w Polsce tego Szweda, który przywoził nam nielegalnie z waszego pięknego kraju maszyny drukarskie? Chyba by tamten dostał od razu ataku czkawki.

Państwo szwedzkie wytoczyło nam proces

Wszystkie podrobione przez nas papiery na wjazd i zawartość transportu, odebrane Lennartowi przez bezpiekę, zostały potem przekazane ambasadzie szwedzkiej w Warszawie, która przesłała je do szwedzkiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a ministerstwo z kolei przysłało je mnie. Ja je od razu wyrzuciłem, bo bałem się, że mogą mi zrobić sprawę o fałszerstwo, ale później wyciągnąłem z pojemnika na śmieci i schowałem do skrytki bankowej. Pomyślałem, że będzie to jedyny wiarygodny dowód, jak ta sprawa wyglądała od początku do końca.

Wkrótce potem przysłali mi do domu akt oskarżenia. Tak samo Lennartowi. W niedługim czasie obaj dostaliśmy wezwanie do szwedzkiego sądu. Lennart został oskarżony o udział w przemyśle, a ja o szmuglowanie niedozwolonej technologii amerykańskiej na Wschód. Nic bardziej absurdalnego zdarzyć się nie mogło. W akcie oskarżenia nie było jednak ani słowa o przemyśle broni, o którą pytała mnie zaraz po wpadce policja szwedzka.

Zaczynało się robić ślisko, więc załatwiłem sobie jednego z najlepszych adwokatów w Szwecji, Svena-Erica Ohlssona, z którym przyjaźnię się do dzisiaj, bo nadal prowadzi poważną kancelarię adwokacką. Za jego usługi płaciło Biuro „Solidarności” w Brukseli. Już dokładnie nie pamiętam ile – było to parę tysięcy koron. On nie wziął tyle, ile powinien, bo ten proces przecież i jemu przynosił reklamę. W dokumentach, które złożyłem w krakowskiej Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, jest akt oskarżenia i inne pisma procesowe.

Przed sądem uzyskałem dwa uniewinnienia

Na rozprawie, która odbyła się na wiosnę 1988 roku, wszystko było ukarowane. Szwedzi chcieli jak zwykle postawić panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Chodziło o to, żeby pokazać polskim władzom po drugiej stronie Bałtyku, że oni nie tolerują u siebie łamania prawa. Mowa oskarżycielska prokuratora była tak miękka, że można się było uśmieć. W Szwecji jest taka procedura, że przed rozprawą spotykają się obrońca z prokuratorem i dyskutują, jaki ma być wyrok. Spotkaliśmy się we trzech. I prokurator mówi: panie Marianie, wie pan, do więzienia pan nie pójdzie, damy panu jakąś tam karę w zawieszeniu.

Do sądu przyszło bardzo wielu Polaków. Wszyscy krzyčili: „Solidarność”, „Solidarność”! Prokurator wygłosił swoją mowę, w której faktycznie mnie bronił, choć był oskarżycielem. Potem padło pytanie: czy obrona ma coś co powiedzenia? Mój obrońca powiedział krótko, że z dokumentów, które zostały zaprezentowane na sali sądowej, wynika, że Kaleta nie przemycił do PRL – wbrew zakazowi – żadnych zaawansowanych technologii, a już na pewno nie przemycił technologii amerykańskich, bo cała elektronika, jaka znajdowała się w naszym złapanym przez bezpieczeństwo tirze, czyli m.in. małe komputery, pochodziła z Tajwanu.

Na to wszystko prokurator o mało nie spadł z krzesła, dziennikarze również. Sędzia zażyczył sobie dowodów, które by potwierdzały, że to była wysoko wyspecjalizowana amerykańska technologia. Odroczone rozprawę na półtora miesiąca. Po tym czasie okazało się, że to były jednak tajwańskie komputery. Wyszedłem obronną ręką. Zostałem uniewinniony.

Na tym jednak nie koniec. Szwedzi zrobili mi drugi proces – o złe prowadzenie dokumentacji podatkowej naszej firmy MSM Transporter AB. To nie była moja wina, bo mój księgowy, Szwed, okazał się nałogowym alkoholiczkiem. Pogubił gdzieś ważne papiery, a potem zamknęli jego firmę świadcząca usługi księgowe. Na szczęście potwierdził w sądzie, że przynosiłem do niego dokumenty księgowe i że prowadziłem dobrze księgi rachunkowe. Znowu zostałem przez szwedzki sąd uniewinniony.

Spalony dla „Solidarności” (1987–1988)

Dla polskiego podziemia Marian Kaleta był już spalony. Uznano mnie za głównego sprawcę wpadki Lennarta. Tak byłem traktowany oficjalnie, chociaż nieoficjalnie działałem nadal jako prawa ręka Jurka Milewskiego. I tak pozostało do końca naszej współpracy w brukselskim Biurze „Solidarności”.

Po wielkiej wpadce Lennarta moje możliwości się wyczerpywały. Straciłem auto do szmuglu. Ale mimo wszystko chciałem nadal działać. Do tego też nakłaniał mnie Milewski. Mówił: Maniek, co się stało, to się stało, ale maszyny trzeba do Polski wysyłać dalej.

Kawa – nowy szmugler z polecenia Lebenbauma

Kilka miesięcy po wpadce naszego tira w Świnoujściu, rozmawiając z Józkiem Lebenbaumem w Lund, zapytałem, czy nie ma kogoś, kto by na nowo zaczął wozić sprzęt drukarski do Polski. Józef po pewnym namyśle odpowiedział, że ma takiego człowieka, który za opłatą jest w stanie różne rzeczy do Polski zabierać i przekazywać. Nazywaliśmy go Kawa. Nie miałem żadnego wyboru, więc spytałem tylko, czy ten człowiek jest sprawdzony. Usłyszałem, że Szczecin za niego ręczy, a osobiście Marian Jurczyk. To mi wystarczyło.

Bardzo chciałem się spotkać z tym Kawą, ale nic z tego nie wyszło. Od pierwszego do ostatniego dnia pośrednikiem między nami był Lebenbaum. Ustaliłem, że przez niego przekażę rzeczy do przetransportowania i adresy, gdzie towar trzeba zawieźć. To już nie była tona, najwyżej cztery czy pięć maszyn. Posłaliśmy Kawę do Gdańska. Wszystko zawiózł, wszystko się zgadzało. Tak było jeszcze kilka razy. Funkcjonowało to perfekcyjnie. Kawa tłu-

maczył, że ma układ z jednym celnikiem w Świnoujściu i dlatego mu się udaje przejechać swoim samochodem osobowym z przyczepką ze sprzętem przez kontrolę graniczną. Coś mi w tym nie pasowało, ale nie miałem innego wyboru.

No, bo jaki miałem wybór? Nie było nikogo, kto by cokolwiek chciał zabrać do Polski. Próbowałem raz czy drugi dogadać się z kierowcami polskich tirów jadących przez Szwecję – podszedłem, grzecznie wziąłem kierowcę na bok i mówię: „Panie szanowny, nie wiem, czy jest pan patriota, czy nie, ale ja kicham na patriotyzm, ja dobrze panu zapłacę, jak pan przewiezie różne rzeczy dla »Solidarności« w Polsce”. Nigdy jednak nie udało mi się załatwić, żeby wozili Polacy. Zawsze trefny towar wozili cudzoziemcy. Polacy mieli to głęboko w d... Więc jak się trafił taki Kawa, to był na wagę złota.

Kawa wiezie do Polski lodówki dla „Adama”

Już wcześniej, w czasie pobytu „Adama” w Szwecji, okazało się, że Solidarność Walcząca bardzo by chciała mieć jakiś zachodni sprzęt do samoobrony. Dlatego nawiązanie kontaktu z Andrzejem Kołodziejem z SW postawiło mnie w trudnej sytuacji. Prosił o dostarczenie pistoletów na gaz, gazu obezwładniającego w sprayu, celowników optycznych oraz pałek obezwładniających. Tego nie było można kupić w Szwecji, więc kupiłem w Niemczech Zachodnich i przeszmuglowałem do Szwecji. Na Zachodzie taki sprzęt do samoobrony był powszechnie dostępny. Jednak gdyby mnie Szwedzi złapali na tym szmuglu, byłoby ze mną źle, zwłaszcza że władze polskie uznawały mnie za terrorystę. W dokumentach SB na mój temat, które wyszły z IPN-u, jest taka opinia o mnie.

Nie kwestionując potrzeby wysyłania do Polski tego, czego ludzie z solidarnościowego podziemia potrzebowali, nie zgadzałem się na wysyłanie broni. Uważałem, że te sprawy powinno się załatwiać na miejscu, w kraju. Ale pistolety na gaz do samoobrony, dlaczego nie? Na Zachodzie były ogólnie dostępne, a dzisiaj można je już dostać w każdym polskim sklepie.

Jakoś we wrześniu 1987 roku wzięliśmy dwie stare duże lodówki-zamrażarki, powpychaliśmy do nich wszystko, o co prosiła Solidarność Walcząca, i elegancko schowali. Były tam pistolety gazowe, amunicja do nich, ręczne miotacze gazowe na gaz paraliżujący, pałki elektrowstrząsowe, celowniki optyczne, mininadajniki telewizyjne umożliwiające włączanie się do progra-

mu telewizyjnego z własnymi nagraniami wideo. Nikt by tego nie wykrył bez przepuszczenia tych lodówek przez rentgen. Na wyraźną prośbę „Adama”, który mówił, że zawartość tych lodówek jest bardzo potrzebna, Kawa zabrał je w ostatnich dniach września 1987 roku i pojechał do Polski.

„Adam” nie bardzo chciał się angażować w odbieranie dużego transportu. Tłumaczył się, że nie ma gdzie sprzętu chować. Jakoś go jednak przekonał.

Kolejna wpadka – mam łatkę terrorysty

Pod koniec września 1987 roku wybraliśmy się z Lebenbaumem na Targi Książki we Frankfurcie. Byliśmy szczęśliwi, że jeszcze jedna wysyłka sprzętu do kraju nam się udała. Niestety – wyszła kolejna wpadka.

10 października 1987 roku Jerzy Urban zaczął krzyczeć w polskiej telewizji o terrorystach ze Szwecji. Mina mi rzeczywiście zrzedła. Mieć przyklejoną łatkę terrorysty to nic miłego. Poza tym nie miałem informacji, jak do wpadki doszło.

Milewski zażyczył sobie wyjaśnień, więc prosto z Frankfurtu pojechaliśmy do Brukseli, gdzie gęsto się tłumaczyliśmy, ja i Lebenbaum. Nie bardzo wiedziałem, kim jest ten Kawa, nie wiedziałem, co się z nim w Polsce stało. Wiedziałem tylko to, co kłapał Urban.

Zagraniczny polski ludek zareagował normalnie. Jegliński, który też był na targach, złożył mi gratulacje z udanego przerzutu. Złośliwie, bo jakże mogło być inaczej. Ale Gieydroc uważał, że nie należy robić z igły widły i niepotrzebnie wpadać w panikę. Nie wiedzieliśmy nic poza tym, że „Adama” aresztowano. Nie wiedziałem, co dzieje się z Kawą. Zapadła cisza.

Aresztowanie „Adama” przeżyłem strasznie

Sprawa „Adama” to jedna z bardziej tragicznych historii, które przeżyłem. „Adam” – był to pseudonim Krzysztofa Szymańskiego. Był on, jak już wspominałem, jednym z kurierów Bogdana Borusewicz i marynarzem na promie „Pomerania”. Spotkałem się z nim w Malmö w 1983 roku. Przysłał go do mnie Borusewicz. Muszę przyznać, że czekałem na ten moment. Miałem wielkie zaufanie do Bogdana. Wiedziałem, że to jeden z najlepszych ludzi podziemia. Nie należał do warszawskich rewolucjonistów wysiadających

na sofach i złośliwie recenzujących działalność Mariana Kalety albo Józefa Lebenbauma. Borsuk był po prostu Borsukiem.

Po roku czy po półtora, w roku 1985, „Adam” przyjechał do Szwecji. Załatwiłem mu zaproszenie. Był to przyzwoity człowiek, chociaż dziwny. Pomagał w przygotowywaniu drugiego transportu maszyn tirem w listopadzie 1986 roku. Zaangażowałem Jasia, żeby przeszkolił „Adama” w podrabianiu różnych dokumentów, za co zresztą słono zapłaciłem. Jasiu uważał, że jeżeli ma zdradzać swoje tajemnice zawodowe, musi to kosztować. „Adam” wyjeżdżając ze Szwecji, umiał podrobić każdą pieczętkę i każdy podpis. To była dobra szkoła, jak uważałem, bardzo w Polsce przydatna.

Na takie specjalne rzeczy, jak druk podrobionych praw jazdy, dowodów rejestracyjnych samochodów, kartek na benzynę, produkcję potrzebnych pieczętek, wydawaliśmy pieniądze od „Kultury” paryskiej i rządu londyńskiego.

Jak już mówiłem wcześniej, przez „Adama” posyłałem do kraju pocztę. On ją zawoził i przywoził. W tym czasie „Adam” miał również kontakt z Andrzejem Kołodziejem i Solidarnością Walczącą, która mu bardzo imponowała jako lepiej zorganizowana niż „Solidarność”, ponieważ było tam więcej działań solidnych i rzeczowych.

Kawa oskarżył „Adama” o współpracę z SB

Kawa po dwóch tygodniach znowu pojawił się w Szwecji w glorii chwały, że po dostarczeniu lodówek „Adamowi” ledwo zdołał uciec z Polski, bo „Adam” jest agentem SB, który go chciał wsypać, ale mu się to nie udało.

Kawa nie wzbudzał dotąd żadnych naszych podejrzeń. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że nie podobało mi się u niego to, że na przykład nie chciał się ze mną spotkać. Za Pana Boga. Z tego powodu już byłem gotowy z niego zrezygnować. Coś mi w nim nie pasowało. Kiedy był raz i drugi u „Adama” w Gdańsku, to „Adam” mnie potem opieprzał, że przysłałem mu jakiegoś wariata, który w czasie rozmowy w jego mieszkaniu sprawdzał za drzwiami, czy nikogo tam nie ma, zasuwał firanki, żeby nie było nic widać. Taki cyrk robił.

Na przełomie roku 1987 i 1988 posłałem przez Kawę jeszcze jeden transport – offset i powielacz – do Szczecina na adres podany przez Andrzeja Milczanowskiego. Transport dotarł bez przeszkód do adresata.

Jakoś dogadamy się z władzą powoli

Po wpadce Zbyszka Bujaka w maju 1986 roku i samorzutnym rozwiązaniu się TKK „Solidarności” w październiku 1987 roku, po ujawnieniu się ludzi podziemia, jak Kulerski i inni, już były przymiarki do Okrągłego Stołu. Kazano nam absolutnie zawiesić wysyłanie czegokolwiek do Polski, żeby przypadkiem nie wpaść. Ja byłem innego zdania.

Nie miałem jednak samochodu do szmuglu, moje magazyny ze sprzętem były puste, a z kraju dopominano się nie o maszyny, lecz o gotówkę. Sprzęt drukarski ze Szwecji mało kogo wtedy w solidarnościowym podziemiu interesował. Na czarnym rynku w Polsce można już było kupić powielacze i offsety. Skąd one pochodziły, tego nie wiem. Dochodziło jednak do takich sytuacji, że Regionalny Komitet „Solidarności” Małopolska w 1988 roku musiał się zwrócić do KPN-u, aby wydrukowali im potrzebne ulotki, bo sami nie mieli takich możliwości.

Wszystkie pogłoski dochodzące znad Wisły mówiły jedno: jakoś się z władzą powoli dogadamy. Warszawa, czyli ludzie, którzy nie wierzyli w zwycięstwo „Solidarności” i traktowali ją jako kartę przetargową do rozmów z „czerwonym”, zdobywała przewagę. Aresztowanie Borusewicz w styczniu, a Bujaka w maju 1986 roku otworzyło furtkę do tych rozmów. O twardej walce z „czerwonym” nie było już mowy. Dlatego nie było już dla mnie miejsca w Biurze „Solidarności” w Brukseli.

Bezpieka znalazła do nas drogę

Już po Okrągłym Stole i wyborach czerwcowych w 1989 roku, a potem w latach dziewięćdziesiątych, jakby na zamówienie, ukazały się książki, w których różni luminarze wypowiadają się na temat solidarnościowego podziemia w Polsce. Są też książki Henryka Piecucha, pułkownika Wojsk Ochrony Pogranicza w PRL, a potem Straży Granicznej w III RP, o którym już parokrotnie wspominałem. Przeprowadził on kilka rozmów z gen. Władysławem Pożogą, szefem wywiadu i kontrwywiadu za Jaruzelskiego, gnębiącym nas na Zachodzie. Rozmowy te opublikował w książce z 1992 roku pt. *Pożoga. W. Jaruzelski tego nigdy nie powie*. Przy tych rozmowach Pożoga dał mu trochę swoich

dokumentów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL na nasz temat. Później w 1996 roku wyszła następna jego książka *Służby specjalne atakują*, też oparta na tych dokumentach. Wynika z nich – co opisuje Piecuch – że Pożoga podesłał do Szwecji swoich ludzi, którzy weszli do Independent Polish Agency, agencji prasowej mającej swój lokal w centrum Lund, do której każdy mógł przyjść i dostać książkę lub gazetę o „Solidarności”. Tam właśnie zjawiał człowiek nazywany przez nas Kawa.

Kawę podesłał nam generał Pożoga

Szefem IPA był Józef Lebenbaum, z którym byliśmy do pewnego momentu bardzo dobrymi przyjaciółmi. Komitet Pomocy „Solidarności” w Lund powstał zaraz po 13 grudnia 1981 roku, był zakładany przeze mnie. Lebenbaum do niego dołączył. Później miałem za dużo zajęć, więc Józkowi powiedziałem, żeby on zajmował się wydawnictwami o „Solidarności”, albumami i takimi sprawami, bo ja mam swoją robotę.

Lebenbaum zawsze pchał się do fotografii, a SB przypisywała mu niemal nieograniczone możliwości. I nim się interesowała. Był taki moment, że Lebenbaum zaczął się jakoś dziwnie rozglądać wokół siebie. Myślę: co się dzieje? A on mówi: „Maniek, nie śmieję się, będą mnie chcieli porwać”. Zapytałem: „Kto – Cyganie?”. On odpowiada: „Dostałem z dobrego źródła wiadomość, że Bezpieka chce zapłacić półtora tysiąca dolarów za moją głowę”.

Mnie to rozśmieszyło, bo – moim zdaniem – nikt nikogo nie chciał porwać. Bezpieka do przesady eksponowała Lebenbauma, a on tak naprawdę niewiele robił. Ustawiał się do fotografii, aż to w końcu Księcia wkurzyło i któregoś dnia mu powiedział: panie Józku, myślę, że byłoby lepiej, gdyby mniej ludzie o panu mówili.

Lebenbaumowi, jak napisał po latach Piecuch, Pożoga podesłał swojego agenta o pseudonimie „Regina”, który szmuglował do kraju różne rzeczy i tak zdobył zaufanie Lebenbauma. To był ten nasz Kawa – dla esbecji agent „Regina”. Ten człowiek w 1987 roku parę miesięcy mieszkał w Lund z rodziną. Kontaktował się z Lebenbaumem, zabierał od niego maszyny, które jechały do Polski. Taka sytuacja trwała jakiś czas.

Nie zdając sobie sprawy, że Kawa jest kapusiem, etatowym pracownikiem SB, wysłałem go do „Adama” z lodówkami wyładowanymi sprzętem do samoobrony. To Kawa doprowadził do aresztowania „Adama” w Gdańsku.

Na koniec sprzęt szmuglowali do Polski wyłącznie agenci SB

Chcę zauważyć, że Kawa zdobył nasze zaufanie na podstawie referencji z kraju. Były referencje od Mariana Jurczyka ze Szczecina, że to nasz człowiek. Na tej podstawie dano mu na początku do przewiezienia do Polski książki, później parę powielaczy i offsetów, na końcu pocztę. To ostatnie spowodowała nasza bieda – nie stać nas było na opłacanie specjalnych kurierów. Z tego powodu, jak się później okazało, część naszej poczty trafiała do rąk Pożogi.

Kawie ufaliśmy, ale po aresztowaniu „Adama” zapytałem swojego człowieka na cle w Świnoujściu, czy możliwy jest taki układ z jednym celnikiem, czym chwalił się nam Kawa, żeby ten celnik przepuszczał bez kontroli napażowaną kontrabandą przyczepę samochodową. Mój człowiek powiedział, że samochody na granicy zawsze sprawdza dwóch celników, którzy kontrolują praktycznie każdy transport. Tylko gdy wjeżdża agent bezpieczeństwa, może być na niby kontrolowany przez jednego celnika, tak dla picu. Powiedział od razu, że to niemożliwe, aby jakiś celnik sam, bez wiedzy innych, przepuszczał przez granicę auto z przyczepką bez kontroli.

Dałem się Kawie nabrać

Ten agent Kawa brał pieniądze za szmugiel zarówno od SB, jak i od nas. Nie tylko wwoził coś do Polski, ale też z niej wywoził różne starodruki, książki, litografie. Potem je sprzedawał w Lund. Pracował, że tak powiem, na dwie strony. Nie wiem, czy bezpieka o tym wiedziała.

Ale muszę przyznać, że bardzo dobrze grał swoją rolę konspiratora. Dałem się na to nabrać. W ten sposób mnie przechytrzył. Uznałem, świadomie czy nie, że to „Adam” jest kapusiem.

Chyba dlatego po powrocie Kawy do Szwecji z wyprawy do „Adama” pomyślałem – niech Kawa jedzie jeszcze raz. Przekonało mnie do niego to, że się z nikim w Polsce nie spotykał. Wyładowywał towar pod wskazanym

adresem i zaraz wracał do Szwecji. To chroniło od wyspy. Zdecydowałem się więc na kolejny transport w jego wykonaniu, do Szczecina. Przede wszystkim dlatego, że Andrzej Milczanowski bardzo prosił, żeby mu coś przysłać. Pojechał do niego jeden offset i jeden powielacz na adres gdzieś na działkach, zaznaczony na mapce dojazdu.

Po jedenastu latach moja rola skończona

Bezpieka, mimo propozycji Kiszczaka zwołania Okrągłego Stołu, nadal prowadziła swoje gry. Rozmowy Kiszczaka z solidarnościowym podziemiem były w toku, Milczanowski zaś odebrał nielegalny transport maszyn drukarskich ode mnie, który bezpieka w pełni kontrolowała przez swojego agenta.

Zdawałem sobie sprawę, że to już jest jedenasty rok mojej szmuglerskiej działalności. Czułem, że ktoś może sypać, jakoś się z tym liczyłem. Nawet „Adam”, czyli Krzysztof Szymański, najbardziej radykalny z radykalnych, związany z Solidarnością Walczącą, po aresztowaniu go we wrześniu 1987 roku poszedł na współpracę z SB. Opowiedział im wszystko, co wiedział i czego nie wiedział. SB wreszcie miała swój sukces, na który czekała sześć lat. Ale to nikomu już nie mogło zaszkodzić, bo to były informacje stare. Borusewicz już siedział od stycznia 1986 i nie rozmawiał z SB. Dni ukrywającego się Andrzeja Kołodzieja z Solidarności Walczącej były policzone – wpadł w styczniu 1988 roku. Moja rola też była już właściwie skończona.

Mimo to Jurek Milewski poprosił, żeby przygotować maszyny do wysyłki. Jakiś człowiek miał zabrać offsety, które zakupiłem. Odebrał je ode mnie w Hamburgu. W ogóle już się nie interesowałem tym transportem, bo dobrze wiedziałem, że autem osobowym z przyczepą może przejechać bez kontroli przez polską granicę tylko agent SB.

Pozostało mi cieszyć się tym, że przez prawie jedenaście lat udało mi się zorganizować przeszmuglowanie do Polski w sumie około 250 maszyn i 12 ton innego dobra dla krajowego podziemia. W tym czasie korzystałem z pomocy wielu bezimiennych ludzi z całej Europy.

Wracam do cywila. Rozrachunki z przeszłością (1989)

W lutym 1989 roku w Polsce rozpoczęły się rozmowy Okrągłego Stołu. Pracowałem ciągle w brukselskim Biurze „Solidarności”, ale nie dostałem żadnej propozycji powrotu do kraju i pracy w Polsce. Z pewnością bym się tam do czegoś przydał. Bez jakiejś propozycji ze strony „Solidarności” nie bardzo miałem do czego wracać. Nie miałem w kraju mieszkania, nie miałem w Polsce niczego. I tak obudziłem się z ręką w nocniku. Po raz drugi stałem się gołym polskim emigrantem w Szwecji.

Popełniłem życiowy błąd. Nigdy nie myślałem, co będę robił, kiedy solidarnościowa rewolucja się skończy. A Giedroyc zadawał mi już wcześniej to pytanie, opowiadając o losach polskich emigrantów po II wojnie światowej.

Zapomniany zagraniczny bagaż

Przypominają mi się opowieści Polaków, którzy po 1945 roku wychodzili z armii Andersa czy z innych polskich jednostek wojskowych. Lądowali na ulicy, nie mając zawodu, pracy i mieszkania. Nie mając praktycznie niczego. Ze mną było trochę lepiej, bo dom w Malmö miałem, ale zawód straciłem, ponieważ nie było już szansy powrotu do mojego wyuczonego w Szwecji zawodu optyka.

Dla mnie wtedy powinna się znaleźć praca w polskich służbach specjalnych. Bo sporo wiedziałem, jak się różne rzeczy w tej branży robi. Bardzo szybko by doszło do wielkiej awantury z esbekami, którzy w nowej Polsce dalej siedzieli na swoich stołkach. Pytają mnie dzisiaj, czy próbowałem załatwić sobie taką pracę. Czy ja miałem iść na Rakowiecką do urzędującego wtedy ministra Krzysztofa Kozłowskiego i powiedzieć: panie ministrze, chcę tu pracować?

Ja nie znałem miliona ludzi w Polsce, żeby ich prosić o pomoc. Znałem ludzi z kręgu NOW-iej. Ale oni wtedy byli wielcy dyrektorzy, założyli wydawnictwo. A ja miałem, za przeproszeniem, gołą dupę. Żeby przyjechać do tej nowej Polski, trzeba było mieć za co – trzeba było gdzieś mieszkać, mieć środki na utrzymanie. A poza tym w Szwecji nie byłem sam, miałem żonę, miałem dziecko. My, bojownicy „Solidarności” z zagranicy, staliśmy się dla kraju niepotrzebnym zagranicznym bagażem, który leży nadany na pocztę, a na tę pocztę po odbiór przesyłki już nikomu się nie chce przyjąć.

Z czego dotąd żyłem?

Gdy jesienią 1981 roku stałem się zawodowym rewolucjonistą, przez pół roku brałem pieniądze od Szwedów z bezrobocia. Potem przedłużyłem to bezrobocie jeszcze o pół roku. To był wielki paradoks – na rynku brakowało optyków, a tu porządny optyk po kursie był ponad rok bezrobotny.

Po 13 grudnia 1981 roku Seweryn Blumsztajn, który kierował Komitetem Poparcia „Solidarności” w Paryżu, poradził mi, żebym zgłosił się w Szwecji po tzw. socjal, zażądał od nich pomocy, bo oni powinni się poczuć w obowiązku i dać wsparcie finansowe takiemu człowiekowi jak ja. To dawało obraz, w jak wydumanym świecie żył Blumsztajn na początku swojego pobytu na Zachodzie.

W pierwszych miesiącach 1982 roku przyjechałem do „Kultury”. Powiedziałem wtedy Księżciu: panie redaktorze, sprawa jest banalnie prosta – muszę dostawać jakieś pieniądze na życie, bo jeżeli nie, to mnie Szwedzi wygonią do pracy. To był luty 1982 roku. W tym czasie Mirek Chojecki przyjechał z Ameryki do Paryża, też nie miał ani grosza na życie. Gdzie poszedł? Też do Księcia. Ja zawarłem z Giedroyciem taką ustną umowę, że mi będzie płacił przez 1982 rok, do lipca, a później zobaczymy. W lipcu, po pierwszej przesyłce maszyn drukarskich do Warszawy dostarczonej mercedesem przez Svena Järna, przyjechaliśmy, pamiętam, na wakacje do Francji z żoną i z dzieckiem. Księżę mówi: może się pan nie przejmować, przedłużam panu moje stypendium do końca roku.

Dostawałem od niego 6 tys. franków, czyli mniej więcej 6 tys. koron szwedzkich. Tyle miała sprzętaczka w szpitalu w Malmö, to była najniż-

sza pensja w tym kraju. Moja ostatnia praca u optyka w Malmö dawała mi minimum ponad dwa razy więcej – 14 tys. koron szwedzkich miesięcznie. Przy końcu roku Książę stwierdził: no to, wie pan, żeby było sprawiedliwie, niech teraz ktoś inny panu płaci.

W każdym razie przez rok 1982 płacił mi Książę, w roku 1983 – rząd londyński, w 1984 dawał mi jakąś pensję z Biura „Solidarności” w Brukseli Mirek Chojecki, odpowiedzialny wtedy za organizowanie pomocy dla kraju. Ta pensja nie miała nic wspólnego z zarobkami człowieka pracującego w Szwecji – była tak mała. W następnym roku płacił mi znowu Książę, a od 1986, odkąd kierowałem całym solidarnościowym szmugłem do Polski, do końca 1991 roku – Milewski, czyli Biuro „Solidarności” w Brukseli, przez ostatnie miesiące jakieś symboliczne 2 tys. koron szwedzkich miesięcznie. Byłem tam formalnie zatrudniony do końca roku 1991.

Zostałem klasycznie wykołegowany

Ciągle kombinowałem, żeby jakoś wyżyć. Miałem wtedy małą kawiarnię w Malmö, którą kupiłem w 1987 roku za 200 tys. koron szwedzkich pożyczonych w banku (wszyscy krzyčili, że ukradłem te pieniądze „Solidarności”). Udało mi się pójść na kurs, żeby się nauczyć piec ciastka. Kawiarnia jednak nie przynosiła zysku, bo Szwecja przeżywała kolejny kryzys gospodarczy. Po raz pierwszy znalazłem się na aucie. Nikt nie potrzebował już „politycznego szmuglera”. Nie bardzo wiedziałem, co robić dalej.

Nikt mnie nie zapytał, czy mam zamiar wracać do kraju, jakie mam plany na przyszłość. Żona stwierdziła, że zostałem klasycznie wykołegowany. Do wyuczonego zawodu optyka, który porzuciłem w 1981 roku, nie miałem powrotu.

Moje nowe życie zacząłem w 1989 roku od sprzątnięcia szpitala w Malmö, ponieważ musiałem mieć co najmniej trzy miesiące normalnej pracy na etacie, żeby uzyskać prawo do korzystania z kasy chorych. Dlatego w 1989 roku odbębniłem cztery miesiące w szpitalu, a potem natychmiast się rozchorowałem – to znaczy na krótko przed tym, jak odszedłem z tej pracy, żeby mieć prawo do zasiłku chorobowego, który stał się na jakiś czas moim głównym źródłem utrzymania.

Czy mur berliński zawalił się sam z siebie?

W myśl tego, co powiedział Kuroń, należałoby stwierdzić, że zwycięstwo „Solidarności” było najtańszą rewolucją w dziejach świata. Tak trzeba by nazwać tę samoograniczającą się rewolucję. „Solidarność” dokonała czegoś niezwykłego. To dzięki niej zawaliło się imperium zła, czyli Związek Sowiecki, nazywany w tamtych czasach Związkiem Radzieckim.

To dzięki „Solidarności” cała Europa Wschodnia powróciła do swoich dawnych granic. Polska, Czechosłowacja, Węgry i inne kraje uzyskały prawdziwą niepodległość. Rozebrano mur berliński. Dzisiaj to zwycięstwo próbuje się „Solidarności” odebrać. Mówi się, że mur berliński zawalił się sam z siebie i sama z siebie zawaliła się Europa komunistyczna.

Jeszcze raz podkreślę, że była to najtańsza rewolucja w dziejach świata. Będę się przy tym upierał. „Solidarność” nie dostała z Zachodu więcej niż 12 mln dolarów pomocy. To jest śmiech na sali. Mogliśmy zrobić dziesięć razy więcej, sto razy więcej, gdybyśmy mieli dziesięć razy więcej, sto razy więcej pieniędzy. Wtedy być może skrócilibyśmy okres gehenny narodu polskiego w latach 1982–1989.

Te 12 mln dolarów to były pieniądze, które Biuro „Solidarności” w Brukseli oficjalnie otrzymało w okresie swojej działalności od różnych instytucji zachodnich. Były to absurdalnie małe pieniądze. Gdybyśmy mieli 120 mln, a nie 12, obalilibyśmy komunizm w ciągu pół roku. Jednak Amerykanie nie mieli w latach osiemdziesiątych żadnego interesu, żeby komuna wyszła z Polski. Nikt takiego celu sobie nie stawiał. Nikt. A co gorsze, nie było też koncepcji, co ma się zdarzyć, jeśli „Solidarność” zwycięży komunę. Takiego planu nie miał nikt, bo nikt w to nie wierzył.

Niech tylko przestaną zwracać nam głowę, że doszliśmy do Polski niepodległej dzięki „czerwonemu”, bo on dobrowolnie zgodził się usiąść do stołu.

Bzdury rozgłaszane przez Henryka Piecucha

Dreńczy mnie pytanie: co bezpieka wiedziała na bieżąco o mojej działalności? Moje zdanie w tej sprawie jest następujące. Zorganizowany przeze mnie w latach 1979–1981 szmugiel sprzętu drukarskiego ze Szwecji do Pol-

ski jachtami nigdy przez bezpiekę nie został wykryty. Nigdy nic nie wpadło, wszystkie transporty dotarły do adresatów.

Bezpieka, żeby nas rozszyfrować, potrzebowała dużo czasu. Jej pierwsze sukcesy nastąpiły dopiero w roku 1987, po siedmiu latach działalności, gdy do kraju wysłaliśmy już dziesiątki transportów. Tymi sukcesami chwali się gen. Pożoga, a opisuje to wspomniany już Henryk Piecuch. Ja też zostałem przez niego opisany w książce *Służby specjalne atakują*, ale nie dałem się mu naciągnąć na wywiad.

Piecuchowi nie można absolutnie wierzyć, bo fantazjuje od rana do wieczora, a jak idzie spać, to fantazjuje nadal. W książce *Pożoga. W. Jaruzelski tego nigdy nie powie* z 1992 roku i w drugim jej wydaniu z roku 1996 napisał, że wyjechałem z Polski na Zachód razem z Kornelem Morawieckim 30 kwietnia 1988 roku. To jakiś absurd. Jak mogłem wyjechać z Morawieckim z Polski w 1988 roku, kiedy byłem już od prawie dwudziestu lat w Szwecji? To jest cały Piecuch z Pożogą na czele.

Piecuch pisze prawdę o naszym Kawie, czyli o ich agencji „Reginie”. Pisze prawdę o drugim agencie, który był kurierem Kornela Morawieckiego, a którego spotkałem w Berlinie. Reszta to jest wszystko bajka.

Piecuch twierdzi, że pod ich kontrolą był nie tylko Kawa, ale też najważniejsi ludzie z Biura „Solidarności” w Brukseli. Bzdura! Czy Chojecki był „lewuś”? Pilarska? Od czasu do czasu mieliśmy w Biurze jakąś wolontariuszkę. To były dziewczyny, sekretarki najczęściej, ze Stanów, sprawdzone przez CIA. Jedna była z Kanady.

Milewski zdradził czy nie zdradził?

Z Piecuchem spotkałem się w 1995 roku. Przyjechałem do Warszawy coś załatwić i poszedłem do Mirka Chojeckiego na małe przyjęcie w Konstancynie, gdzie on wtedy mieszkał. Powiedział mi: Maniek, jest tu taki człowiek, nazywa się Piecuch, on twierdzi, że bezpieka wszystko o nas wiedziała, kiedy wysyłałymi transporty maszyn drukarskich do Polski, przygotowuje książkę – myślę, że byłoby dobrze, żebyś się z nim spotkał. Poszedłem.

Piecuch ściągnął jeszcze na to spotkanie Tomasz Michalaka, człowieka bardzo znanego w okresie KOR-u, fotografa. Obydwaj chcieli mi udowodnić, że zanim myśmy podjęli jakąś decyzję w Brukseli – na przykład co zrobić

z pieniędzmi, którymi dysponowaliśmy, choćby z tym milionem dolarów od Kongresu USA w 1987 roku – to bezpieka już o tym wiedziała.

Mnie w końcu krew zalała. Zadałem im pytanie: skąd niby bezpieka wiedziała? Powiedziałem: panowie, czy wy jesteście pomyleni obydwoj? Po pierwsze, większość funduszy, które dostawaliśmy w okresie podziemia, była funduszami jawnymi. Wystarczyło iść do biblioteki Kongresu USA, wziąć sprawozdanie z działalności National Endowment for Democracy, gdzie stało, że „Solidarność” dostała tyle i tyle i od kogo. A Piecuch robił z tego wielkie halo, że bezpieka dowiadywała się o tym jakimiś swoimi utajnionymi kanałami.

On mówi o dwóch agentach w naszych strukturach. Pierwszym był „Regina”, który wystawił „Adama”. Ten „Regina” mieszka teraz w Gdańsku, ma dom, jest dość bogatym człowiekiem. Drugim agentem była osoba, z którą rozmawiałem w Berlinie, wysłannik Kornela Morawieckiego. Ale nie udało się bezpiece wsadzić nikogo do brukselskiego Biura „Solidarności”. Piecuch pokazał niby na to dowody w książce *Służby specjalne atakują*. Te „dowody” to jakieś tam papierzyska spisane na maszynie przez bezpiekę.

Piecuch z całą pewnością twierdzi, że ludzie Pożogi nas kontrolowali. To jest takie doszywanie dodatkowej kieszeni do marynarki. Bo bezpieka, nawet gdyby wiedziała, że na przykład jakiś tir z dostawą maszyn wjechał do Gdańska, i gdyby tam pracowali tacy wielcy cwaniacy, to oni powinni bardzo szybko dojść do tego, który to tir. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Ja tylko jednej rzeczy nie wiem, jakoś to zupełnie do mnie nie dociera, czy podpisał jakieś papiery o współpracy z bezpieką Jurek Milewski. Po 1990 roku znalazł się u Lecha Wałęsa, a potem od 1995 roku, niestety, u Aleksandra Kwaśniewskiego, i to jako szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Kiedy się z nim wtedy spotkałem prywatnie, powiedział mi: Maniek, sprawa Polski jest większa niż Kwaśniewski, Wałęsa i to wszystko razem. Jeśli przyjmę, że Milewski był agentem, to jak to się stało, że ja byłem odpowiedzialny za cały szmugiel maszyn drukarskich do Polski i ten cały szmugiel do kraju docierał.

Sven wodził bezpiekę za nos

Bezpieka nie umiała robić najprostszych rzeczy. Sven, kiedy podpisał bez mojej wiedzy zgodę na współpracę z SB, jeździł nadal ze szmuglem do Pol-

ski. Pierwszy raz pojechał po czterech miesiącach. W Świnoujściu ustawił się ostatni w kolejce do odprawy celnej, tak jak mu polecili, a potem wzięli go na rozmowę. Powiedział im, że miał za mało czasu na zrobienie tego, co mu kazali.

To trwało jeszcze ponad dwa lata. Sven cały czas woził maszyny do Polski, a im powtarzał, że potrzebuje więcej czasu, żeby wykonać to, co mu nakazywali. Gdyby jednak oni byli tak bardzo inteligentni, to pierwsze, co by zrobili, to zmierzyl auto Svena w środku i na zewnątrz. Wtedy by wyszło, że w środku, na pace, brakuje 45 cm. Tam była wnęka o wysokości aż dwóch metrów. To auto nigdy nie zostało zdemaskowane, że ma podwójną ścianę za szoferką.

Nie sprawdzili nawet tego, że auto Svena nie było zarejestrowane na niego, ale na Marka Tarkę, który nielegalnie uciekł z kraju dwa dni po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w 1981 roku. To się sygnęło dopiero w listopadzie 1986 roku, jak wpadł z tirem Lennart, brat Svena.

Po ponad dwóch latach takiej „współpracy” Svena z SB esbecją doszła do wniosku, że jest on głupi, brzydki i mało inteligentny. Jako bezwartościowy informator został wyrejestrowany w maju 1986 roku. Stało się to miesiąc przed wysłaniem przeze mnie do Polski pierwszego tira z maszynami, którym pojechał brat Svena. Widać z tego, że bezpieka działała zupełnie po omacku.

A ile jest prawdy w tym, co pisze Piecuch, że do szmuglowanych przez nas maszyn, po przepuszczeniu ich przez granicę, bezpieka montowała pluskwy i jak się powielacz czy offset włączyło, to natychmiast była wpadka? Sygnał z najlepszej pluskwy, jaką ma w tej chwili CIA, można odbierać przez satelitę. Ale wtedy takich nie było. Te pluskwy, które miała bezpieka w PRL, miały zasięg zaledwie 300–400 metrów. Ciężko było więc drukarnię namierzyć z takiej odległości.

Taka pluskwa powinna też mieć zasilanie, a więc oni musieliby podłączyć ją do zasilania offsetu albo powielacza. Jednak wszystkie te offsety i powielacze były ulepszane przez podziemnych drukarzy. Oni wyrzucali z nich wszystko, co było zbędne. Wtedy sto razy by podłożoną pluskwę wykryli.

Jaką naszą korespondencję przechwytywał Pożoga

W latach osiemdziesiątych upowszechniły się na Zachodzie komputery, które stopniowo stawały się coraz lepsze i coraz mniejsze. Wymyślono modem do

przesyłania danych po linii telefonicznej. Taki system został opracowany przez Jacka Merkla, utrzymującego kontakt między Tymczasową Komisją Koordynacyjną „Solidarności” a Biurem w Brukseli. System ten po raz pierwszy zadziałał w latach 1988–1989. Bezpieka zaczynała być bezradna. Ciągłe jednak wysyłałiśmy do kraju korespondencję tradycyjną, tj. listy pisane na papierze, zaszyfrowane dyskietki lub taśmy magnetofonowe z nagranyimi wiadomościami.

Ja naprawdę nie wiem, czy – jak się chwali się gen. Pożoga w książce Piecucha – szyfr używany przez Milewskiego został przez SB złamany, bo nie była to moja działka. Natomiast opowiadanie, że bezpiece udało się dotrzeć do naszej najtajniejszej poczty, że wiedzieli, ile mieliśmy pieniędzy, jest zupełną bzdurą.

W momencie złapania Bujaka bezpiece udało się przejść trochę archiwalnych materiałów RKW Mazowsze, w tym różne rozliczenia i pokwitowania, np. 1 tys. dla Jerzego czy 5 tys. dla Mirka. Ale to były stare sprawy. Takie informacje miały jakieś znaczenie przez kilka miesięcy od ich napisania, ale nie przez lata.

Nasza poczta pisana tradycyjnie jechała do kraju różnymi kanałami, nie mieliśmy pieniędzy na stałych kurierów. W tej poczcie nie pisało się jednak o żadnych ważnych rzeczach. W Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie są moje listy adresowane do Bujaka i do innych ludzi solidarnościowego podziemia w Polsce. Ja się na przykład kłóciłem z nimi, że to czy tamto funkcjonuje źle. Nie podawaliśmy tam żadnych konspiracyjnych adresów. To było na dobrą sprawę tłumaczenie, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Nie miało żadnego znaczenia, bo nie miało najmniejszego wpływu na działalność TKK „Solidarności”.

„Solidarność” rozbroiła się sama

13 grudnia 1981 roku tzw. Wojsko Polskie, podobnie jak w grudniu roku 1970, wystąpiło przeciw narodowi polskiemu. Jest to nie do pojęcia, że nie znalazł się ani jeden dowódca, który by odmówił wykonania rozkazu i ze swoimi żołnierzami nie stanął po stronie robotników.

Od pierwszego dnia stanu wojennego uważałem, że podziemie prowadzi złą politykę, wręcz samobójczą. Ciągłe powtarzanie – aż do znudzenia

– że nie będziemy używać siły, rozbroiło „Solidarność”. Nawet jeżeli taka miała być taktyka związku, to nie należało tego głośno mówić.

Generał Władysław Pożoga oskarżał cały czas „Solidarność” za granicą, że współpracuje z zachodnimi służbami specjalnymi. Prawda była inna. Ja bardzo chciałem z tymi służbami współpracować, lecz one nie chciały ze mną. Uważałem, że jeżeli po tamtej stronie barykady działa wywiad, kontrwywiad, KGB, Stasi i Bóg wie kto jeszcze, to my mamy takie samo prawo korzystać z pomocy służb specjalnych innych krajów. Jednak nikt nigdy się do nas z taką propozycją nie zgłosił. Próbowałem dawać im znaki, że byłbym zainteresowany, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Bardzo tego żałuję.

Plotki i pomówienia ważniejsze niż walka z „czerwonym”

Od samego początku w podziemnej działalności były nieporozumienia na linii kraj – zachodnie ośrodki pomocy. TKK „Solidarność” była informowana o naszej sytuacji na bieżąco przez Biuro w Brukseli, ale to nie działało dobrze. Plotki docierające do Polski z Paryża, Londynu i Sztokholmu miały dla przywódców „Solidarność” w kraju większą wartość niż nasza rzetelna informacja. Prym wiodła Warszawa. Miało to fatalne skutki.

Wiem, że wielu ludzi, czytając to, co napisałem, będzie uważało, że pisanie o plotkach to bzdura. Ale ja piszę, jak faktycznie było. Nieporozumienia z Warszawy przenosiły się na grunt emigracyjny. Niektórzy ludzie poświęcali na emigracji więcej czasu na fałszywe oskarżenia niż na walkę z „czerwonym”. Walono w Chojeckiego jak w bęben, a ten człowiek nie był cudotwórcą i nie mógł wszystkich zadowolić. Była to przede wszystkim kwestia za małych pieniędzy, które miał do dyspozycji.

Mirek odpowiadał za całą pomoc dla kraju, a ja za szmugiel. Mirek, oczywiście, też szmuglował. Większość ludzi z Polski jechała do Paryża do Mirka. Chcieli od niego otrzymać różne drobiazgi. Ja się nie bawiłem w rozdawanie takich drobiazgów, tylko kupowałem na przykład jednorazowo dziesięć czy dwadzieścia maszyn. Byłem naocznym świadkiem, jak dotarli do Mirka ludzie z Warszawy i chcieli makroobiektyw do fotografowania listów wysyłanych potem tajną pocztą do kraju. Miałem już taki obiektyw, ale kupiłem sobie

lepszy i ten gorszy wziąłem ze sobą do Paryża. A więc siedzi Mirek, siedzi ten człowiek z Warszawy, ja wyciągam ten swój stary obiektyw i mówię: taki potrzebujesz? O Chryste Panie, taki! Na to mówię: weź go sobie. Takich gości było co roku u Mirka ze trzydziestu.

Książę znał Polaków na wylot

Gdyby Mirek chciał zadowolić wszystkich, to potrzebowałby milion dolarów rocznie, a i to by nie starczyło. Na nim wieszali psy niezastuzenie, zwłaszcza później, kiedy w 1987 roku zaczęły się jego kłótnie z Bronkiem Wildsteinem o „Kontakt”, a sprawa wylądowała we francuskim sądzie.

W 1984 roku Mirek zaczął rozkręcać firmę Video-Kontakt, co zresztą było nie do końca jego pomysłem, ale i moim. Byłem po raz któryś w Londynie. Widząc, że niektórzy ludzie z londyńskiej powojennej emigracji stoją już nad grobem, powiedziałem do Mirka: trzeba by pożyczyć kamerę filmową (bo wtedy wideo dopiero się zaczynało), poświęcić dwa tygodnie i porobić wywiady z tymi wszystkimi ludźmi, bo oni nam niedługo poumierają. Za jakieś pół roku dowiedziałem się, że Mirek Chojecki pojechał do Paryża i zrobił filmy z tym, tamtym i owym.

Poza tym ludzie z podziemia mieli do niego pretensje, że jak robi filmy, to je później sprzedaje, a nie wiadomo, co się z tymi pieniędzmi dzieje. To była formalnie własność Video-Kontakt, a nie własność prywatna Mirka. Ale on twierdził, że ciągle brakuje mu pieniędzy, bo produkuje dziesiątki kopii i wysyła do Polski. To była prawda. Poza tym miał inne koszty.

Trzeba pamiętać, że najłatwiej można było nas, solidarnościowych konspiratorów, posądzać o defraudację publicznego grosza. Tak działo się zawsze – w czasie powstania styczniowego, powstania listopadowego i w latach osiemdziesiątych. To są warunki działania w podziemiu, którego można nie robić, ale to oznacza siedzenie w gównie.

Dlatego powiedział mi Giedroyc: panie Marianie, niech pan będzie przygotowany, że oplują pana ze wszystkich stron, a pierwsze to będzie to, że jest pan defraudantem. Pamiętam, co się działo, jak w 1986 roku kupiłem dom w Malmö. Tamtejsi Polacy mówili o mnie: o, ten złodziej, co nakradł z „Solidarności”, widzisz, dom sobie kupił. Nic na to nie odpo-

wiadałem. Co miałem komentować? Miałem papiery z banku podtykać każdemu pod nos – popatrz, baranie, pożyczylem z banku 350 tys. koron i teraz je spłacam?

Niesnaski wewnętrzne jak w czasie ostatniej wojny

Pewne sprawy powtarzają się w naszej historii. Znane są niezdrowe układy w czasie II wojny światowej między rządem emigracyjnym w Londynie, Radą Jedności Narodowej w kraju i dowódcą Armii Krajowej. Tak samo było w okresie podziemia solidarnościowego w latach osiemdziesiątych. Biuro „Solidarności” w Brukseli przystosowało się do warunków panujących na Zachodzie. Podziemie krajowe wypracowało sobie własne sposoby działania. Realia pracy brukselskiego Biura były zupełnie inne niż realia działalności krajowej konspiracji.

Komuniści nie wypuszczali na Zachód luminary podziemia. Na Zachodzie nigdy nie był Jacek Kuroń, a Adam Michnik był w Paryżu w 1977 czy 1978 roku, zaledwie parę tygodni. Jest takie jego zdjęcie, jak Barbara Kwiatkowska strzyże go w oranżerii. Mieszkał wtedy w „Kulturze”, a Giedroyc zastanawiał się, czy nie zrobić Michnika swoim następcą. No, ale potem pukał się w głowę i wycofał z tego pomysłu.

Seweryn Blumsztajn przyjechał pierwszy raz do Francji dopiero w roku 1981. On był mądry w Warszawie, jak wyszedł od Kuronia z mieszkania. Ale w Paryżu nikogo takiego nie miał, do kogo mógłby iść po wskazówki. W mojej ocenie był wielkim przeciętniakiem. Jego osławiony powrót do Polski w 1985 roku i zawrócenie go przez bezpiekę z warszawskiego Okęcia do Francji to była jedna wielka farsa, bo przecież wiadomo było, że komuniści go do kraju nie wpuszczą. Chyba że właśnie o farsę mu chodziło.

Pomoc Zachodu dla solidarnościowego podziemia w Polsce i to, jak to podziemie ma się odnosić do komuny, trochę inaczej widziało Biuro „Solidarności” w Brukseli, a inaczej podziemna Tymczasowa Komisja Koordynacyjna w kraju.

Trzeba pamiętać, że od początku działalności polskiej opozycji demokratycznej, od lat siedemdziesiątych, istniał trwały podział na Warszawę, Gdańsk i resztę Polski. Warszawa uprawiała zagrywki taktyczne, natomiast Gdańsk nie bawił się w teoretyzowanie, tylko po prostu walczył. Dlatego Wol-

ne Związki Zawodowe powstały na Wybrzeżu, a nie w Warszawie. A potem „Solidarność” wybuchła w Stoczni Gdańskiej, a nie w stolicy.

Były też ewidentnie jeszcze inne podziały. W okresie legalnej „Solidarności” w latach 1980–1981 inną optykę miał Wałęsa, inną Borusewicz, inną całe Wybrzeże, a jeszcze inną optykę miała Warszawa. To się zmieniło od 13 grudnia 1981 roku, od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Wtedy punkt ciężkości był wspólny. Decydowali Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis i Zbigniew Bujak. Kiedy w 1982 roku wpadł Frasyniuk, a w 1984 Lis, punkt ciężkości przesunął się do Warszawy. W listopadzie 1982 roku zwolniono z internowania Wałęsę. Powstały dwa ośrodki podziemnej władzy i dylemat, czy powołana w kwietniu 1982 roku Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności” ma być uzupełnieniem Wałęsy, czy Wałęsa ma być uzupełnieniem TKK.

Zabawa w głuchy telefon

A esbecja tylko na to czekała i podsyciała „wiarygodne” pogłoski o moich z Mirkiem defraudacjach finansowych czy o naszych złych zakupach. U Polaków najłatwiej zrobić złodzieja z kogoś porządnego.

Tak było po zakupie offsetów firmy AB Dick w Holandii w 1985 roku. Nikt w Warszawie nie chciał słuchać, że offsetów Roneo-Vickers już się nie produkuje. W umowie zakupu z firmą AB Dick zapisaliśmy, że nastąpi przeszkolenie drukarzy w Holandii na koszt sprzedającego. Nic z tego nie wyszło, bo Warszawa to olała. W rok po tym zakupie, gdy Helena Łuczywo przyjechała do Brukseli, poruszyłem z nią temat tego darmowego dla nas szkolenia drukarzy. Zapytałem: Helenko, dlaczego nikogo nie przysłaliście na szkolenie? A ona: bo bezpieka by się dowiedziała. Mówię: w jaki sposób? Przecież proponowaliśmy wam, że z całej Europy przyjdą zaproszenia dla ludzi, których wy chcecie przeszkolić. Oni pojedą na Zachód na zaproszenie, a potem dostaną pieniądze na bilet do Holandii. Tam zostaną przeszkoleni i wrócą do Polski. Czy to takie trudne? No to po pół godziny przyznała mi rację. Ale ona jedno mówiła, a drugie myślała.

Podobnie wyglądała współpraca z przedstawicielami niezależnych środowisk społecznych występujących pod wspólnym szyldem Oświata-Kultura-Nauka, czyli tzw. OKN-em. Pieniądze dla OKN-a załatwiała przede wszystkim

w Nowym Jorku Irena Lasota. Amerykanie nie mają takiego zwyczaju jak Polacy, żeby dzielić dwa złote po dziesięć groszy, tylko przelewali duże kwoty z odpowiednią adnotacją na konto Biura „Solidarności” w Brukseli. Jan Piotr Lasota, brat Ireny, który był reprezentantem OKN-a w Europie, przychodził do Biura i brał te pieniądze za pokwitowaniem. Nigdy się nie zdarzyło, żeby powiedział do nas: kupcie za te pieniądze jakieś offsety czy powielacze. Mimo to Irena Lasota oskarżała Biuro „Solidarności” w Brukseli o niechęć do współpracy.

W pierwszym transporcie tirem w czerwcu 1986 roku było dla OKN-a sześć powielaczy, które otrzymałem od Biura „Solidarności” w Sztokholmie. Na spotkaniu w Paryżu rozmawiałem z Ireną Lasotą i zaproponowałem szmuglowanie sprzętu drukarskiego dla OKN-a. Pozostało to bez odpowiedzi.

Cywile amatorzy bez szpiegowskiego przeszkolenia

W ciągu dziesięciu lat szmuglowania sprzętu drukarskiego ze Szwecji do Polski wysłałem nielegalnie do kraju ok. 250 maszyn drukarskich. Nie prowadziłem statystyk – bardzo szkoda i bardzo źle. Ile maszyn przesłał osobno Chojecki, tego naprawdę nie wiem. Bez tej pomocy, która może rzeczywiście była za mała w stosunku do zgłaszanych z kraju potrzeb, która może nie zawsze była tak doskonała, jak byśmy chcieli, „Solidarność” miałyby jednak o wiele, wiele trudniej.

Uważam, że wszyscy, który brali udział w tej pracy, jak ja, Lebenbaum, Chojecki i inni, odnieśliśmy sukces na skalę światową. Byliśmy cywilami amatorami, nikt z nas nie przechodził szpiegowskiego przeszkolenia, nie mieliśmy specjalnego sprzętu. Wszystko, co wysyłaliśmy do kraju, zostało zakupione w normalnych zachodnich sklepach, jak skanery do nasłuchu milicji, radiotelefony itp. Jakiegokolwiek porównywanie nas do terrorystów jest bzdurą i ci którzy to robią, poniżają samych siebie.

Pieniądzy mieliśmy skandalicznie mało

Podziemna „Solidarność” była wielkim ruchem społecznym w Polsce. Kłamię, ile się dało, że to podziemie nie funkcjonuje tak, jak powinno i jak ja sobie wyobrażałem: na wzór Armii Krajowej w czasie niemieckiej okupacji.

Ale patrząc dzisiaj na to wszystko, zdałem sobie sprawę, że to nie mogło funkcjonować tak, jakbyśmy chcieli. Nie do zaakceptowania była bieda. Dostawaliśmy tak marne pieniądze na naszą działalność, że należy się dziwić, że w ogóle dotrwaliliśmy do roku 1989 i doczekaliśmy się niespodziewanego sukcesu.

Podam dobry przykład. W 1951 roku podziemna organizacja antykomunistyczna w Polsce „Wolność i Niezawisłość”, która była subwencjonowana przez Amerykanów, miała budżet roczny około pół miliona dolarów. Zagraniczne subwencje dla „Solidarności” w latach 1982–1989 nigdy nie przekroczyły miliona dolarów rocznie. W książce *Victory, czyli Zwycięstwo. Tajna historia świata lat 80. CIA i „Solidarność”* z 1994 roku Peter Schweizer pisze natomiast o 12–15 mln dolarów rocznie przekazywanych rzekomo „Solidarności” przez CIA. Nie wiem, skąd się ta kwota wzięła, i jestem bardzo wkurzony, że nikt temu nie zaprzecza, nikt nie powiedział: stop, takich sum nie było. Wymienia się tak wielkie kwoty, że człowiek głupieje. Stwarza to dwuznaczną sytuację.

Ile pieniędzy mieliśmy w Biurze „Solidarności” w Brukseli, wiem doskonale, bo ja te pieniądze wydawałem, jak również Mirek Chojecki. Zawsze było ich za mało. Parę razy Milewski ze swojego prywatnego konta brał pieniądze, żeby coś zapłacić. Bardzo często się zdarzało, że ja pożyczałem od Komitetu Pomocy „Solidarności” w Lund, bo kierowaliśmy tym komitetem, 10–20 tys. koron.

Na wiosnę 1987 roku Kongres USA przyznał „Solidarności” specjalną dotację z budżetu USA w wysokości 1 mln dolarów rocznie. Pierwszy milion nie poszedł jednak na finansowanie działalności Biura „Solidarności” w Brukseli, chociaż tak miało być, tylko Lech Wałęsa za poradą Bronisława Geremka przeznaczył te pieniądze na zakup karettek pogotowia dla służby zdrowia w PRL, bo – jak sam powiedział – chodziło mu o ratowanie tkanki biologicznej narodu. Nie wiem, ile tych pieniędzy faktycznie wydano na karetki, ale można było wtedy pomyśleć, że Biuro w Brukseli na ratowanie narodu pieniędzy już nie potrzebuje.

Szybkie pieniądze francuskie i wydzielane szwedzkie

Nikt nie pomagał „Solidarności” w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego tak wspaniale jak Francuzi. Żartowaliśmy, że oni chcą chyba odkupić tym winy za rok 1939, kiedy nas zdradzili. Po 13 grudnia 1981 roku we Francji bardzo szybko uzbierano na pomoc dla Polaków prawie milion dolarów. Francu-

skie związki zawodowe wpłaciły te pieniądze bezpośrednio na konto Komitetu Poparcia „Solidarności” w Paryżu, którym do lata 1982 roku dowodził Seweryn Blumsztajn. Potem ten komitet został wchłonięty przez Biuro Koordynacyjne „Solidarności” w Brukseli.

Dzięki hojności Francuzów już niemal od 13 grudnia mieliśmy gotówkę, żeby do Polski wysyłać lekarstwa, żywność, sprzęt drukarski. W żadnym innym kraju na Zachodzie to się nie zdarzyło.

W Szwecji w kweście na „Solidarność” 12 lutego 1982 roku uzbierano więcej – 1,5 mln dolarów, tj. 12 mln koron szwedzkich. To prawda, ale tych pieniędzy nigdy do ręki nie dostaliśmy. Zabrały je szwedzkie związki zawodowe i wpłaciły na fundusz demokracji na świecie. Tym samym prawo do tych pieniędzy uzyskały Nikaragua, Angola, Chile, Bóg wie kto jeszcze. Żeby dostać jakąś kwotę z tych pieniędzy, trzeba było pisać prośby i podania.

Ja o mało nie zabiłem typa, którego Wałęsa odznaczył później medalem za zasługi dla „Solidarności”. Ten człowiek nie chciał nam dać grosza. Nazywał się Bengt Säve-Söderbergh. Był bliskim współpracownikiem szwedzkiego premiera Palmego i miał ważny głos przy rozdzielaniu pieniędzy z funduszu demokracji na świecie. Przyszedłem do niego na wiosnę 1982 roku z listem od Bujaka, że potrzebujemy minimum 20 tys. kaset magnetofonowych. Usłyszałem, że ten Bujak to chyba wariat. Odpaliłem, że Polska ma 40 mln ludzi i 10 mln członków „Solidarności”. Dostałem pieniądze na 2 tys. kaset.

Rozliczenia zagranicznych pieniędzy dla „Solidarności”

Od tego trzeba zacząć, że budżet „Solidarności” nie był tajny. To, co przesyłaliśmy podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności”, było potwierdzane oficjalnie. Musieliśmy się przecież rozliczać z wydatków przed naszymi ofiarodawcami, a oni publikowali to z kolei w swoich sprawozdaniach finansowych. I tak na przykład wielki nasz ofiarodawca, szwedzki fundusz demokracji na świecie, prowadzący zbiórki pieniężne na rzecz „Solidarności” – Solidarite Demokratik, ogłaszał rozliczenie roczne, z którego ich ofiarodawcy dowidywali się, ile pieniędzy przekazano czy to do Nikaragui, czy dla „Solidarności”.

Osiem milionów ówczesnych franków z wielkiej zbiórki po 13 grudnia 1981 roku we Francji, z których wydawaliśmy 150 tys. franków miesięcznie, też rozli-

czaliśmy oficjalnie. Raz na kwartał Heniek Jagiełło brał pod pachę grubą teczkę z rozliczeniem, na co wydaliśmy pieniądze, i przedstawiał je francuskim związkowi zawodowemu, które potwierdzały, że my tych pieniędzy nie kradniemy i nie wydajemy na baby i wódkę. Może w Polsce nie każdy wiedział, że to tak działa na Zachodzie, ale tutaj nie robiło się ze spraw finansowych żadnych tajemnic.

W 1994 roku archiwum i bibliotekę Biura „Solidarności” w Brukseli przewieziono do Wrocławia, w tym też dokumentację, którą Biuro przejęło wcześniej z Paryża. Jak mówiła mi Joanna Pilarska, papiery te powinny być teraz dostępne w Archiwum „Solidarności” w Gdańsku. Można porównać wymienione w nich kwoty z pieniędzmi, o których piszą Piecuch i Schweizer – o ile oczywiście pozwoli na to dewastacja dokumentacji finansowej brukselskiego Biura, do której dopuszczono umyślnie czy nie.

Jak na razie nikt sobie tego trudu nie zadał, ale nadal bezpodstawnie pomawia się niektórych ludzi o defraudację tych pieniędzy, a ja do tych ludzi należę.

Olbrzymi efekt przy minimalnych kosztach własnych

Powtarzam to na okrągło, że antykomunistyczna rewolucja „Solidarności” była najtańszą rewolucją na świecie. Nasze pierwsze auto do szmugłu sprzętu drukarskiego dla solidarnościowego podziemia w kraju – stary, używany mercedes – zostało kupione za zaledwie 30 tys. koron szwedzkich. Psuło się bez przerwy. I chyba opatrność Boska uchroniła nas od wpadki z tego powodu. Do następnego auta używanego przeze mnie do szmugłu, czyli dużego tira, musiałem ciągle zakładać fałszywe tablice rejestracyjne, bo nie stać nas było na kolejny samochód. Te tablice doprowadziły do wpadki przy drugim transporcie, w listopadzie 1986 roku.

We wspomnianej już książce *Victory, czyli Zwycięstwo* Schweitzer, Amerykankin, pisze o milionach dolarów przychodzących na zagraniczne konta „Solidarności”, która – według niego – miała dostawać milion dolarów miesięcznie. Ile w tym prawdy, tego nie wiem, ale tych milionów dolarów, o których on mówi, to my w Brukseli nie oglądaliśmy.

Naszemu przeciwnikowi natomiast, czyli SB, pieniędzy nie brakowało. Ile pieniędzy na „Solidarność” dali Amerykanie, chyba już nigdy się nie dowiemy, ale będę się upierał, że w sumie w latach 1982–1989 nie więcej niż 12 mln

dolarów. Byłem człowiekiem, który wydawał te pieniądze. Dlatego smutno mi, kiedy czytam o milionach dolarów dla „Solidarności”, których nigdy nie było, chyba że ktoś w USA robił z tych milionów jakąś lewą kasę dla siebie.

Teraz po otwarciu Archiwum IPN pojawiają się może nowe zagadki do rozwiązania. Jeszcze raz podkreślę, że biorąc pod uwagę, jak wielkie fundusze na zwalczanie nas miały PRL-owski wywiad, kontrwywiad i SB – mogę nieskromnie powiedzieć: ponosząc tak minimalne koszty własne, byliśmy naprawdę bardzo dobrzy!

Niepodległość nie spadła nam z nieba!

Nikomu do głowy nie przychodziło, że podziemna „Solidarność” oraz nieugięta postawa Polaków doprowadzą w końcu do zwycięstwa wolnego świata nad komunistyczną Rosją i zakończenia zimnej wojny między Wschodem i Zachodem. Koniec II wojny światowej nastąpił dzięki „Solidarności” w Polsce w 1989 roku. Dzisiejsza niepodległość nie spadła nam z nieba.

Obowiązkiem każdego przyzwoitego człowieka, jeżeli jego kraj znalazł się w potrzebie, jest temu krajowi pomóc. Polska była rządzona przez komunistów i jasno sobie zdawałem sprawę, że bez jakichś naprawdę ostrych posunięć oni nie oddadzą władzy. Wielu ludzi uwierzyło, że Okrągły Stół był takim momentem oddania przez władzy przez komunę. Ja bym powiedział, że to czyste kłamstwo. Komuniści niczego nie oddali bez zewnętrznego przymusu ani wtedy, ani dziś. To jest jakaś iluzja wielu ludzi. W Polsce nie połała się krew. Może szkoda, bo gdyby się połała, to dzisiaj nie ubecy i cwaniacy by rządili krajem, tylko przyzwoici ludzie.

Teraz mamy tak zwaną III Rzeczpospolitą, którą bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy chcieli zamienić na Czwartą. Jest faktem, że solidarnościowa rewolucja nie została jeszcze zakończona. Niestety, ludzie brutalnie utrwalający w Polsce komunizm, zamiast zostać wyrzuceni za burtę, stali się współwłaścicielami III RP. Z tego powodu ich ofiary cierpią jeszcze bardziej niż w latach siedemdziesiątych, gdy przyszło im żyć w kraju zniewolonym przez komunę.

Zatracone ideały solidarnościowej rewolucji

4 czerwca 1989 roku to był dla mnie bardzo opłakany dzień zwycięstwa. Nie zapamiętałem absolutnie tego dnia jako wyjątkowy, tak jak na przykład 13 grudnia 1981 roku. Nie zapamiętałem go w ogóle. To mógł być po prostu zwykły dzień, kiedy po dwudziestoletnim pobycie w Szwecji, kraju słynącym z dobrobytu, nie miałem co do garnka włożyć.

W 1989 roku byłem tam już dość znany, przede wszystkim w Malmö, bo o mojej działalności można było przeczytać w miejscowych gazetach, czasami dowiedzieć się z telewizji. Byłem tam przedstawiany jako antykomunistyczny rewolucjonista. Ta „sława” nie przydała mi się jednak na wiele, bo postrzegano mnie też, niestety, jako niebezpiecznego terrorystę.

Czego najbardziej potrzebuje Polak? Szwedzkiej pasty do zębów

Po wpadce Lennarta w 1986 roku oficjalny organ rządzących wtedy Szwecją socjaldemokratów „Arbetet” tak wydziwiał, że można było zwariować. Wmawiali mi, że w tym transporcie posłałem do kraju dwie skrzynki broni. Wypisywali, że cały transport i jego celową wpadkę zorganizowała szwedzka tajna policja SAPO, żeby zepsuć poprawiające się stosunki szwedzkiego rządu socjaldemokratycznego z reżimem Jaruzelskiego. Pisał o tym też w Polsce podziemny „Tygodnik Mazowsze”.

Szwedzkie związki zawodowe nie dały na uwolnienie Lennarta ani korony, a od Biura „Solidarności” w Sztokholmie zażądały, żeby się odcięło od całej sprawy, a ze mną żeby się już w ogóle nie zadawać.

Trzeba pamiętać o jednej rzeczy. Emigrant, którym ciągle byłem, to dla Szwedów nic więcej jak dwie ręce do roboty w szwedzkiej fabryce. Emigrant polityczny może – według nich – zajmować się wszystkim, ale nie polityką. Dlatego nie byłem lubiany ani przez polityczny establishment w Szwecji z ówczesnym premierem Olofem Palme na czele, ani przez szwedzkie związki zawodowe, bo nie chciałem robić tego, na co oni mi łaskawie pozwalali.

Oni oferowali nam pomoc po swojemu: kupili na przykład za wielkie pieniądze tysiące tubek pasty do zębów, żeby polskich robotników uczyć mycia zębów. Nakleili na tych tubkach etykiety z napisem „Dar szwedzkich robotników dla Polski”. Wysyłanie do Polski powielaczy i offsetów to był dla nich jakiś dziwaczny i podejrzany pomysł, a poza tym nielegalne szmuglowanie tego przez granicę było dla nich zwykłym kryminałem.

Na „Solidarności” wyszedłem jak Zabłocki na mydle

Polska współczesna, III Rzeczpospolita, potraktowała ludzi, którzy walczyli o nią na Zachodzie, jak śmieci. Czytałem gdzieś, że po zwycięstwie aksamitnej rewolucji w Czechosłowacji Vaclav Havel zwrócił się do wszystkich emigrantów, którzy robili coś dla Czech za granicą, że mają prawo powrotu od następnego dnia. W 1990 roku miałem okazję rozmawiać już w odnowionej Polsce z ówczesnym ministrem kultury Czechosłowacji, o którym wiedziałem, że był poprzednio szefem rozgłośni czeskiej Radia Wolna Europa. Powiedział mi, że czeskie państwo zapłaci ich emigrantom politycznym za podróż powrotną do kraju, a kiedy już do Czech przyjadą, przysługiwać im będą takie same warunki zamieszkania i pracy, jakie mieli na emigracji. Po roku, jak się zastanowią i zechcą zostać – mówił mi ten człowiek – trzeba będzie to jakoś zweryfikować, bo nie każdy musi mieszkać w willi i nie każdy musi mieć pensję premiera. W Polsce nikomu do głowy nie przyszło, żeby się zapytać nas, emigrantów politycznych, którzy przez lata pracowali za granicą dla podziemia solidarnościowego w kraju, co będziemy dalej robić i z czego będziemy żyć. W normalnej pracy ludzie dorabiali się w Szwecji jakieś emerytury. Nasze wynagrodzenie za pracę było małe. Przeciętna szwedzka emerytura wynosi obecnie jakieś 11–12 tys. koron, co daje około

5–6 tys. złotych. Takiej emerytury nigdy nie byliśmy w stanie na Zachodzie wypracować przy naszych zarobkach.

Chociaż trzeba powiedzieć, że za szczególne zasługi dla kraju mógł ktoś z nas dostać tzw. rentę specjalną w Polsce. Zdarzało się, że było to 2–2,5 tys. złotych miesięcznie.

Zwykli ludzie na zwykłym szmuglu do Polski majątków się podorabiali – celnicy i ci, co szmuglowali. W tym samym czasie ze mnie się śmiali, że wyszedłem na szmuglowaniu dla „Solidarności” jak Zabłocki na mydle. Taka jest brutalna prawda.

Dam prosty przykład. Byłem prawdziwym ekspertem od szmuglu i od cła. Zaraz po powstaniu Polski niepodległej, czyli dzisiejszej III Rzeczypospolitej, przez Ystad szedł szmugiel o takich wymiarach, o jakich mnie się nie śniło: wódka, dżinsy, ubrania, kawa, wszystko. Wjeżdżały pełne samochody na lewych papierach, że to jest przeznaczone na przykład dla Episkopatu, dla tego czy tamtego. Mogę powiedzieć tylko jedno: gdybym jako celnik stał choćby jeden dzień na przejściu granicznym w Świnoujściu, ani jeden taki transport by nie przeszedł.

Wszystko poszło w rozsypkę

Nasza firma transportowa MSM Transporter przestała istnieć. Jej formalne bankructwo ogłosiliśmy w kwietniu 1987 roku. Wyrzucili mnie z magazynu w starej fabryce, bo przestałem płacić za jej wynajmowanie. Na szczęście Biuro „Solidarności” spłaciło kredyt, który wzięliśmy z banku na zakup naszego firmowego tira, skonfiskowanego przez władze PRL na podstawie wyroku sądowego z 16 kwietnia 1987 roku, wydanego po wpadce Lennarta.

Rozeszły się nasze drogi z Markiem Tarką, któremu przez długi czas dawałem płatne zajęcie, choć mizernie płatne, przy przygotowywaniu kolejnych transportów z maszynami do Polski. Zachował się wobec mnie nieprzyzwoicie. Kiedy na przełomie 1988 i 1989 roku miałem pod względem finansowym nóż na gardle i potrzebowałem pożyczyć pieniądze, bo mnie bank gonił, żeby płacić ratę za dom, on mi powiedział, że oszczędza w banku i pieniądze mi nie pożyczę, bo ma je zablokowane na rok, za co dostaje wyższe odsetki.

Romek Giniewski też mi nie pożyczył, bo miał bardzo ciężko, był bez pracy.

Spotkanie z Borusewiczem po latach walki – nijakie

W grudniu 1988 roku przyjechał oficjalnie do Paryża Lech Wałęsa, kończąc tym samym okres działalności podziemnej „Solidarności” w Polsce. Na wiosnę 1989 roku brukselskie Biuro związku zostało włączone w strukturę Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”. Ja ciągle pozostawałem formalnie pracownikiem tego Biura.

W nie najlepszym nastroju ruszyłem w ostatnią podróż do Brukseli w październiku 1991 roku na oczekiwane od dawna spotkanie z Bogdanem Borusewiczem. On przyjechał na to spotkanie z Januszem Pałubickim, późniejszym ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Jerzego Buzka. Miały się odbyć wielkie rozmowy, ale nic z tego nie wyszło. To spotkanie z Borusewiczem trochę mnie rozczarowało. Wyimaginowałem sobie, że będzie to superspotkanie po latach wspólnej walki z komuną. Było trochę inaczej. Bogdan żył swoim życiem, ja swoim.

Pierwsze pytanie, na które miałem odpowiedzieć Borsukowi, to, ile kosztował zorganizowany przeze mnie w 1985 roku konspiracyjny wyjazd Andrzeja Słowika na Zachód i jego powrót do kraju. Za to, że ta podróż za drogo „Solidarność” kosztowała, byłem krytykowany już wtedy. Drugie pytanie dotyczyło Krzysztofa Szymańskiego „Adama” wystawionego ludziom Pożogi przez jego agenta, którego posłałem ze sprzętem specjalnym dla Solidarności Walczącej. Borusewicz stwierdził stanowczo, że „Adam” na pewno nie był agentem SB. Niestety, co do „Adama” to Borusewicz miał rację, a nie ja.

Po tym spotkaniu czułem się bardzo źle. Uświadomiłem sobie smutną prawdę, że już nikomu nie jestem do niczego potrzebny. Załatwiłem jeszcze – już zupełnie oficjalnie – dziesięć dużych offsetów Romayor dla „Solidarności”, rozliczyłem się z tego zakupu z Henrykiem Jagiełłą i to był koniec. Moja misja zawodowego rewolucjonisty ostatecznie dobiegła końca.

To była ostatnia rzecz, jaką zrobiłem dla „Solidarności”. Na odchodne.

Brukselski budynek – prezent dla „Solidarności” zdewastowany

W kwietniu 1989 roku, zaraz po powtórny zarejestrowaniu w Polsce NSZZ „Solidarność”, jego zagraniczne Biuro w Brukseli zostało włączone

formalnie w strukturę Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”. Biuro zorganizowało i obsłużyło jeszcze trzy ważne wizyty Wałęsy na Zachodzie: w Paryżu – w grudniu 1988 roku, w Rzymie i USA – w roku 1989.

Pod koniec 1990 roku Wałęsa zawiązywał Milewskiego do Warszawy: że ma natychmiast wracać, bo jest mu potrzebny. Wtedy Milewski wyjechał z Brukseli, a szefem Biura została Joasia Pilarska.

Dom, który był siedzibą brukselskiego Biura „Solidarności”, należał do belgijskich związków zawodowych. W lutym 1990 roku ten dom został sprzedany, a te same związki, wraz z amerykańskimi AFL-CIO, które dały dwie trzecie pieniędzy, zakupiły dla „Solidarności” na własność i dały jej w prezencie inny budynek pod Brukselą, w Genval przy ul. Drève des Aubépines 15. Tam przeniesiono całe wyposażenie Biura, a przede wszystkim dokumenty. Biuro w nowym budynku miało się stać ambasadą „Solidarności” na Zachodzie. Miał tam być hotel dla przyjeżdżających do Brukseli przedstawicieli „Solidarności”, bo trzeba pamiętać, że Bruksela jest siedzibą międzynarodówki związkowej.

Ten dom stał jednak ciągle pusty, przyszła zima, wywaliło instalację wodną, woda zalała wszystko – co oczywiście było absolutną winą Henia Jagiełły, bo Joasia Pilarska złożyła rezygnację na koniec grudnia 1991 roku i wróciła do Warszawy. Nikt tam nie wchodził, niczego nie chciał.

W listopadzie 1994 roku przyjechały z kraju dwie albo trzy osoby, z tego co pamiętam. Joasia Pilarska powiedziała mi, że byli to ludzie z Regionu „Solidarności” z Wrocławia. Zabrali stamtąd sporo papierów, w tym dokumentację Komitetu Poparcia „Solidarności” w Paryżu. Było tego ze czterdzieści segregatorów. Tak mówiła mi żona Jagiełły, bo to do niej do domu przyjechali, żeby udała się z nimi po te papiery.

Niesławny koniec brukselskiego Biura

Joasia Pilarska opowiadała mi niedawno, że z dokumentacji brukselskiego Biura „Solidarności” zachowała się do dzisiaj głównie korespondencja z innymi podmiotami, bo ci ludzie z Wrocławia, którzy po papiery przyjechali, wyjęli je z segregatorów, gdzie były dokładnie uporządkowane, i wrzucili luzem do samochodu, żeby zajmowały mniej miejsca. Po drodze do Wro-

clawia dokumenty swobodnie fruwały po tym samochodzie, a następnie zostały złożone w jakieś zawilgoconej piwnicy. Tam przeleżały kilka lat, skąd przetransportowano je do Gdańska, do archiwum tamtejszej „Solidarności”. Są tam teraz teoretycznie dostępne, ale dokumentów finansowych już w zasadzie nie ma, bo uległy zniszczeniu.

Tak się niesławnie zakończyły dzieje Biura „Solidarności” w Brukseli, o czym zresztą nikt nie chce teraz mówić. Ciężko nawet ustalić, kto wchodził w skład ekipy, która przewoziła dokumentację Biura z Genval pod Brukselą do Wrocławia, jak również na czyje polecenie to się odbyło. Wie o tym dużo Joasia Pilarska, ale z jakichś powodów nie chciała mi tego powiedzieć. Ona zna nazwiska tych ludzi z Wrocławia, którzy zabrali dokumenty do kraju, nie udało mi się jednak tych nazwisk od niej wyciągnąć. Nie wiem, dlaczego tak uparcie milczy na ten temat.

W 1995 roku budynek, w którym mieściło się Biuro, władze „Solidarności” sprzedały, a pieniądze zostały przeznaczone na jakiś związkowy ośrodek szkoleniowy.

Znowu zostałem polskim emigrantem bez pracy

Na początku 1992 roku wyszedłem z Biura brukselskiego tak, jak do niego wszedłem przed pięcioma laty – bez grosza przy duszy. Nie dostałem żadnej odprawy pieniężnej na odchodne. Optyk zarabiał wtedy około 15 tys. koron szwedzkich, a ja dostawałem za swoje szmuglerskie działania niecałe 7 – tyle, ile szwedzka sprzątaczką. Zawód optyka straciłem jednak bezpowrotnie, bo po dziesięciu latach poza tą branżą, od 1981 roku, o zatrudnieniu w wyuczonym zawodzie nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

Od roku 1989 do 1995 byłem prawie cały czas na bezrobociu. To były dla mnie najcięższe lata po wywalczeniu wolności dla Polski. Wtedy albo brałem od Szwedów zasiłek dla bezrobotnych, albo zasiłek chorobowy. W 1989 roku, żeby zdobyć zasiłek chorobowy, musiałem pracować jako sprzątaczką w szpitalu.

Długo chorowałem. W tym czasie – do 1991 roku – miałem swoją kawiarnię, kupioną, jak już wspominałem, w roku 1987. Jakieś grosze płaciło mi jeszcze brukselskie Biuro. Potem znowu żyłem na jakimś bardzo wątpliwym zasiłku dla bezrobotnych z urzędu pracy. Znowu dłuższy czas chorowałem.

W 1991 roku sprzedałem kawiarnię, z dużą stratą, którą spłacałem w banku ładnych parę lat.

Jedyną osobą, która się interesowała moim losem, był Jerzy Giedroyc. W 1992 roku nie miałem wyjścia – zadzwoniłem do Księcia i zapytałem, czy może mi jakoś pomóc finansowo, bo ledwo zipię. No i Księżę jeszcze raz mi posłał wtedy 6 tys. koron szwedzkich.

Uratowała mnie praca na Folkuniversitet

W 1995 roku Folkuniversitet wymyślił kursy dla bezrobotnych Polaków z wyższym wykształceniem mieszkających w Szwecji. Ta uczelnia powstała w 1945 roku, kiedy był straszny napływ imigrantów do Szwecji – Estończyków, Łotyszów, Finów – żeby ich nauczyć języka szwedzkiego. Ma swoje oddziały w całej Szwecji. W 1995 roku organizowali kurs marketingu i reklamy na potrzeby rynku polskiego. Potrzebowali kogoś, kto by Polskę znał i pilotował w kraju ten projekt.

Przypadek zrzędził, że poznałem Szweda, który miał tam być nauczycielem i głównym menedżerem. To był dziennikarz, kiedyś korespondent UPI w Wietnamie, ale nie po amerykańskiej stronie, tylko po stronie komunistów. Z nim pojechałem do Polski i zaczęliśmy wszystko załatwiać. Pracowałem tam do 2000 roku.

Szwedzi nigdy nie rozumieli polskich emigrantów

Nawiązałem wspaniałe kontakty z Gdańską Akademią Bankową, z prof. Leszkiem Pawłowiczem.

To był kurs roczny. Obejmował praktyki w Polsce, na przykład w Browarze Okocim i w paru innych znanych firmach. Szwedom się marzyło, żeby Polacy po skończeniu kursu emigrowali z powrotem do Polski. To były marzenia nierealne. Ja im od razu mówiłem, że większość z tych szkolonych ludzi wróci do kraju choćby jutro, ale nie dzięki ukończeniu kursu, tylko pod warunkiem, że im Szwecja kupi w Polsce mieszkanie.

I to byłyby też najlepszy interes dla Szwedów, bo trzeba pamiętać, że mieszkanie w Polsce wtedy nie kosztowało jakichś bajonkich sum. Zgodnie

z moimi przewidywaniami, żadna z tych szkolonych osób nie wróciła do kraju. Trzeba im dzisiaj dać w Szwecji emeryturę, która kosztuje pięć czy dziesięć razy więcej, niż wtedy kosztowałoby mieszkanie w Warszawie czy w innym miejscu w Polsce.

Zostałem szwedzkim emerytem

W 2001 roku trafiła mi się następna praca. Największe biuro podróży w Szwecji Scandorama potrzebowało przewodników wycieczek po Polsce. Zatrudniłem się tam, a oni mnie na rękach nosili. Wsiadałem z grupą w autobus na dziewięć dni, jadąc na przykład w trasę: Szczecin, Poznań, Wrocław, Kraków, Wieliczka, Oświęcim, Warszawa, Gdańsk i z powrotem do Szwecji. Trwało to cztery lata – do roku 2005. Jakoś dotrwałem do wcześniejszej emerytury, którą dostałem od Szwedów.

W 2008 roku Szwedzi nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić, dlatego wysłali mnie na wcześniejszą emeryturę. Miałem wtedy 63 lata. Oni dają normalną emeryturę dopiero po 65. roku życia. Chorowałem już wtedy i choruję do dziś na bardzo zaawansowaną cukrzycę, noszę pompkę insulinową zawsze przy sobie. Od przyznania mi przez Szwedów emerytury przestałem pracować zarobkowo.

Praca dla Folkuniversitet, gdzie miałem dobrą pensję, a następnie dla Scandoramy zapewniła mi emeryturę w obecnej wysokości – dwóch trzecich przeciętnej szwedzkiej emerytury, ale tylko jednej trzeciej tego, co bym dostał, gdybym cały czas pracował w zawodzie optyka.

Zacząłem pytać różnych ludzi w Polsce, co w tej sytuacji zrobić. No i wreszcie Mirek Chojecki mówi: Maniek, napisz do premiera, są takie renty specjalne, ja ci podziuruję, że ci się to należy. To było w 2007 roku, kiedy premierem był Jarosław Kaczyński. Podpisali się pod tym wnioskiem Boruśewicz, Chojecki, Pilarska i Merkel. No i przyznali mi tę rentę.

Na starość mieszkanie z ogródkiem, żona, córka i pies

Na starość mam w Malmö dość przyzwoite mieszkanie – osiemdziesiąt metrów kwadratowych z kawałkiem ogródka, który kupiłem z myślą

o tym, że jak będę stary, będę tam marchewkę sadził. Mieszkanie jest w dość przyzwoitej dzielnicy Malmö. Mam żonę, córkę – dzisiaj trzydziestodwuletnią – i psa.

Ale kokosów nie mam. Kiedy w 2002 roku sprzedawałem dom zakupiony przeze mnie w 1986 roku, kupiłem mieszkanie mniej więcej o wartości tego domu i w tej chwili wisi mi nad głową ćwierć miliona koron kredytu hipotecznego do spłaty.

Szwecja drugą ojczyzną mojej Agatki

Nic nie powiedziałem dotąd o mojej córce Agatce, która urodziła się w 1982 roku. To było moje pierwsze i jedyne dziecko. Tak jakoś wyszło. Żona chodziła wtedy do szkoły, miała małe stypendium, ja byłem formalnie bezrobotny, nie było specjalnie z czego żyć.

Z córką rozmawialiśmy zawsze po polsku, w trzecim roku życia poszła do szwedzkiego przedszkola. Jest dwujęzyczna, mówi dobrze i po polsku, i po szwedzku. Bardzo lubiła przyjeżdżać do Polski, dopóki żyła w Częstochowie jej babcia, matka mojej żony. Tam jej się bardzo podobało. Szwecja to jest jej druga ojczyzna. Posłałem ją do prywatnej szkoły, o mało nie zbankrutowałem, bo trzeba było płacić 2 tys. koron miesięcznie. Skończyła szkołę podstawową i gimnazjum. Kiedy miała osiemnaście lat, poszła do pracy. Od samego początku interesowała ją moda. Ukończyła szkołę dla dorosłych, która kształciła melan-szefów. W Szwecji to jest taki szef średniego szczebla, na przykład w sklepie. Ale nie znalazła takiej pracy. Pojechała do pobliskiej Kopenhagi, którą z Malmö łączy most. Pracowała najpierw w sklepie z butami, później w sklepie z ciuchami. Teraz robi fryzury psom.

Zawsze mieliśmy w domu psa. Któregoś dnia moja żona wymyśliła, że Agatka będzie strzygła psy. Bo ona swoim koleżankom zawsze robiła fajne fryzury – na ślub czy na inne imprezy. No i Agatka do tej pory strzyże psy zawodowo, z myślą o tym, że jak będziemy mieli jakieś pieniądze, to jej pomożemy otworzyć własny psi salon. To dobry zawód, bo zwierząt domowych w Szwecji jest bardzo dużo i całkiem przyzwoite pieniądze można na tym zarobić. Ale trzeba mieć na początek jakieś 30–50 tys. koron.

Po siedemnastu latach wolnej Polski zostałem doceniony

We wrześniu 2007 roku dostałem od ówczesnego prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski – Polonia Restituta. Że ten order nie jest ze złota, to śmiech na sali. Bo medal za zasługi służył zawsze do tego, że jak już byłeś dziadem, to mogłeś wziąć ten medal i pójść do lombardu, żeby go zastawić i dostać parę groszy na życie. Polski medal by w lombardzie zardzewiał.

Przypomniało mi to, że pierwszy raz w moim życiu otrzymałem odznaczenie państwowe od rządu londyńskiego w 1982 roku – Złoty Krzyż Zasługi. Ten order też nie był ze złota, ale tych biednych starszych panów nie było na złoto stać.

W 2007 roku razem ze mną odznaczeni zostali też Marek Tarka – Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta – i Roman Giniewski – Złotym Krzyżem Zasługi. Załatwione było to wszystko nie tak, jak należy. Marek Tarka pojechał ze mną po odznaczenie do Warszawy, do Belwederu. A Giniewskiego nawet nie zawiadomili, że ma order do odebrania. Polski konsul w Szwecji ścigał go później z tym odznaczeniem.

Na tym spotkaniu w Belwederze był również Sven Järn, który nie został odznaczony. Był taki moment, że chciałem zdjęć ten mój Krzyż Polonia Restituta i zawiesić go na szyi Svenowi. Niewiele brakowało, abym tak zrobił. Ale Fabiński, bo była tam również cała „grupa Jacka”, wybił mi to z głowy. „Maniek – mówi do mnie – nie rób jaj, może Sven kiedyś też order dostanie”. Podszedłem do takiej damy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i mówię: „Szanowna pani, tu jest człowiek, który powinien dostać order, nie tylko ja, ale i on”. Ona pyta: „A dlaczego nie dostał?”. „Pani mnie pyta? To ja mam prawo pytać, dlaczego nie dostał”.

Chyba to poskutkowało, bo bracia Sven i Lennart Järnowie zostali odznaczeni rok później, 11 listopada 2008 roku, tak jak ja przez prezydenta Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, a po raz kolejny w listopadzie 2010 roku Medalem Wdzięczności przez polskiego ambasadora w Sztokholmie. Lennart już niestety pośmiertnie, bo zmarł kilka lat wcześniej.

Co się porobiło z Polską po zwycięstwie „Solidarności”?

W 1989 roku patrzyłem z niedowierzaniem na to, co się w Polsce dzieje. Premier Mazowiecki naprawiał rękami Leszka Balcerowicza wyłącznie gospodarkę, nic poza tym. Nie ruszono wojska, zaczęły się jakieś weryfikacje bezpieczeństwa. Nie rozumiem, dlaczego tej całej sytuacji nie wyrzucono ze służby na zbity pysk. Uznałem, że kraj, którym zaczęli rządzić Mazowiecki, Geremek i cała reszta, to nie jest Polska, o którą ja walczyłem. Oni robili na mnie wrażenie ludzi tylko trochę miłszych dla narodu od tych, którzy odeszli razem z Jaruzelskim.

Józef Piłsudski powiedział kiedyś do Ignacego Daszyńskiego: „Wam kury szczać prowadzić, a nie politykę robić”. W momencie powstania rządu Mazowieckiego strona solidarnościowa nie miała ani jednego polityka z prawdziwego zdarzenia. Taki Kuroń był może politykiem, ale kiedy w 1990 roku przyjechał do Szwecji na zjazd działaczy demokratycznych z całego świata, spotkałem się z nim i pytam: „Jak ci się, Jacek, tu podoba na Zachodzie, może Polska kiedyś taka będzie, co?”. A on na to: „Wiesz, żebyś ja wiedział, jak ten Zachód wygląda, to być może inaczej bym to wszystko robił”.

Należało natychmiast całej tej czerwonej bandzie z PRL zabronić działalności publicznej. Nie musielibyśmy oglądać dzisiaj w Sejmie posłów rodem z PRL. Dla mnie oznacza to narodową klęskę.

Podobnie myślał ostatni „hetman” Rzeczypospolitej, Jerzy Giedroyc, niezastąpiony jako człowiek i obiektywny doradca. Okrągły Stół był według niego „kupionym od komunistów zwycięstwem”. Nie przyjechał nigdy do Polski po 1989 roku, bo jego Polska skończyła się definitywnie w roku 1939.

Nie nadstawiałem drugiego policzka, jak chciał Kościół

Po najlepszej linii szła do wolności Solidarność Walcząca, a linię, po której szła „Solidarność”, czyli nadstawianie drugiego policzka, to ja mam głębooko gdzieś.

Dlatego nie podobała mi się polityka polskiego Kościoła w latach osiemdziesiątych. Kto upoważnił prymasa Józefa Glempa, żeby krzyczał, że nie należy robić strajku generalnego na jesieni 1982 roku? To prawda, że trefne mate-

riały dla „Solidarności” szły z zagranicy przez kościoły, bo ludzie wpychali do transportów charytatywnych, co się dało. W tym polski Kościół ma zasługę i chwała mu za to. Ale słyszałem też o dwóch czy trzech przypadkach, kiedy po prostu księża dwa lub trzy przewiezione przez granicę powielacze wyrzucili na śmietnik. Zdarzały się też kradzieże. Na przykład kiedy zaczęliśmy na wielką skalę wysyłać w transportach charytatywnych magnetowidy, żeby nagrywać podziemne kasety i je rozpowszechniać, te magnetowidy, które trafiły do kilku kościołów, nigdy nie dotarły do „Solidarności”. Tak się niekiedy zdarzało.

Mogę podać inny przykład. Do ks. Mieczysława Nowaka w Ursusie posłałem kilkakrotnie Svena z pomocą humanitarną, za co dostałem od niego wielkie podziękowania. A finał był taki, że warszawska kuria biskupia wyrzuciła ks. Nowaka z Ursusa. Dlaczego?

Poza tym Kościół polski zachowywał się okropnie zaraz po 1989 roku. Nie podobały mi się od początku te wszystkie biegania księży do urzędów, żeby im oddać to czy tamto. Kościół ustawił się w kolejce, żeby odzyskać to, co mu zabrano w 1945 roku, biorąc jednak do pomocy ludzi z SB.

Ja słyszałem taką opowieść, że jakieś siostry zakonne zgłosiły się do urzędu, by upomnieć się o kawałek ziemi, który straciły w czasach krzyżackich, bo wolna już Polska jest zobowiązana im to oddać. Może to antykościelna propaganda, może nie całkiem tak było, ale – moim zdaniem – jedynym wygranym w 1989 roku w Polsce był właśnie Kościół.

KOR-owska, warszawska sekta inteligencka

Po odtrąbionym na cały świat wielkim zwycięstwie „Solidarności” w Polsce żaden trybunał narodowy nie osądził dawnych komunistycznych kreatur. Świadomie nie doprowadzili do tego ludzie, którzy dzięki zwycięstwu „Solidarności” zainstalowali się w 1989 roku u władzy.

Trzeba sobie zdać sprawę, że Polska wkraczała w nowy etap swojej historii bez inteligencji. Najpierw mordowali ją Niemcy, później był Katyń, później przyszli Sowieci, a dokończyły służby PRL-u w latach 1944–1956. Ilu przyzwoitych ludzi w Polsce zostało?

Opozycyjni inteligenci warszawscy, może nawet połowa z nich, to były dzieci ludzi, którzy rzadzili Polską po 1944 roku. Mieli oni absolutnie inne

spojrzenie na rzeczywistość niż reszta narodu. Tworzyli swój zamknięty krąg. Mogę dać przykład. Byłem kiedyś w Londynie u Genka Smolara. Miała się odbyć wielka impreza, bo wtedy przyjechał do Londynu prof. Edward Lipiński na operację serca. Zostałem zaproszony na tę imprezę. Kiedy przyszedłem, zdawało mi się, że znalazłem się w jakimś zakonie. Wpatrzeni byli w tego profesora jak w Matkę Boską Częstochowską. Jeżeli ktoś nie był w KOR, to dla nich był nikim. Sekciarstwo posunięte bardzo daleko.

Wódz narodu – Lech Wałęsa

Dla mnie Wałęsa to człowiek, przed którym będę zawsze chylił czoła za strajk w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku, za stworzenie „Solidarności”, ale za nic więcej. Jego późniejsza działalność jako prezydenta RP to największa klęska Rzeczypospolitej. Zwłaszcza że są dowody, że do 1976 roku był zarejestrowany jako tajny współpracownik PRL-owskiej Służby Bezpieczeństwa.

Wałęsa zachowywał się skandalicznie. Już 1980 roku robił z siebie Pana Boga. Był zadufany, zarozumiały. Jesienią 1981 roku pojechała do Wałęsy moja żona. To było związane z załatwieniem papierów dla Jakuba Świąćckiego, że będzie koordynatorem wysyłki sprzętu drukarskiego dla „Solidarności” od szwedzkich związków zawodowych. Żona pojechała do siedziby „Solidarności” w Gdańsku. Oni byli jeszcze w tym Hotelu Morskim. Doznała szoku. Bajzel i burdel, ludzie wchodzą, wychodzą, nikt na nią nie zwraca uwagi.

W końcu dostała się do gabinetu Wałęsy. Pan przewodniczący siedział z nogami na biurku, obok krzesło, jakaś wielka palma i straszne franki w oknach. Dała mu przygotowane przez nas pismo do podpisania. Wałęsa się podpisał, a ona mówi: byłabym wdzięczna, gdyby tu była jakaś pieczętka. No i zaczęło się szukanie pieczętki, której nie znaleźli, bo się gdzieś zapodziała. Anka przyjechała z powrotem do Szwecji, a Świąćcki dostał szału, że nie ma na piśmie pieczętki. Potem kuku zrobili mu jeszcze Szwedzi.

Z Wałęsą spotkałem się twarzą w twarz dopiero w grudniu 1988 roku, kiedy przyjechał do Francji na spotkanie ze związkami zawodowymi. Po przyjeździe do Paryża zjawił się w Brukseli, ponieważ w Brukseli była międzynarodowa centrala związków zawodowych, ta, która dokonała największego czynu powojennego – uznała „Solidarność” podziemną za reprezentację

narodu polskiego. Międzynarodówka związkowa po raz pierwszy po wojnie przełamała barierę Jałty, która spowodowała, że Polska niepodległa zniknęła z powierzchni Europy. Na Zachodzie mieliśmy wyłącznie przedstawicieli PRL. Dopiero Biuro „Solidarności” w Brukseli przełamało ten monopol, stając się przedstawicielstwem opozycyjnej w stosunku do PRL „Solidarności” w Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Wałęsa przyszedł do Biura, popatrzył, uśmiechnął się i powiedział: no, ja się nie dziwię, że to Biuro nazwali kołchozem Milewskiego. Na to krew mnie zalała, bo to był stary, brudny dom. W piwnicy mieliśmy kuchnię, gdzie się wszyscy przy stole spotykali, piętro wyżej mieszkał Milewski, a na samej górze były dwa pokoje gościnne, czyli materace na podłodze. Jak Kaleta przyjeżdżał, to tam spał. Na mnie tamten Wałęsa sprawił fatalne wrażenie.

Czy było warto?

III Rzeczpospolita zaczynała swój żywot od tego, że prezydentem został Jaruzelski – niedawny dyktator z rękami umoczonymi we krwi, a najważniejszą funkcję w kraju pełnił jego minister spraw wewnętrznych Kiszczak, ten który w grudniu 1981 roku podpisał papier, że można strzelać do górników z „Wujka”. Nic dodać, nic ująć.

Pierwsze lata III Rzeczypospolitej to okres rozdrapywania majątku narodowego. W którymś momencie po 1989 roku przysłowiowa polska przedsiębiorczość przerodziła się w czyny o charakterze kryminalnym. Dlaczego w tak błyskawicznym tempie wyprzedawano polski majątek narodowy? Kto mi na to odpowie? Nikt. Dlaczego nie powiedziano stop Unii Europejskiej, żeby się nad tym wszystkim, co nam przyniesie, dobrze zastanowić.

Warto było walczyć o Polskę, ale nie o tę Polskę, która się wtedy narodziła i trwa do dzisiaj.

Nie, nie i jeszcze raz nie dla komunistów w Polsce!

„Wojna na górze”, jaką ogłosił Wałęsa na początku lat dziewięćdziesiątych, wcale mnie nie zdziwiła. Już po wygraniu sierpniowego strajku w 1980 roku, po paru miesiącach, była pierwsza schizma między Andrzejem

jem Gwiazdą i Lechem Wałęsą. Uważałem, że to nic nowego, bo pokazuje polski charakter narodowy. Piłsudskiego też opluwano, też mówiono, że współpracuje z Feliksem Dzierżyńskim, kiedy Rosjanie stali w 1920 roku pod Warszawą. Można się wstydzić polskiego charakteru narodowego. On się objawił w latach osiemdziesiątych w podziemiu, był taki sam po 1989 roku i jest taki do dzisiaj.

Po „wojnie na górze” została prezydentura Wałęsy, która dla mnie była jednym wielkim nieszczęściem. Wtedy załamało się to wszystko, o co walczyliśmy w latach osiemdziesiątych, jak choćby to, że ubecy muszą ponieść karę, a nie – tak jak nawoływał też Kościół – trzeba im przebaczyć. Jak mi matkę zabije komunista, to ja mam mu przebaczyć? Jeszcze może go na herbatkę zaprosić? W myśl chrześcijańskiej nauki Kościoła? Nie, nie i jeszcze raz nie.

Mam kilka trudnych pytań

Nikt nigdy mnie nie zaprosił na obchody związane z „Tygodnikiem Mazowsze”, chociaż oni odbierali masę sprzętu poligraficznego, który udało mi się wysłać ze Szwecji.

Chciałbym z Ewą Kulik wyjaśnić, ile sprzętu drukarskiego przysłanego przeze mnie ze Szwecji do Warszawy rozesłano po Polsce. Mnie włosy dęba stanęły, kiedy się dowiedziałem, że Bujak obiecał Tadkowi Jedynakowi zaledwie dwa powielacze. A przecież Bujak w latach 1982–1986 dostał ode mnie około dwudziestu offsetów. Co się z tym działo – nie wiem. Dobrze byłoby, żeby ktoś w końcu zapytał panią Kulik albo jej męża, Konrada Bielińskiego, który podobno wszystko wie, gdzie się te maszyny podziały. Będę bardzo wdzięczny, jeżeli się ktoś odezwie, kto dostał maszynę z RKW Mazowsze przesłaną przez Mariana Kaletę.

Urządzić polski Majdan Wolności!

Rządy w Polsce po 1989 roku miały zlikwidować ubeckie przywileje – nie zlikwidowały. Miały przeprowadzić lustrację – moim zdaniem – nie przeprowadziły. Teraz – a mamy już rok 2014 – jedna afera korupcyjna albo polityczna goni następną. Żadne państwo nie może tak funkcjonować.

Ukraińcy potrafili urządzić w Kijowie na przełomie 2013 i 2014 roku Majdan Wolności przeciwko ich oszukańczemu państwu. Zdrada, podłość, oszustwo zawsze powinny być marginesem, a nie sposobem na rządzenie krajem. Ludzie z UB, SB i innych komunistycznych formacji powinni siedzieć w Polsce w więzieniach, a nie przed kamerami telewizji.

Niektórzy nasi politycy Ukraińców pouczali, żeby jak najszybciej zrobili u siebie Okrągły Stół, jak to było w Polsce. Ja uważam, że to nie my powinniśmy pouczać Ukraińców, ale od nich powinniśmy się uczyć. U nas też powinien powstać Majdan, nie wiem, czy w Krakowie, czy w Warszawie, ale absolutnie powinien powstać oddolny ruch, który podtrzyma niepodległościowe myślenie o Polsce.

Wierzę, że polska młodzież któregoś dnia się obudzi i dokończy „rewolucję” przeciw zniewoleniu i okłamywaniu narodu, którą my zaczęliśmy w 1980 roku strajkiem w gdańskiej stoczni. Czy doczekam tego dnia – Pan Bóg jeden wie.

Wykaz skrótów

- AFL-CIO – American Federation of Labor and Congress of Industrial Organizations (Amerykańska Federacja Pracy i Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych)
- AK – Armia Krajowa
- BBC – British Broadcasting Corporation (Brytyjska Korporacja Nadawcza)
- CIA – Central Intelligence Agency (Centralna Agencja Wywiadowcza)
- CMR – Convention Relative au Contrat de Transport International de Marchandises par Route (Konwencja o Umowie Międzynarodowego Przewozu Drogowego Towarów)
- HIAS – Hebrew Immigrant Aid Society (Hebrajskie Stowarzyszenie Pomocy Imigrantom)
- IPA – Independent Polish Agency (Niezależna Agencja Polska)
- IPN – Instytut Pamięci Narodowej
- KGB – Komitet gosudarstwiennoj bezopasnosti (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego)
- KOR – Komitet Obrony Robotników
- KPN – Konfederacja Polski Niepodległej
- KSS KOR – Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”
- LO – Landsorganisationen i Sverige (Szwedzka Konfederacja Związków Zawodowych)
- MSW – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
- NOW-a – Niezależna Oficyna Wydawnicza
- NRD – Niemiecka Republika Demokratyczna

NSZZ	– Niezależny Samorządny Związek Zawodowy
OTK	– Obrona Terytorialna Kraju
PRL	– Polska Rzeczpospolita Ludowa
PZPR	– Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
RKU	– Rejonowa Komenda Uzuppełnień
RKW	– Regionalna Komisja Wykonawcza
RMP	– Ruch Młodej Polski
RP	– Rzeczpospolita Polska
RWE	– Radio Wolna Europa
SAPO	– Säkerhetspolisen (szwedzka Policja Bezpieczeństwa)
SAS	– Scandinavian Airlines System (Skandynawskie Linie Lotnicze)
SB	– Służba Bezpieczeństwa
Stasi	– (potocznie) Ministerium für Staatssicherheit (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego; służba bezpieczeństwa NRD)
SW	– Solidarność Walcząca
TKK	– Tymczasowa Komisja Koordynacyjna
TT	– pistolet Tokariewa
UPI	– United Press International (międzynarodowa agencja prasowa, USA)
USA	– United States of America (Stany Zjednoczone Ameryki)
WiN	– Wolność i Niezawisłość
ZOMO	– Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej

Indeks osób

- „Adam” zob. Szymański Krzysztof
Adamow Piotr 98, 100, 116, 122, 147
Anders Władysław 34–37, 68, 85, 87, 183
Andrzej, krótkofalarz 135
Apt Krzysztof 87, 103, 115
- Balcerowicz Leszek 211
Bądkowski Lech 90
Bergman Ingmar 33
Berling Zygmunt 22
Beto Joanna 134
Bielecki Czesław 119, 120
Bielecki Jan Krzysztof 162
Bieliński Konrad 126, 153, 215
Blumsztajn Seweryn (Blum) 24, 78, 102–
–104, 108, 115, 116, 121, 184, 193, 197
Boguta Grzegorz 81, 85, 90, 91, 93, 110,
117, 134
Borowik Marek 88, 90, 95, 107, 144
Borowska Maria 52, 60, 61
„Borsuk” zob. Borusewicz Bogdan
Borusewicz Bogdan („Borsuk”) 70, 73,
83, 90, 114, 116, 138, 139, 177–179,
182, 194, 204, 208
- Borys Ryszard 23, 28, 31
Bór-Komorowski Tadeusz 22
Breźniew Leonid 83
Brzeziński Zbigniew 107
Budkiewicz Andrzej 75
Budziaszek Jan 21
Bujak Zbigniew 126, 132, 133, 138, 149,
152, 157, 158, 179, 190, 194, 197, 215
Buzek Jerzy 204
- Carlsson Ingvar 154
Carter Jimmy 107
Challot Jacky 128
Chimiak Marek 90, 91, 93, 112, 144
Chojecki Mirosław 17, 64, 69, 72, 73,
77, 81, 85, 91, 98, 101–103, 105,
110, 114–118, 120–124, 126, 128,
131, 131, 135, 143, 145, 146, 149,
151–153, 161, 163, 184, 185, 187,
190–192, 195, 196, 208
Croce Benedetto 37
Croce Lidia 37
Cyryl, Bułgar 32
Czapski Józef 76

- Czarlewski Sławomir 116
 Czort Łukasz 23, 28
- Dajczgewand Józef 24, 29, 61
 Dajczgewand Maryla 29, 52, 61, 96
 „Daniel Dan” zob. Woźniak Tadeusz
 Daszyński Ignacy 211
 Depardieu Gerard 128
 „Diodor”, pracownik SB 141
 Dorota, z Berlina Zach. 157
 Doziu, adwokat 19, 20
 Dragan, Jugosłowianin 150, 151
 Dratnal Władysław 18, 19, 26
 Dubczek Alexander 100
 Dzierżyński Feliks 215
- Emylke, Węgierka 32
- Fabiński Wojciech („Janusz”) 125, 144,
 160, 210
 Fasiński Jerzy (Kuba) 21
 Franciszkowski Marek 110
 Frasyniuk Władysław 149, 194
 Frei Edek 47
- Geremek Bronisław 196, 211
 Giedroyc Henryk 107
 Giedroyc Jerzy 10, 40–43, 49, 61, 68–70,
 74, 76, 77, 85–87, 94, 95, 107, 108,
 110, 116, 124, 128, 155, 157, 170,
 180, 183–185, 192, 193, 207, 211
 Gierek Edward 49
 Giniewski Roman 148, 158, 165, 205, 210
 Glemp Józef 211
- Gomułka Władysław 16
 Gwiazda Andrzej 215
- Handzlik Stanisław 126
 Hanka, z technikum 19
 Hardek Władysław 126
 Havel Vaclav 202
 Henio, student 23, 24
 Herbert Zbigniew 77
 Herling-Grudziński Gustaw 37, 76, 81,
 152
 Hertz Zofia 74, 76, 85, 96, 107, 169
 Holm Niklas 129
 „Hrabini – Bibliotekarka” 34, 35
- Issajewicz Michał („Miś”) 16
- Jabłoński Krzysztof 18, 19, 25
 Jacobsson Göran 129, 171
 Jan Paweł II (właśc. Wojtyła Karol) 49
 „Janusz” zob. Fabiński Wojciech
 Janyszew Aleksander 150
 Jaranowski Leszek 127
 Järn Lennart 10, 129, 130, 136, 144,
 145, 159–162, 165–173, 175, 189,
 201, 203, 210
 Järn Sven 10, 112–114, 116, 117, 121–
 –125, 129, 130, 133, 136–138, 143–
 –145, 146, 184, 188, 189, 210, 212
 Jaruzelski Wojciech 88, 89, 92–94, 105,
 106, 109, 111, 113, 149, 179, 201,
 211, 214
 Jaś, znajomy 140, 149, 150, 154, 155,
 160, 178

- Jedynak Tadeusz 215
 Jegliński Piotr 86, 88, 133, 177
 Johansson Sten 60, 61, 71
 „Jugo” 100, 101
 Jurczyk Marian 175, 181
- Kaczmarski Janusz 21, 22
 Kaczmarski Zygmunt 21, 22
 Kaczyński Jarosław 199, 208
 Kaczyński Lech 199, 210
 Kaleta Agata 209
 Kaleta Maria z d. Kuźnik 13, 14, 16, 17,
 19, 20
 Kaleta Teofil 14–16
 Kałuża, dyrektor szkoły 21
 „Kama” zob. Stypułkowska Maria
 Karlsson Ingvar 172
 Karlsson Thorbjörn 170
 Kasprzak Marek (Władziu) 158, 167, 168
 „Kawa”, agent SB „Regina” 175–182,
 187, 188
 Kessler-Chojecka Jolanta 110, 114, 161
 Kiersnowski Ryszard 16
 „Kisiel” zob. Kisielewski Stefan
 Kisielewski Stefan („Kisiel”) 81, 88, 89
 Kiszczak Czesław 103, 182, 214
 Klimaszewski Mieczysław 25
 Kołakowski Leszek 77, 78, 96, 101
 Kołodziej Andrzej 138, 174, 176, 180
 Koraszewski Andrzej 50–53, 56, 58, 59,
 61, 63, 95, 154
 Kozłowski Krzysztof 183
 Krawczyk Jacek 103
 „Królik” zob. Szaniawski Zygmunt
- Kubasińska Mira 21
 „Kulawiak” zob. Reszka Stanisław
 Kulerski Wiktor 132, 179
 Kulik Ewa 215
 Kuliś Józef 26–28
 Kuroń Jacek 24, 49–51, 65, 71, 101, 132,
 186, 193, 211
 Kutrzeba Tadeusz 13
 Kutschera Franz 16, 17
 Kuźnik 13
 Kuźnik Franciszek 13
 Kuźnik Józef 14
 Kuźnik Wincenty 13, 14, 16
 Kwaśniewski Aleksander 92, 188
 Kwiatkowska Barbara 193
 Kwiek Piotr 162
- Lageröf Maja 134
 Lasota Irena 195
 Lasota Jan Piotr 195
 Lebenbaum Józef 52, 86, 94, 95, 97, 115,
 175, 177, 178, 180, 181, 195
 Lenin Włodzimierz 56, 88
 Lipiński Edward 213
 Lis Bogdan 110, 116, 149, 194
- Łabędź Tomasz 103
 Łubieński Ludwik 87
 Łuczywo Helena 194
- Majer Piotr 134
 Majerowa Joanna 134
 Makomaski Andrzej 23, 28
 Malm Stig 173

- Malmberg Suzanne 167
- Małgosia [Waszkiewicz?] 84, 89
- Marchewczyk Wojciech 126
- Mazowiecki Tadeusz 61, 85, 211
- Merkel Jacek 158–162, 167, 168, 190, 208
- Michalak Tomasz 187
- Michalski Marek 170
- Michnik Adam 24, 50, 51, 107, 132, 193
- Mickiewicz Adam 24
- Milczanowski Andrzej 178, 182
- Milewski Jerzy 124, 134, 146, 147, 153, 155, 157, 158, 161, 162, 167, 168, 175, 177, 182, 185, 187, 188, 190, 196, 205, 214
- Miłosz Czesław 77, 80, 81, 98, 102
- Minkiewicz Jan 118, 119
- „Miś” zob. Issajewicz Michał
- Mitterrand François 103
- Montand Yves 104
- Morawiecki Kornel 139–141, 187, 188
- Mościcki Ignacy 20
- Mussolini Benito 33
- Naglicki Feliks 21, 27
- Norton Nelly (Nelka) 96, 135
- Nowak Mieczysław 212
- Nowak, płk 27
- Nowak-Jeziorański Jan 18, 164
- Ohlsson Sven-Eric 173
- Pablo, kapitan jachtowy 90
- Paleta Zbigniew 21
- Palme Olof 61, 70, 97, 114, 197, 202
- Palmkron Stig 48
- Pałubicki Janusz 204
- Pawłowicz Leszek 207
- Pędyk Edward 23, 28, 31, 32
- Piecuch Henryk 91, 92, 103, 141, 150, 179, 180, 186–190, 198
- Pilarska Joanna 124, 153, 187, 198, 205, 206, 208
- Piłsudski Józef 13, 14, 68, 82, 83, 211, 215
- Piniór Józef 149
- „Pniaczek” 36, 37
- Pożoga Władysław 179, 180, 181, 187, 188, 190, 191, 204
- Przybylski Józef 102
- Raczyński Edward 67
- Ramotowski Janusz 129, 144
- „Regina” zob. „Kawa”
- Reszka Stanisław („Kulawiak”) 57, 62, 70, 73, 90, 92
- Romaszewski Zbigniew 132
- Ruchniewicz Krystyna 102
- Ruth Arne 115
- Sabbat Kazimierz 67, 94
- Säve-Söderbergh Bengt 197
- Schweizer Peter 196, 198
- Signoret Simone 104, 128
- Słowik Andrzej 150, 152–157, 172, 204
- Smolar Aleksander 77
- Smolar Eugeniusz 77, 78, 83, 84, 86, 87, 93, 94, 96, 100, 101, 105, 133, 213
- Stalin Józef 38

- Staniszki Jadwiga 81
Stefan, szmugler 150–152
Stipe, Chorwat 113
Stypułkowska Maria („Kama”) 17
Stypułkowski Andrzej 85, 86
Svening Sven 95
Szaniawski Zygmunt („Królik”) 28, 35,
37
Szczęsna Joanna 169
Szulkin Ryszard 128, 170, 171
Szymański Krzysztof („Adam”) 72, 97,
138, 139, 155, 176–178, 181, 182,
188, 204

„Śledź” 18
Śmigielski Roman 52
Święcicki Jakub 52, 60, 61, 78, 79, 87,
94, 98–102, 112, 113, 115, 116, 213
Święcicki Marcin 61
Świętek Andrzej 23, 29, 36, 52, 53, 59,
61, 66, 71, 78, 96, 111, 117

Tarka Marek 71, 112, 116, 119, 122, 123,
137, 148, 189, 203, 210
Tenenbaum Natan 80
Tito Josip Broz 33, 36
Toni, handlarz 19, 20
Trzcziński Stefan (Funio) 99, 113, 115

Ulatowski Tadeusz 16

Urban Jerzy 168, 177

Vincenz Halszka 96

Walentynowicz Anna 90
Walentynowicz Marian 16
Wałęsa Lech 79, 152, 153, 157, 158, 169,
172, 173, 188, 194, 196, 197, 204,
205, 213–215
Waszkiewicz Edward (Edek) 57–59,
61–64, 67, 70, 72–75, 78, 83–86,
89–92, 112
Wildstein Bronisław 192
Wilk Andrzej 53
Wilk Anna [żona Mariana Kalety] 46–48,
53, 65, 69–71, 79, 82, 89, 93, 98, 110,
118, 119, 134, 153, 155, 163, 184,
185, 209, 213
Wirga Andrzej 139–141
Woźniak Tadeusz („Daniel Dan”) 21

Zachorski 34
Zaleski Jerzy 67, 94
Zieliński Andrzej 21, 22
Zieliński Franciszek 22
Zieliński Jacek 21, 22
Zlatan, Jugosłowianin 150, 151
Zukerman 39

Żaba Norbert 43, 81, 98



Spotkanie działaczy „Solidarności”. Od prawej: Bogdan Borusewicz, Seweryn Jaworski, Alina Pieńkowska, Zbigniew Bujak, Mariola Borowczak, Jerzy Borowczak, Alojzy Pietrzyk, Gdańsk, lata osiemdziesiąte



Marian Kaleta (pierwszy z lewej), Marek Borowik i Mirosław Chojecki, Malmö, grudzień 1980 r.



Marian Kaleta z żoną Anną na spotkaniu z Lechem Wałęsą, Malmö, maj 1981 r.



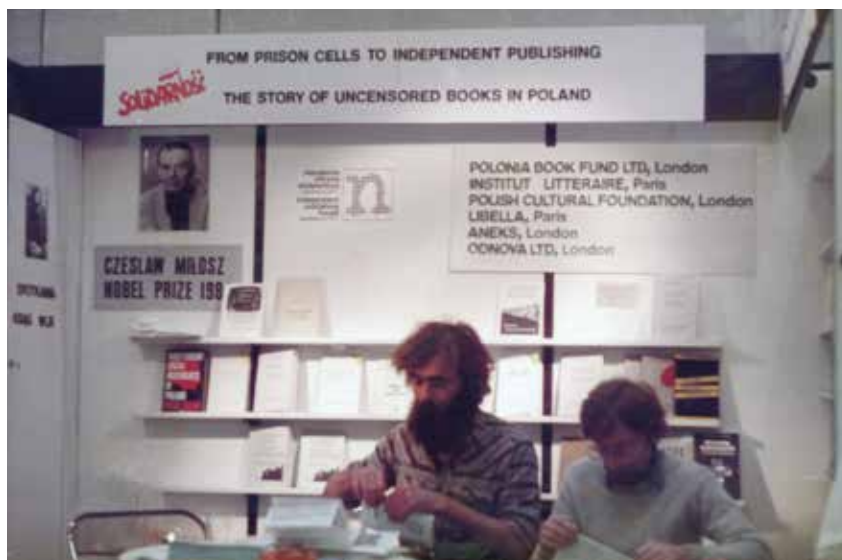
Jacht, na którym przeszmyglowano do Polski pierwszy powielacz. Marian Kaleta (pierwszy z prawej), obok Edward Waszkiewicz (kapitan jachtu), Malmö, 1979 r.



Przygotowania do wysyłki sprzętu drukarskiego jachtem. Od lewej: Józef Lebenbaum i Marian Kaleta, Malmö, pierwsza połowa 1979 r.



Marian Kaleta (z prawej) ze Stanisławem Reszką, członkiem załogi jachtu Edwarda Waszkiewicza, Malmö, kwiecień 1981 r.



Stoisko polskie na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem, październik 1981 r. Od lewej: Andrzej Zieliński (drukarz NOW-ej) i Marian Kaleta



Czeski dziennikarz i dysydent Jiří Lederer (z lewej) i Grzegorz Boguta, Frankfurt, 1981 r.



Polscy wydawcy na Targach Książki we Frankfurcie w 1981 r. Od lewej: Marek Borowik (NOW-a) i Andrzej Stypułkowski (Polonia Book Found)



Polskie stoisko na targach cieszyło się wielkim zainteresowaniem



Podpisanie umowy o współpracy między paryskim Instytutem Literackim a Niezależną Oficyną Wydawniczą. Od lewej: Marek Borowik, Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Grzegorz Boguta, Frankfurt, 1981 r.



Marek Borowik z NOW-ej i Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury”, Frankfurt, 1981 r.



Po uroczystości odznaczenia Mariana Kaleta Złotym Krzyżem Zasługi przez Rząd RP na Uchodźstwie. Od lewej: prof. Edward Szczepanik, Marian Kaleta, prezydent Edward Raczyński, Londyn, 1982 r.



Od prawej: premier Kazimierz Sabbat, prezydent Edward Raczyński, Marian Kaleta, prof. Edward Szczepanik, Londyn, 1982 r.



Sven Järn, współpracownik Mariana Kalety w Szwecji. Od 1982 r. przewoził do Polski zarówno oficjalne transporty z pomocą charytatywną, jak i nielegalne przesyłki ze sprzętem poligraficznym dla opozycji



Sven Järn w Polsce, 1982 r.



Sven Järn woził paczki dla Polaków także swoją prywatną ciężarówką Scania



Mercedes, w którym w specjalnej skrytce przemycano maszyny drukarskie dla podziemia solidarnościowego w latach 1982–1985



Sven Järn z jednym z transportów do Polski, 1983 r.



Sven Järn (z prawej) z bratem Lennartem podczas odprawy celnej w Gdańsku, 1983 r.



Celnicy kontrolują zawartość transportu, Gdańsk, 1983 r.



Grzegorz Boguta, szef NOW-ej, Warszawa, 1983 r.



Grzegorz Boguta z córką w swoim mieszkaniu, Warszawa, 1983 r.



Od lewej: Leszek Dłouchy (redaktor solidarnościowego tygodnika „Jedność”), Jolanta Chojcka, Marian Kaleta, Mirosław Chojcecki, Uppsala, 1983 r.



Marek Chimiak, członek kierownictwa NOW-ej, Malmö, 1983 r.



Marek Tarka, marynarz z promu „Pomerania”, po wprowadzeniu stanu wojennego pozostał w Szwecji. Pomagał przy wysyłaniu nielegalnych transportów dla opozycji w Polsce



Marek Tarka i Marek Chimiak, Malmö, 1983 r.



Edward Waszkiewicz (z lewej), współpracownik Mariana Kalety. W latach 1979–1981 szmuglował jachtem sprzęt drukarski dla wydawnictw drugiego obiegu



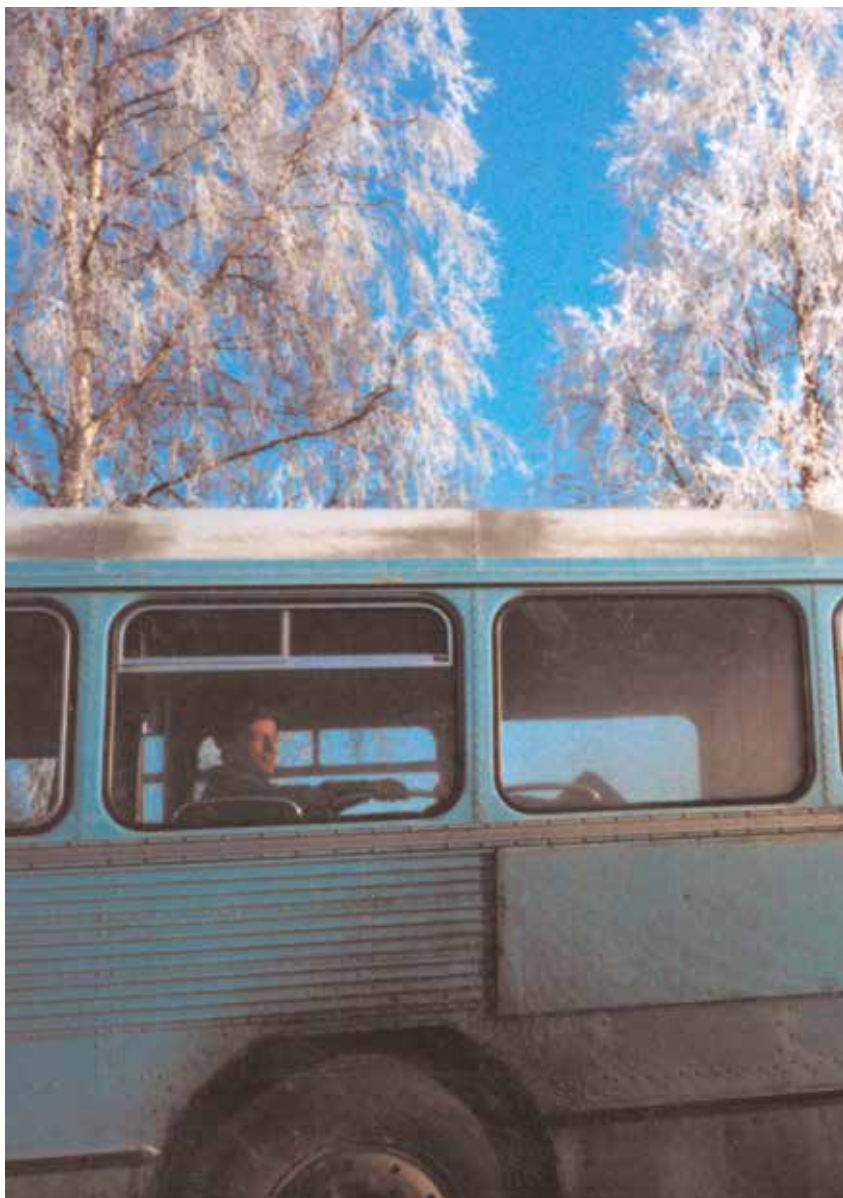
Marian Kaleta (z prawej) z Markiem Tarką, Malmö, lato 1984 r.



Marian Kaleta, Malmö, 1984 r.



W połowie lat osiemdziesiątych Sven Järn woził dary Szwedów dla Polaków również busem Scania. W autokarze zrobiono specjalną skrytkę do przemykania nielegalnych przesyłek dla podziemia w Polsce



Sven Järn w autokarze, którym pojechały do Polski w latach 1985–1986 cztery transporty maszyn drukarskich



Autokar z paczkami przywiezionymi do Polski przez Svena Järna, połowa lat osiemdziesiątych



Pomoc charytatywna ze Szwecji dotarła do odbiorców



Jeden z transportów z pomocą charytatywną, tym razem dwiema ciężarówkami – scanią i mercedesem, pierwsza połowa lat osiemdziesiątych



Nieczynna fabryka w Malmö (dziś już nieistniejąca), w której na piętrze znajdował się magazyn sprzętu poligraficznego szmuglowanego tirami ze Szwecji do Polski, druga połowa lat osiemdziesiątych. Widok od strony podwórka



Wjazd na podwórko



Od lewej: Mirosław Chojecki, Jolanta Chojecka, N.N., Marian Kaleta, Londyn, 1983 r.



Marian Kaleta z Jolantą i Mirosławem Chojeckimi, Londyn, 1983 r.



Autor (w środku) ze współpracownikami ze Sztokholmu, Malmö, 1986 r.



Edward Waszkiewicz z rodziną, Les Sablés-d'Ollonne (Francja), kwiecień 1983 r.



Kolacja w domu Mariana Kalety. Siedzą od prawej: Piotr Szwajcer (NOW-a), Andrzej Kamiński, Marian Kaleta oraz Anna, siostra Piotra Szwajcera, Malmö, 1985 r.



Marian Kaleta z żoną Anną w Hamburgu, 1987 r.